

## Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wsparcie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Przyznajemy, że sił tych nam jeszcze wystarcza. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy od autorów z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie z języka rosyjskiego ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Stowarzyszenie Sybiraków Polskich w Wiktorii (Australia), otrzymaliśmy też niewielkie kwoty od różnych osób, dzielących się z nami przysłowiom „wdowim groszem”.

**Drodzy Czytelnicy!**

Redagowanie pisma to wiele czynności edytorskich oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach ( $\pm$  1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Mamy już rok 2010, prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze oraz by zechciały wesprzeć dodatkowo nasze pismo.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii dawnej oraz najnowszej aż po współczesność, bo ciągle przecież mamy i będziemy mieć związki z Syberią. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok i Czukotkę to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się w większej objętości. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomżenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

Zarząd Główny Związku Sybiraków  
PKO BP S.A. I O/Warszawa  
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617

*Wiesław K r a w c z y ń s k i*  
*Przewodniczący Rady Naukowej*  
*Zarządu Głównego Związku Sybiraków*

---

## KRONIKA

- **KORESPONDENT ROSYJSKI O PORZĄDKACH  
W WARSZAWIE W XIX W.**

Był rok 1884. Specjalny korespondent „Nowoje Wremia,” odbywał (incognito), służbową podróż z Petersburga do rosyjskiego „Kraju Zachodniego”, czyli do Królestwa Polskiego. Po śmierci ostatniego namiestnika Królestwa, Teodora Berga (1874 r.), urząd namiestnika został zlikwidowany, a Królestwo Polskie, jako Kraj Nadwiślański, zostało włączone do Rosji, a na jego czele stał generał-gubernator. Celem podróży korespondenta było opisanie rosyjskich realiów w Warszawie. Przesłał do redakcji trzy listy, w których zawarł spostrzeżenia, dotyczące całokształtu życia, w dziewiętnastowiecznej, „rosyjskiej” Warszawie. Oceniał również efekty likwidacji odrębności Królestwa Polskiego i proces rusyfikacji. Były to czasy panowania cara Aleksandra III (1881-1894), generał-gubernatorem był wówczas Romejko Hurko (1883-1894), głównodowodzący wojsk Warszawskiego Okręgu Wojennego.

\*

Podróżował Koleją Terespolską obsługiwaną przez Polaków. Mowa polska go denerwowała, zżymał się, dlaczego Polacy pracują na ważnych liniach komunikacyjnych. Jednak już kupienie biletu i wejście do wagonu dostarczyło mu wiele miłych przeżyć. Często słyszał słowa: proszę, dziękuję, przepraszam. W liście umieszczonym na łamach „Nowoje Wremia”, a przedrukowanym przez wiele pism min. przez „Kraj” wydawany w Petersburgu, napisał: „Nawet w marzeniach nie przypuszczałem, że może panować taka kultura.” Był ciekaw Kraju Polaków, który co rusz przysparzał Rosji kłopotów. Redaktora szczególnie interesowała Warszawa pod prezydenturą gen. Sokratesa Starynkiewicza (1875-1892) Rosjanina, (korzenie polskie), człowieka powszechnie szanowanego przez „narodowość polską.” Znał zasługi Starynkiewicza dla Warszawy, a zwłaszcza budowę miejskich wodociągów i kanalizacji w latach 1876-1880.(?) Projektantem i budowniczym nowoczesnych sieci sanitarnych był inż. angielski Willam Lindley (1808-1900), znany z wielu podobnych rozwiązań w Europie min. w Hamburgu, Peszcie, Bazylei, Frankfurtu. Prezydent powierzył Lindleyowi na ten cel sumę dwóch milionów rubli. Z W. Lindleyem (ojcem) współpracowali jego synowie, inżynierowie William i Joseph. Pracami triangulacyjnymi w Warszawie kierował inż. Lichtweiss, jeden z czterech cudzoziemców pracujących w trzydziestoosobowym zespole Biura Kanalizacji i Wodociągów. Kore-

spondent miał zamiar zwiedzić Zakład Filtracyjny na Koszykowej, opisać znakomite maszyny z fabryki „Watta et Cie”, sprowadzane z Londynu. Na rozmysłaniach o innowacjach technicznych w Warszawie, szybko korespondentowi mijał czas.

Przez okno pociągu obserwował wieś i miasta i tak napisał do macierzystej redakcji: „Jedziesz niby przez rosyjską ziemię, widzisz niby rosyjski kraj, rosyjskie pola i lasy, a mimo to czujesz i coraz bardziej nabierasz przekonania, że Rosja pozostała za tobą, a ty jesteś zagranicą! Za granicą wpływu rosyjskiej cywilizacji [...] i to w kraju, który chociaż znajduje się w państwie rosyjskim, jednakże z uporem nie poddaje się rosyjskim wpływom.”

Warszawa zachwycała go architekturą, elegancją mężczyzn, urodą kobiet i czystością, napisał: „inne ulice, inne tramwaje, dorożki, ulice wysadzone drzewami, krzaki róż na rabatkach [...] nic nie przypomina Rosji. Po gładkich trotuarach suną eleganccy mężczyźni w lekkich paltach i bez kaloszy, piękne kobiety w futrach, to przecież styczeń.”

Zachwycał się kolorowymi szyldami, które „niby były wypełnione rosyjskimi napisami, ale jakie to było rosyjskie pismo? Tyle ono przypominało Rosję, ile w Moskwie – Tailleur de Paris Iwan Kirpitschew – przypomina Francję.” Uwagę korespondenta przyciągały wystawy licznych księgarń, niestety na tych wystawach z trudem dostrzegał rosyjskie tytuły. Zagniewany na brak rosyjskich książek napisał do red. „Novoje Wremia”, że „za to na wystawach królują Jan Sobieski, Stefan Batory oraz mnóstwo starożytnych pamiątek w dialekcie polskim, a wszystkie opracowane przez profesorów i nauczycieli pozostających na rosyjskiej służbie”. Miał poważne kłopoty ze znalezieniem rosyjskich księgarń, jako że „były usytuowane z dala od głównych ulic.” Księgarnia „Istomina” nie tylko była położona daleko od centrum, ale nic wspólnego z księgarnią nie miała, chociaż istniała od 1837 r. przynajmniej tak informował szyld wiszący nad jej wejściem. Handlowano w niej herbatą, kawą, słodyczami i napojami. Pozostałością po księgarni były obskurne kalendarze, i książki w rodzaju Obrusiteli-Łanskojowej oraz książeczki dla unteroficerów. Nie lepiej było w drugiej rosyjskiej księgarni „Karbasnikowa”, mieszczącej się w głębi wąskiej, bezludnej ulicy hr. Berga, nie było w niej ani książek ani prasy.

Uliczni sprzedawcy zachwalali pisma polskie, francuskie, niemieckie, niestety nie sprzedawali pism rosyjskich. Z polskich pism, jak zaobserwował, dużym zainteresowaniem cieszyły się: „Echo Warszawskie”, „Inżynieria i Budownictwo”, „Izraelita”, „Kłosa”, „Bluszcz”, „Przegląd Tygodniowy”, „Gazeta Warszawska”, „Kurier Warszawski”. Mniejszym zainteresowaniem warszawiaczy darzyli „Warszawski Dniownik”. Nacjonalistycznie nastawiony korespondent, oburzony na warszawskie porządki, dowiedział się, że prawdopodobnie jakąś rosyjską gazetę kupi u szwajcara w Hotelu Europejskim. W liście do redakcji postulował skuteczniejsze rozprawienie rosyjskiej książki i prasy w Kraju Nadwiślańskim. Wkrótce Gość dał się ponieść atmosferze warszawskich gwarnych ulic, rozświetlonych gazowym światłem, pachnących kawą ...i końskim nawozem. Kawiarniami był wprost zachwycony, napisał „Wspaniałe przybytki, które nie mają odpowiedników w miastach rosyjskich. Podawano w nich pyszne ciasteczka, różnie przygotowaną kawę, wymyślne desery, rozkoszne trunki.” Zapachu warszawskiej kawiarni nie kalają zapachy pieczenia zaprawia-

nej czosnkiem i cebulą. Do dobrego tonu, w męskim gronie, należało czytanie prasy wyłożonej w kawiarni, i dyskusja na tematy poruszane w artykułach. Lustrował twarze kobiet i mężczyzn i zapisał „Kawiarniani goście są roześmiani, weseli, wiele ładnych i eleganckich kobiet. Nie pali się tytoniu, jak w paryskim Caffé.” Słyszał rozmowy prowadzone po francusku, niemiecku, rosyjsku a przede wszystkim po polsku.

Przechodząc obok Warszawskiego Gimnazjum dostał się w sam środek wychodzącej po lekcjach dziatwy, napisał „Przyjrzałem się dzieciom i miałem przed sobą Rosjan, Polaków, Niemców, Żydów, lecz słyszałem tylko język polski.” Korespondent odwiedził Uniwersytet Warszawski, rozmawiał tam z kilkoma osobami. Zapoznał się z ilością studentów, było ich (w 1884 r): 111 Rosjan, 270 Żydów i innych narodowości, a „wszyscy mówili w dialekcie polskim”. Krytycznie ocenił oficerów rosyjskich za asymilowanie się z Polakami, za chodzenie do polskich teatrów, do Teatru Wielkiego, Rozmaitości, Małego(Graniowa), do Amfiteatru w Łazienkach, Teatru Letniego w Ogrodzie Saskim. Wypominał im, że chętnie odwiedzają teatry ogródkowe: Alhambrę, Tivoli, Bellevue, Eldorado i inne. Z niesmakiem opisał panującą atmosferę w rosyjskiej (?) Chatcau des fleurs, będącej restauracją z teatrykiem, miejsce często odwiedzane przez Rosjan zwłaszcza przez oficerów rosyjskich. Oto fragment opisu: „Jarzące światło gazu. Upał, tumult, brzęk talerzy i szklanek, kłęby tytoniowego dymu [...]. Na sali, w rzędach krzeseł i dookoła stolików, przeważający element stanowią oficerowie wszelkiej broni, począwszy od chorążego do pułkownika włącznie.” Oprócz wojskowych uczestnikami tej oryginalnej restauracji byli również cywile, zwłaszcza „wiele dam postrojonych i wymalowanych.” Wszyscy czekają na występy, wreszcie ukazują się artystki! Korespondent jest zniechęcony i poirytowany. Tak opisuje to wydarzenie: „wchodzą szansonistki, podkasane i krzykliwe, śpiewając uliczne piosenki wiedeńskie. Zjawia się oczekiwana przez widownię Madmuasell, zdaje się Niemka, ale ubrana jak mamka rosyjska. Znośnie śpiewa. Widownia szaleje na dźwięk rosyjskiej piosenki „Kogda-b` on znał?” Rosjanie w pieśniach dawali upust tęsknocie za rodziną, przyjaciółmi, Ojczyzną. Ekstaza rodaków denerwowała korespondenta, jako że nie tylko śpiewali, ale i donośnie wykrzykiwali nazwy rodzinnych miast. Wieloletni pobyt na obcej ziemi nie sprzyjał spokojnym śpiewom i rozmowom. Na zwróconą uwagę, korespondent otrzymał następującą odpowiedź: „posiedź tak 10 lat w Warszawie bez rosyjskiego teatru, towarzystwa i przyjdź tutaj, wtedy należycie ocenisz nasze zachowanie. Tu przynajmniej czuć Rosję! Słysząc mowę ojczystą, rosyjską pieśń płynącą ze sceny, która wkrada się w duszę i wy-ciska łzę.”

Korespondent odwiedził „Warszawskoje Ruskoje Sobranje”, klub powstały w 1859 r. Niestety nie znalazł w nim żadnej działalności kulturalnej, członkowie klubu tylko grali, całymi godzinami, w karty. Jako korespondent miał duże uprawnienia, jako że jego uwagi zostały poważnie potraktowane przez stosowne władze. Za niewłaściwą pracę „Warszawskoje Ruskoje Sobranie” do dymisji się podali gen. lejtnant W. D. Dandewille, A. L. Apuchtin i I. Paniutin.

Wnioskował, aby „bezwarunkowo zastąpić warszawskie wojska świeżymi siłami z Rosji ze względu na asymilację oficerów rosyjskich z Polakami. Oficerowie rosyjscy, pozostający nieraz 20 lat w Warszawie zmienili się, przywykli do nowego otoczenia, mówią po polsku, czytają polskie książki i gazety.

Wygłaszają poglądy kompromitujące Rosjan i Polacy, bardziej w masie cywilizowani, „spoglądają na nas, jak pies na kij”.

Zwrócił też uwagę na długi oficerów, wynikające z pożyczek zaciąganych u warszawskich Żydów i na ten temat pisał: „Pożyczają na wysoki kredyt. Pieniądze wydają na karty, restauracje i kobiety. A dzieje się tak, jako że Rosjanie nie mają pełni życia rodzinnego i brakuje im rosyjskich bibliotek, rosyjskiego teatru, galerii i odczytów.” W tej sprawie monitował u gen. Albedyńskiego i hr. Kotzebne. Z rozmów, z tymi osobami, nie był zadowolony, jako że obaj byli zdania, iż żadne zmiany wprowadzone na siłę nie zmienią przyzwyczajzeń oficerów. Ci nie będą chodzić do teatru rosyjskiego, na wykłady, bo są ciekawi różnych kultur. Nie są, zatem potrzebne wydatki na budowę rosyjskiego teatru, itd.

Skrytykował działalność Magistratu Warszawy w różnych sprawach, między innymi w sprawie sporządzania zarządzeń. Do czego to podobne, aby Magistrat pisał zarządzenia w dialekcie polskim? Po licznych interwencjach, zarządzenia były wydawane w dwóch językach: polskim i rosyjskim. Pochwalił ówczesne władze rosyjskie za wydanie pozwolenia na budowę Biblioteki Żydowskiej powstałej z inicjatywy Bernsteina, znanego warszawskiego bogacza. Wspominał o Słonimskim, red. „Halcfira”, o dr. Cylkowie, znanym kaznodzieju w synagodze, Kohnie, współpracowniku gazety „Izraelita”, którzy współfinansowali budowę tejże biblioteki. Poparł działanie gen. gub. Hurki w sprawie ograniczenia żydowskich lekarzy w Królestwie Polskim (Kraju Nadwiślańskim), zwłaszcza w Warszawie. Pozwolono tylko 5% na pracę w Warszawie, pozostałych wysłano do pracy w Krasnojarsku, na Sachalinie i w Turkiestanie.

Korespondent pochwalił rosyjskie władze za wystawienie w Warszawskim Muzeum Przemysłu zbiorów prof. B. Dybowskiego. Zwiedzający poznawali faunę i florę Kamczatki oraz Jeziora Bajkał. Muzeum mieściło się w pałacu hr. Krasińskiego. Odnotował w liście do red. „Nowoje Wremia, że narodo-wość polska żywo interesuje się czwartą ekspedycją naukową pułkownika Mikołaja Przewalskiego, wybitnego geografa, podróżnika, badacza Azji Środkowej, który 1884 r. miał nadzieję dotrzeć do źródeł Żółtej Rzeki, zwiedzić krainę Sikoń i przepłynąć jeziora: Zajsan i Syhuł.

Korespondent podziwiał w Towarzystwie Sztuk Pięknych płótna Henryka Siemiradzkiego (1843-1902) w tym „Luciollę”. Żywo interesował się twórczością Marii Konopnickiej, która zapowiedziała walkę z ogłupianiem kobiet. Zapowiadało się, że M. Konopnicka zapłodni Warszawianki „energiją, pracą i rozbudzi w nich zapotrzebowanie intelektualne.”

*Zofia Lech*

## TO DLA MAMY

„Życiorys” – taki tytuł dała swym wspomnieniom Stanisława Terlikowska, moja przyjaciółka ze Związku Sybiraków. Poznałam ją przed dziesięć laty, gdy z redakcji warszawskiego „Sybiraka” odeszła Irena T. Zostałam sama „na gospodarstwie”, poszukując pilnie współpracowników. Zgłosiły się trzy osoby: Marysia Grzegorzowska, Zosia Rosińska i nieżyjący już dziś Artur Słomiński. Postanowiłam rozsyłać nasz kwartalnik nie tylko – jak dotychczas – do Kół Z.S. Oddziału Warszawskiego, ale także do potencjalnych czytelników spo-

za Związku, w tym – zgodnie z zasadami – do Biblioteki Narodowej, Jagiellońskiej i Ossolineum. Szukaliśmy w Kołach Oddziału osoby za te wysyłki i kolportaż wewnętrzny odpowiedzialnej.

Oddział Warszawski Związku Sybiraków zajmował dwie izby tzw. niskiego parteru w gmachu wydawnictwa „Bellona”. W ciemnej, dusznej suterenie redakcja miała biurową szafkę a raz w tygodniu cały ów lokal był do naszej dyspozycji. W tej piwnicznej izbie (kłania się Konopnicka) zjawiała się któregoś dnia Stasia i została naszą kolporterką. W „stopce” redakcyjnej debiutowała w numerze 4/28 z grudnia 2000 roku a że Oddział zaniechał wydawania biuletynu z końcem roku następnego, pozornie rozkolportowała tylko cztery jego numery. Ale pracy miała znacznie więcej, bo trzy wiodące Biblioteki życzyły sobie skompletować nasz tytuł za sześć lat minionych. Na apel redakcji, Koła przekazywały zaległe egzemplarze, rozsyłane skrupulatnie przez Stasię. Bieżący rozdziałnik liczył ponad 20 adresów, z Kół Oddziału zgłaszali się kolporterzy, pracy nie brakowało.

Wracając tramwajem z odległego cmentarza, na którym pożegnałyśmy naszego kolegę, zapytałam Stasię, gdzie była na zesłaniu. Opowiedziała mi w wielkim skrócie historię swoją i najbliższych a była to opowieść tak różna od wszystkich dotychczas zasłyszanych, bądź przygotowanych do druku, że prosiłam, aby ją spisała. Chciałam opublikować w naszym kwartalniku jako przykład walki o wyrwanie się z ZSRR. Minęło kilka tygodni, wreszcie rękopis otrzymałam. Pisany pod presją danej obietnicy, pełen emocji mimo upływu wielu lat od opisywanych zdarzeń, wymagał dopracowania. W tym czasie Urząd ds. Kombatantów odmówił dalszego finansowania druku (redagowany był SYBIRAK społecznie) i Oddział zaniechał wydawania biuletynu. Gdy likwidowałyśmy naszą redakcyjną szafkę, Stasia przekazała mi swoje „wypracowanie domowe” ze słowami: „zrób z tym, co chcesz, tylko nie licz, że jeszcze kiedyś do tego wrócę”. Ona jest teraz bardzo chora, sama więc wróciłam do wielostronicowego rękopisu.

„Ja, Stanisława Terlikowska, z domu Wolańska. Ojciec Kazimierz, matka Karolina Wolańscy. Urodzona 22 marca 1925 r. Osada Armatniów, pow. Łuck, woj. Wołyń. Do 1940 r. mieszkałam z rodzicami i rodzeństwem: brat Władysław Wolański ur. 1923 r., młodszy brat Kazimierz Wolański ur. 1930 r. na Kresach Wschodnich, osada Armatniów, pow. Łuck, woj. Wołyńskie. W 1940 r. 10 lutego moją rodzinę: Matkę z synami, moimi braćmi, deportowano na Syberię. Ja ocalałam, ponieważ byłam poza domem. Ojca też w domu nie było, nie wrócił z wojny.” Tak zaczęła Stasia swój „Życiorys”. Uzupełniony jej opowieścią z warszawskiego tramwaju na trasie z Marymontu do śródmieścia, daje obraz jej zmagania z twardym losem.

Pod sowiecką okupacją życie matki i jej trojga dzieci w osadzie Armatniów toczyło się spokojnie. Gospodarowali bez ojca ale na własnej ziemi, co niedziela wyprawiali się do odległego o 8 km parafialnego kościoła w Kiwercach. Gdy nocą 10 lutego 1940 r. do ich domu wtargnęli funkcjonariusze NKWD, zastali tylko matkę i jej synów, bo córka nocowała u rodziny w sąsiedniej wsi, ojciec zaginął na wojnie. Zabrali matkę i braci, wywieźli z innymi na Syberię i nagle 14-letnia dziewczyna została sama, bez domu, zajętego na posterunek sowieckiego okupanta, bez środków do życia, bez jakichkolwiek dokumentów. Dobrzy ludzie przekazali po paru miesiącach list od matki, z Syberii,

ale kontakt urwał się po 22 czerwca 1941. O śmierci matki, zmarłej z głodu na zesłaniu w 1942 r. dowiedziała się od ojca, z którym odnaleźli się w 1952 roku. Ojciec, internowany po zakończeniu wojny polsko-niemieckiej, zbiegł z obozu, ukrywał się w stolicy i jako żołnierz Armii Krajowej walczył w Powstaniu Warszawskim. Ciężko ranny, wyciągnięty spod gruzów przez kolegów przeżył i został w Warszawie. Od przypadkiem spotkanego znajomego dowiedział się, że Stasia jest we Lwowie. Przez tamtejszych przyjaciół odnalazł ją i przyjechał, aby zabrać córkę do Polski. Po 13 latach rozłąki przekazał Stasi wiadomości: o zgonie matki, o losie braci, o swej nowej rodzinie. Wyjazd córki okazał się niemożliwy, wrócił sam. Zmarł w 1975 roku w wieku 75 lat, został pochowany na Powązkach.

Wróćmy do Stasi, ona z kolei starała się przetrwać niemiecką okupację we Lwowie. Pracowała w polskich domach za dach nad głową i wyżywienie, raz wpadła w łapance i trafiła do obozu przejściowego przy ul. Pierackiego, ale nie dała się wywieźć na roboty do Niemiec – uciekła z transportu. Przyszła druga okupacja sowiecka, Polacy opuszczali Lwów, darowany przez aliantów Stalinowi. Stasia wraca na wieś, gdzie łatwiej zarobić na życie. „Ile nocy spędziłam w polach, w zbożach, ukrywając się od morderców, cierpiąc głód i chłód, w stodołach, żeby nikt nie zauważył. Z nastaniem dnia starałam się zapracować na kawałek chleba, pomagałam w polowych robotach w gospodarstwach. Codziennie dochodziły słuchy o masowych mordach rodzin polskich w okrutny sposób. Ciągle miałam nadzieję, że matka z braćmi wróci, bo dochodziły słuchy, że wracają do Polski deportowani. Bardzo często przebywałam na Dworcu Głównym we Lwowie, ogłaszałam nazwisko, ale bez skutku. I tak sama musiałam wegetować przez te długie lata po wojnie, bardzo niebezpieczne dla obywateli polskich, żyjących wśród wrogów. Kiedy w 1950 roku zaczęła się paszportyzacja ludności, postanowiłam skorzystać z tej możliwości. Jak już wspomniałam, nie miałam żadnych dokumentów, wydali mi na trzy miesiące ważności dowód rejestracyjny, z którym mogłam zameldować się i podjąć pracę. Pierwszą pracę podjęłam w spółdzielni przy ul. Leszczyńskiego, produkowano tam różne rzeczy. Ja pracowałam przy szyciu koszul męskich. Po jakimś czasie zostałam przeniesiona na punkt repasacji pończoch (podnoszenie oczek), to był bardzo potrzebny zawód po wojnie.

W 1952 r. podjęłam pracę w fabryce państwowej; tylko w przedsiębiorstwach państwowych wydawali książeczki pracy, w spółdzielniach – tylko zaświadczenie, taki świstek i to na bardzo lichym papierze gazetowym. Był problem, żeby z takiego przedsiębiorstwa się zwolnić, panowało tam prawo obozowe. Mnie udało się przez komisję lekarską, ponieważ groziła mi utrata wzroku od złego oświetlenia. I tak zdobyłam pierwszy dokument: książeczkę pracy. Potem poszłam na kurs kroju i szycia, który ukończyłam z bardzo dobrym wynikiem, następnie pracowałam jako gorseciarka w spółdzielni, miałam już zapewniony byt i mieszkanie. W 1952 roku we wrześniu wyszłam za mąż za Michała Terlikowskiego, który też pracował w tej spółdzielni jako krawiec. Stopniowo doszliśmy do jednego pomieszczenia bez żadnych wygod, sanitariaty i woda – na balkonie, wspólne z pięcioma sąsiadami. Po trzech latach zamieniliśmy naszą izbę na pokój z kuchnią w centrum Lwowa, też bez wygod, tylko woda była w kuchni.

W 1956 roku była następna repatriacja do Polski. Ale z tymi dokumentami nie było szansy wydostać się z tej niewoli. Do parafii do Kiwerc pisałam kilka razy o metrykę, odpowiedzi nie otrzymałam. Zwróciłam się do Urzędu Stanu Cywilnego we Lwowie o wydanie mi metryki „medycznej”. I – o dziwo – po trzech tygodniach otrzymałam wezwanie po odebraniu metryki. Okazało się, że Urząd otrzymał z parafii Kiwerce moją metrykę urodzenia, z czego byłam bardzo szczęśliwa!”

Radość Stasi okazała się przedwczesna, bo w metryce błędnie podano imię i datę urodzenia. Sprostowanie danych trwało długo, sprawa była dla sowieckich urzędników podejrzana, w dodatku petentka nie godziła się na prawosławne imię Ewstachija (Jewstachija) „w życiorysie pisałam, że rodzina była deportowana a ojciec mieszka zagranicą, w pańskiej Polsce, to traktowano mnie jak wroga. W sercu głęboko były ukryte marzenia, aby się wydostać z tej niewoli. Mąż okazał się chorym człowiekiem, alkoholikiem. Nie chciał się leczyć, bo uważał, że zachowuje się normalnie, jak większość tamtych obywateli.”

Kilkuletnie leczenie, w tym dwie operacje nie dało Stasi szansy zrealizowania jej marzenia o macierzyństwie. W 1960 r. w wielodzietnej rodzinie jej krewnych na wsi przyszła na świat kolejna córka, którą zaproponowano jej ma wychowanie „przywieźli dzieciątko rodzice i w Radzie Narodowej wobec urzędnika zrzekli się na korzyść naszą, adopcję załatwiono od ręki i tak zostałam matką czteromiesięcznej dziewczynki. Wychowałam córkę do 20 roku życia. W 1980 roku, po zakończeniu medycznego technikum, wyszła za mąż. W dzień ślubu dowiedziała się, że nie jestem jej biologiczną matką a jej rodzice zmarli kiedy ona miała 12 lat. Z mężem przeżyłam 28 lat strasznej męki. Przed ślubem córki rozwiodłam się z mężem, aby dać córce oddzielne mieszkanie.”

W tym samym 1980 roku od rodziny z Polski otrzymała zaproszenie, toczyła się bowiem sprawa spadku po ojcu. W tym samym czasie tylko raz w roku na zaproszenie można było przyjechać, więc postanowione: „jadę do Polski. Kiedy się zjawiłam w sądzie, pani sędzia była bardzo zadowolona, bo sprawa się rozwiązała. Wszyscy znajomi i rodzina zaczęli mnie przekonywać, że powinnam zostać w Polsce. Ale to nie takie było proste. Kiedy poszłam do urzędu z zapytaniem czy mogę tu zamieszkać, ponieważ mam nieruchomości, odpowiedź była taka, że do spadku ma pani prawo a do zamieszkania takiego prawa panie nie posiada. Więc poradzono mi wstąpić w związek małżeński z obywatelem Polski. Poznałam przez przyjaciół starszego pana, wdowca i zawarliśmy związek małżeński. Po 40 latach niewoli, 25 września przekroczyłam w Przemysłu granicę, byłam tak szczęśliwa, że na kolanach ucałowałam bruk ziemi ojczystej, płakałam z radości. Ludzie pomogli mi przenieść bagaż, bo jechałam z całym dobytkiem, pomogli przesiąść się do pociągu warszawskiego i tak się udało moje marzenie.”

Przez rok mieszkała z ciężko chorym mężem (astma) w jego kawalerce, zanim otrzymali mieszkanie przy ul. Obozowej. W dniu przeprowadzki odebrała telegram ze Lwowa, od córki z wiadomością o śmierci pierwszego męża. A w kilka miesięcy później umiera w szpitalu drugi, dzięki któremu mogła przyjechać na stałe do Polski. Zostaje znowu sama, nie licząc dalszej rodziny; córka z mężem musiała zostać we Lwowie. W 1994 roku spotyka przypadkiem u znajomych swą młodzieńczą miłość ze Lwowa. Ten starszy, schorowany, ale pogodny człowiek proponuje jej małżeństwo, sam owdowiał przed laty. Licząca lat



69, wiedząc, czym jest pielęgnowanie schorowanego człowieka, doświadczona ciężko życiem, wychodzi ponownie za mąż. Kiedy poznałyśmy się, była znów wdową, trzecie małżeństwo trwało niecały rok. W swym życiorysie, Stasia wspomina je dobrze, kończąc: „Spełniłam życzenie męża, aby spoczął w grobie w Sopocie. Grób był przez niego projektowany. Był marynarzem, takie miał życzenie, spoczywać blisko morza, które tak bardzo kochał.”

Pytałam Stasię, skąd jej ofiarna praca na rzecz Związku Sybiraków w dobie, gdy tak trudno znaleźć społeczników. Odpowiedziała: „to za mamę, ona tam umierała z rozpacz, zostawiając na Syberii dwie sieroty, obcych ludzi prosiła, aby je do Polski zawieźli, nie zostawiali na obcej ziemi, to dla mamy, dla niej”.

*Krystyna Żemralska*

## • SYBERYJSKA OPOWIEŚĆ

Przeżycia Polaków, którzy w latach 1940-1946 doznali skutków stalinowskich represji w formie deportacji z Kresów Wschodnich na nieznane obszary imperium sowieckiego, w tym na teren Syberii, były przedmiotem licznych ustnych relacji żyjących jeszcze Sybiraków oraz tworzywem opracowań naukowych i literackich. Także kinematografia, na bazie posiadanych materiałów wspomnieniowych, dokonała wiele prób fabularyzacji zesłańczych wspomnień, dając mniej lub bardziej wiarygodny przekaz dla potomnych.

Telewizja, jako młodsza siostra kinematografii, do pewnego czasu była odbierana przez widzów głównie jako emitent produkcji o charakterze dokumentu i to nie zawsze rzetelnego. Dopiero w czasie ostatniej dekady, wiele ośrodków telewizyjnych w kraju dokonało pogłębienia kontaktu z problematyką losów mieszkańców Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej. Wielkie na tym polu zasługi odnotowuje od kilku lat oddział TVP we Wrocławiu, w strukturze którego działa kierowane przez redaktor Grażynę Orłowską-Sondej „Studio Wschód”. Zasadą kierowanej przez nią redakcji jest wiele reportaży z terenów Ukrainy, Białorusi, Mołdawii i Litwy, a wiosną 2009 roku narodził się pomysł wyprawy na Syberię, aby podążyć szlakiem byłych mieszkańców Kresów oraz pokazać ich pogmatwane losy w miejscach deportacji.

Wybór padł na tematykę przeżyć najmłodszych zesłańców w syberyjskich sierocińcach, a w tym konkretnym przypadku w „diedomie” w Małej Minusie. Wyprawę zaplanowano na początek sierpnia 2009 r., a przewodnikiem w podróży był autor tego artykułu wywieziony na Syberię w lutym 1940 r. w wieku 3 lat. Dla wprowadzenia do tematyki, godzi się na wstępie przedstawić kilka informacji o miejscowości będącej celem wyprawy oraz o historii jej odkrycia dla potrzeb współczesnych retrospekcji. Po tym wprowadzeniu łatwiej będzie współuczestniczyć w podróży i spotkaniu z realiami Syberii.

Mała Minusa to miejscowość położona w Kotlinie Minusińskiej w Krajoznajarskim Kraju, około 8 km na wschód od centrum regionu – Minusińska. Region sąsiaduje przez rzekę Jenisiej z centralną częścią Republiki Chakasja, w tym z jej stolicą – Abakanem. Współcześnie, Mała Minusa jest typową wsią syberyjską o wysokiej kulturze rolnej i dużej efektywności produkcji, zapewniającej dostatanie życie swym mieszkańcom.

W czasie II Wojny Światowej, w latach 1943-1946, w budynku miejscowej szkoły, funkcjonował polski dom dziecka, dający schronienie około 130 dzieciom polskim, zebranych z różnych miejsc na obszarach Południowo-Zachodniej Syberii, dokąd wcześniej, w ramach deportacji politycznych z terenu wschodnich województw Polski, trafili wraz z całymi rodzinami. Historyczną refleksję o tamtej Małej Minusie zainicjowałem w 2000 r. jako wychowanek tego domu dziecka przy wsparciu prezesa Kulturalno-Narodowej Organizacji Społecznej „Polonia” w Republice Chakasja dr.Sergiusza Leończyka, na spotkaniu w Irkucku z okazji obchodów 10 rocznicy polonijnej organizacji „Ogniw”. Pogłębienie zainteresowania tematem i dalsze rozwinięcie stanu wiedzy z tego zakresu nastąpiło z udziałem prezesa Polonii Minusińskiej Olgi Tiemierowej, przy wielce życzliwej akceptacji władz administracyjnych Minusińska i Małej Minusy, a także przy wydatnej pomocy organizacyjno-materialnej rządu Republiki Chakasja.

Dzięki aktywnym działaniom ludzi dobrej woli z Polski i Syberii, w dniu 29 września 2001 r. dokonano odsłonięcia i poświęcenia na budynku byłego domu dziecka w Małej Minusie tablicy pamiątkowej, będącej od tej pory symbolem jakże powikłanej historii polskiego narodu. W Muzeum Regionalnym w Minusińsku, kierowanym przez długoletnią dyrektor Ludmiłę Jermołajew, wykonano i złożono księgę pamiątkową z listem intencyjnym dotyczącym gromadzenia materiałów historycznych i kulturalnych dotyczących Ziemi Minusińskiej.

Upływający czas jest nie tylko najlepszym lekarzem duszy, ale też selekcjonuje i ubarwia wspomnienia, kształtując stopień nieustającej nostalgii za tym, co bezpowrotnie przemija i tworzy indywidualną historię życia. Byli wychowankowie „dietdomu” w Małej Minusie, nazywający siebie „minusińczykami”, zarejestrowali w swej pamięci niezbyt piękny subiektywny wizerunek okresu pobytu w tej placówce opiekuńczo-wychowawczej. Lata 1940-1946, widziane przez pryzmat okrutnej deportacji z rodzinnych pieleszy na obszary Syberii i długiej tułaczki po różnych miejscach odosobnienia, pozostawiły bolesną bliznę na psychice żyjących jeszcze wychowanków i trudno jest się dziwić schorowanym już dzisiaj 70-80 latkom ich klaustrofobii i braku podatności na próby innego spojrzenia na związane z tym fakty.

Trzeba było więc skutecznego impulsu, stwarzającego możliwość dokonania konfrontacji zachowanych wspomnień z rzeczywistością, a w konsekwencji do zbudowania obiektywnego obrazu swej przeszłości. Takim impulsem, były spontanicznie działania grupy wychowanków sierocińca na rzecz odtworzenia historii spędzonego na Syberii dzieciństwa. W dniach 19-23 maja 2002 r. w miasteczku Iława, w północno-wschodniej części Polski, odbył się kolejny Zjazd Sierot Polskich, byłych wychowanków syberyjskich domów dziecka. W iławskim zjeździe uczestniczyło 14 wychowanków „diet domu” w Małej Minusie, wśród których zrodziła się myśl odwiedzenia miejsca swego wojennego dzieciństwa. Osób chętnych do zrealizowania tego zamiaru było wiele i tylko należało skonkretyzować sposobność do wyjazdu i program wycieczki. Ostatecznie, do definitywnego uczestnictwa w wycieczce zadeklarowało się oprócz autora artykułu 5.osób, a okazją do podjęcia poważnych rozważań na temat wyjazdu do Małej Minusy, stało się otrzymane zaproszenie od organizacji polonijnej „Latarnik” w

Tiumeniu, do wzięcia udziału w zaplanowanych w dniach 16-17 maja 2003 r. uroczystościach Jubileuszu X-lecia tego stowarzyszenia.

Biorąc pod uwagę znaczną odległość Syberii od Polski, w ramach dobrze pojętej ekonomiki podróży i wykorzystania czasu na zapoznanie się ze współczesnym odradzaniem się kultury i świadomości etnicznej Polaków za Uralem, w porozumieniu z dr. S. Leończykiem przyjęto koncepcję wykorzystania tej podróży do Tiumenia z przedłużeniem jej do Abakanu i Małej Minusy. Wystarczyło bowiem odbyć 36-godzinną podróż pociągiem z Tiumenia do Abakanu, aby ponownie spotkać się z wojenną historią. Wariant organizacyjny został zaakceptowany przez potencjalnych uczestników i organizatorów. Zatem po uroczystościach w Tiumeniu, na dworcu kolejowym w tym mieście nastąpiło połączenie z grupą jadącą bezpośrednio z Moskwy i dalej wszyscy podróżowali pod opieką dr S. Leończyka, który specjalnie przyjechał do Tiumenia na spotkanie gości.

Wczesny poranek 20 maja 2003 r. przywitał w Abakanie gości z Polski szarością i kałużami wody po nocnych burzowych opadach, chociaż na nieboskłonie można było już dostrzec zapowiedzi późniejszej poprawy pogody. Na mokrym peronie witali nas przedstawiciele abakańskiej Polonii w osobach Wiceprezes Zarządu Ludmiły Koczetowej i jej męża Aleksandra, których twarze promieniały radosnym spojrzeniem i życzliwością. Po krótkich, serdecznych powitaniach, kolumna kilku samochodów odwiozła przyjezdnych do hotelu „Abakan”, gdzie nastąpiło zakwaterowanie i kilkugodzinny odpoczynek po długiej podróży. W hotelu dołączył do grupy profesor Antoni Giza z Uniwersytetu Szczecińskiego.

Gospodarze nie dali jednak szans na zbyt długi odpoczynek i już o godzinie 14. nastąpiło oficjalne spotkanie w siedzibie rządu Republiki Chakacji z Prezesem Komitetu ds. Polityki Narodowościowej Panią Minister Lubow Josziną. Niezwykle ciepła i serdeczna rozmowa uczestników „ekskursji” z Panią Minister i Prezesem Zarządu Kulturalno-Narodowej Organizacji Społecznej „Polonia” dr. Sergiuszem Leończykiem, była dobrą zapowiedzią na nasz dalszy pobyt na Syberii. Ukoronowaniem tak dobrze rozpoczętego dnia, stało się przemilę spotkanie z przedstawicielami abakańskiej Polonii w siedzibie miejscowej szkoły, prowadzącej naukę języka polskiego. Prezentacje artystyczne członków polonijnych zespołów oraz wspólna kolacja trwały od godz. 17. do godzin wieczornych. A potem już w hotelu, uczestnicy wycieczki przeżywali treść przed jutrzejszym spotkaniem z historią, a więc przed wyjazdem do Minusińska i Małej Minusy.

W dniu 21 maja 2003 r., punktualnie o 9.30, grupa ruszyła mikrobusem w stronę Minusińska. Znajdujący się w samochodzie „minusińczycy”, z biciem serc patrzyli na mijaną drogę, oglądali budzące skojarzenia pejzaże oraz prześcigali się w opowiadaniu zapamiętanych przeżyć i doznań z okresu pobytu na tych terenach Syberii. Przed tablicą oznaczającą roгатki Minusińska, samochód zatrzymał się na chwilę i wszyscy stanęli do wspólnej fotografii, upamiętniającej rozpoczęcie ostatniego odcinka tej nostalgicznej podróży do miejsc swego wojennego sieroctwa.

Oprócz autora niniejszego artykułu, w „ekskursji” uczestniczyli: rodzeństwo Janiny i Józefa Bołonkowskich, żywiących cichą nadzieję odnalezienia na

cmentarzu w Małej Minusie śladów pochówku swojej matki oraz trzy siostry Bogusławskie: Henryka, Honorata i Danuta, w których imieniu, najbardziej aktywna we wspominkach była Henryka. Po zwiedzeniu centrum miasta oraz biblioteki i Muzeum im. Martianowa, w czym osobiście i z dużą życzliwością towarzyszyła dyrektor Ludmiła Jermołajewa, a następnie po wizycie w studiu miejscowej rozgłośni radiowej i udziale w okolicznościowej audycji, grupa narazie udała się do Małej Minusy, na spotkanie ze „swoim” diet domem.

Trudno jest opisać wzruszenie, jakie ogarnęło uczestników wycieczki po przybyciu na miejsce. Licznie zgromadzeni mieszkańcy wioski, a zwłaszcza dzieci, zgotowali gościom z Polski i towarzyszącym im przedstawicielom władz administracyjnych Minusińska i Małej Minusy, a także rządu Republiki Chakasji – tak gorące powitanie, że wzruszenie ścisnęło gardło, a łzy same płynęły z oczu. Spotkanie uświetniły miejscowe zespoły artystyczne, w tym polonijny zespół „Czerwone Jagody”, a kontakt z żywą historią, uczestnicy uzyskali dzięki wspomnieniom Aleksandra Sołdatowa, który opowiedział przeżyty w 1943 roku osobisty kontakt z „diet domem” i jego ówczesną kierowniczką, Polkę Marią Karską.

Wspólny obiad w siedzibie administracji wioski oraz wymiana drobnych upominków i pamiątek, sprzyjały nawiązaniu serdecznych więzi pomiędzy gospodarzami i gośćmi. Niezastąpionym pomostem między nimi, byli przedstawiciele władz organizacji polonijnych z Minusińska i Abakanu, skutecznie kreujący rodzinną atmosferę spotkania. Goście z Polski nie ukrywali wzruszenia i szczerze wyrażali wdzięczność za przeżyte doznania mówiąc: „Dziękujemy Ci Syberio za możliwość zmiany dotychczasowego o Tobie mniemania. Z krainy o budzącym groźbę obliczu, jawisz się nam teraz krajem przyjaznym i szczęśliwym, gdzie w wysokiej cenie jest wzajemne poszanowanie ludzi i gościnność.”

Spojrzenie kamery, zwłaszcza inicjowane i realizowane przez profesjonalną redakcję, potrafi wydobyć z dostępnych refleksji ziarno prawdy o odległych wydarzeniach, o których zachowały się w ludzkiej pamięci jedynie liche strzępy. Syberyjska tematyka, zarejestrowana w pamięci wojennych sierot, jest ze wszech miar nie małym dziennikarskim wyzwaniem, ale dla redakcji „Studia Wschód” TVP Wrocław, kierowanej przez red. G. Orłowską-Sondej, nie ma spraw niemożliwych do realizacji. Wspomniany wcześniej spontaniczny plan ponownej podróży na Syberię zrodził konkretną decyzję wyjazdu i wczesnym rankiem 5 sierpnia 2009 r. trzyosobowa ekipa telewizyjna, z udziałem autora niniejszego wspomnienia – ruszyła samochodem do Warszawy i dalej pociągiem do Moskwy, skąd samolotem odbyto lot do Abakanu.

Przysłowiowym „bladym świtem” 7 sierpnia 2009 r. samolot lecący z Moskwy do Władywostoku miał międzylądowanie na lotnisku w Abakanie, gdzie z ramienia kierownictwa tamtejszej organizacji polonijnej, gości z Polski przywitał Aleksander Koczetow. Filmowcy ze „Studia Wschód”, którym doskonale były znane ścieżki kontaktów ze skupiskami polonijnymi na terenie Kresów Wschodnich, znaleźli się pod nie małym wrażeniem przy zetknięciu z ziemią syberyjską, w odległości od Wrocławia około 6,5 tys. kilometrów. Stołeczny Abakan jest siedzibą sporej liczebnie organizacji polonijnej, skupiającej żyjących w Chakasji potomków polskich zesłańców popowstaniowych oraz dobrowolnych przesiedleńców z polskich Kresów Wschodnich, poszukujących na

przełomie XIX i XX wieku lepszych warunków bytowania. Stowarzyszenie pod nazwą Kulturalno-Narodowa Organizacja Społeczna „Polonia”, kierowane przez Prezesa dr. S. Leończyka, aktywnego działacza władz centralnych Kongresu Polaków w Rosji – ściśle współpracuje z organizacją „Polonia Minusińska”, działającą na południu Krasnojarskiego Kraju. Kierownictwa obu organizacji, wspólną opieką otacza szkołę w Małej Minusie, w której w latach 1942-1946 działał polski sierociniec. Obecne kierownictwo szkoły, we współpracy z działaczami organizacji polonijnych, pielęgnuje tradycje dotyczące funkcjonowania polskiego „diet domu”, a specjalnie w tym celu, w szkole utworzono filię Muzeum Regionalnego w Minusińsku, stanowiącą istotną placówkę dydaktyczną przybliżającą historię regionu i po części historii stosunków rosyjsko-polskich.

Właśnie Mała Minusa i działająca tam szkoła – były głównym celem telewizyjnej wyprawy. Po przybyciu do Abakanu i kilkugodzinnym odpoczynku w hotelu, autobus użyczony gościom z Polski przez miejscowe Centrum Kultury ruszył z gośćmi z Polski i grupą miejscowych działaczy polonijnych do Minusińska, gdzie nastąpiło wielce wzruszające powitanie przez polonijny zespół artystyczny „Czerwone Jagody”, po czym nastąpił przejazd do Małej Minusy.

Czas trwających wakacji uzasadniał puste klasy i korytarze w szkole, ale na spotkanie z gośćmi z Polski przybyli nauczyciele wraz z dyrektorką tej placówki Zinaidą Moliną, a ponadto na spotkanie przybył naczelnik Małej Minusy Aleksiej Korotkich z najbliższymi współpracownikami. Rodzinna atmosfera w trakcie spotkania, jeszcze bardziej umocniła istniejące kontakty między środowiskiem „polskich sybiraków” a mieszkańcami Małej Minusy. Kolejne dni pobytu na Syberii poświęcono na spotkania środowiskowe z polskimi mieszkańcami kilku wsi, dobrowolnymi emigrantami za Ural w czasach tzw. reformy stołypinowskiej w Rosji z końca XIX i na początku XX wieku. Zgromadzony materiał filmowy posłużył do powstania cyklu reportaży o wielce patriotycznej tematyce, przybliżającej polskie drogi w tym „domu niewoli”.

*Bolesław Włodarczyk*

- **IX MIĘDZYNARODOWY MARSZ ŻYWEJ PAMIĘCI  
POLSKIEGO SYBIRU (2009)**

Dziewiąty już, Międzynarodowy Marsz Żywej Pamięci Polskiego Sybiru zgromadził w Białymstoku ponad trzysta tysięcy ludzi, a wśród nich wiele wybitnych postaci życia politycznego i społecznego kraju. Na uroczystości przybyli: przedstawiciel prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej – szef Kancelarii Prezydenta min. Władysław Stasiak, doradca prezydenta RP min. Jacek Sasin, doradca marszałka Sejmu RP min. Waldemar Strzałkowski, kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych min. Janusz Krupski, posłowie z Podlasia Robert Tyszkiewicz, Józef Klim, Krzysztof Jurgiel; senatorowie: Bohdan Paszkowski i Jan Dobrzyński.

W przeddzień marszu na uroczystym spotkaniu sztandarom Oddziałów Związku Sybiraków w Elblągu, Katowicach, Krakowie, Łodzi, Opolu i Krośnie nadane zostały medale Pro Memoria, medal ten otrzymało także wielu sybiraków. Referat na temat 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej wygłosił

Edward Duchnowski – Sekretarz Generalny Zarządu Głównego Związku Sybiraków. W bogatej części artystycznej spotkania wystąpili uczniowie Zespołu Szkół Technicznych im. Wł. Andersa w Białymstoku i chór Czerwone Maki z Mińska Białoruskiego. W Muzeum Sybiraków min. Janusz Krupski, któremu towarzyszyli min. Jacek Sasin i min. Waldemar Strzałkowski odsłonił nową ekspozycję pod nazwą „Sybirak – Tułacz – Żołnierz”.

Do Komitetu Organizacyjnego IX Międzynarodowego Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru napłynęły listy od członków rządu – prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska, byłego prezydenta RP na uchodźstwie Ryszarda Kaczorowskiego, marszałka Sejmu RP Bronisława Komorowskiego, wicemarszałka Sejmu Ewy Kierzkowskiej, przewodniczącego Klubu Parlamentarnego Prawo i Sprawiedliwość Przemysława Gosiewskiego i wiele innych. Niektóre listy były odczytane w czasie uroczystości. Uczestników Marszu przywitał i pozdrowił marszałek województwa podlaskiego Jarosław Dworzański, w serdecznych słowach pozdrowił uczestników min. Janusz Krupski, kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Tego dnia miasto było odświętnie udekorowane. Wyruszającą na trasę kolumnę pobłogosławili w obrzędzie prawosławnym abp Jakub – ordynariusz prawosławnej diecezji białostocko-gdańskiej, w obrzędzie katolickim ks. abp prof. Edward Ozorowski. Mszę św. w kościele p.w. Ducha Świętego odprawił ks. prof. Edward Ozorowski, homilię wygłosił ks. kmd. por. Zbigniew Rećko. Przed kościołem zainstalowano telebim, by chociaż w ten sposób ci, którzy nie zmieścili się wewnątrz świątyni, mogli uczestniczyć w nabożeństwie i uroczystości przy pomniku – Grobie Nieznanego Sybiraka.

Przy Grobie Nieznanego Sybiraka, po „Hymnie Sybiraków” i modlitwie za zmarłych w obrzędzie katolickim, prawosławnym i ewangelickim, zebrani wysłuchali okolicznościowych przemówień. Jako pierwszy głos zabrał przewodniczący Komitetu Organizacyjnego IX Międzynarodowego Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, a następnie w imieniu prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, szef Kancelarii Prezydenta – Władysław Stasiak, doradca marszałka Sejmu – min. Waldemar Strzałkowski, minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego prof. Barbara Kudrycka, w imieniu prezesa Rady Ministrów Donalda Tuska – kierownik Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych – Janusz Krupski. Przewodniczący uroczystości Jerzy Koffer odczytał listy, które napłynęły do Komitetu Organizacyjnego Marszu. Uroczystość zakończył apel poległych i salwa honorowa.

W IX Międzynarodowym Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru wystąpiły 264 poczty sztandarowe i około trzynastu tysięcy osób, w tym, co szczególnie cieszy, około dziesięciu tysięcy młodzieży szkolnej i harcerzy. Uczniowie białostockich szkół prezentowali się wspaniale – poważni, zdyscyplinowani, rozumiejący powagę chwili, z dumą nieśli sztandary sybiraków, odciążając ich od trudnego wysiłku.

Wiele szkół szło pod własnym sztandarem. Była to dla tych młodych dziewcząt i chłopców niewątpliwie najlepsza lekcja historii, którą zapamiętają lepiej niż najstaranniej przygotowany wykład. Jak zawsze nie zawiedli sybiracy mieszkający za granicą. Ponad trzysta osób, nie licząc się z kosztami i pokonu-

jąc trudy podróży, przyjechało z Białorusi i Litwy (stąd najwięcej), mniej z Ukrainy, Łotwy i Estonii, a także z Anglii, Kanady i USA.

*Irena Tańska*

### **WZAJEMNE (NIE)ZROZUMIENIE PO NALEWCE Z MUCHOMORÓW. REFLEKSJE PO SPEKTAKLU TEATRU Z LEGNICY NA SYBERII**

29 września 2009 r. na dużej scenie Tiumeńskiego Teatru Dramatycznego spektakl „Opowieść syberyjska” Krzysztofa Kopki w reżyserii Jacka Głomby przedstawili aktorzy Teatru im. H. Modrzejewskiej z Legnicy.

Występ polskiego teatru był szczególnie wyczekiwany przez członków Tiumeńskiego Obwodowego Centrum Oświaty i Kultury Polskiej „Latarnik”, Polaków Tiumentia, Iszymia i Tobolska. Miał to być pierwszy przyjazd mistrzów polskiej sceny do obwodu tiumeńskiego. W komunikatach prasowych legnicki teatr był nazywany „ozdobą dzisiejszej Polski teatralnej”. Wysokie walory „cudu legnickiego” i jego „czarodzieja”, poprzedzające bezpośrednie spotkanie w teatrze, rozbudzały zainteresowanie spektaklem.

Akcja sztuki o oryginalnym tytule „Pałę Rosję – opowieść syberyjska”, rozwija się w dwóch planach czasowych: w roku 1849 i 2009. Jej autor, Krzysztof Kopka podkreślał w swoich wywiadach w Polsce na długo przed premierą: „Część historyczna jest oparta na prawdziwych wydarzeniach i postaciach zesłańców, takich jak Piotr Wysocki, który stał się na Syberii przedsiębiorcą, jednym z największych producentów mydła. Albo małżeństwo Migurskich, którzy wybierając się do powstania, ekshumują ciała swoich zmarłych dzieci i zabierają je ze sobą w słojach, po to, żeby nie zostały w rosyjskiej obcej ziemi”. W rozmowach z polskimi dziennikarzami, zarówno dramaturg jak i reżyser mówili, że przedstawiają w spektaklu „mało znany epizod nieudanego powstania polskich zesłańców”, a porównanie czasów w zamierzeniu autorów miało służyć szlachetnemu celowi „obalenia wzajemnych stereotypów i uprzedzeń, opowiedzieć Rosjanom o polskiej historii, a Polakom pokazać rosyjski punkt widzenia”.

Inszenizacja sztuki z rekonstrukcją wydarzeń historycznych nieznanego nikomu nieudanego wystąpienia na Syberii z udziałem znanych z dziejów Powstania Listopadowego i zesłania polskiego postaci, miała stać się wielkim wydarzeniem w środowisku Polonii tiumeńskiej, której liczba - wraz z okręgami Chanty-Mansijskim i Jamało-Nienieckim - sięga dziś 3427 osób. Zgodnie z zamiarem pomysłodawców, teatr z Polski miał przedstawiać swój spektakl właśnie tam, gdzie kiedyś byli zsyłani Polacy: oprócz Tiumentia, także w Tobolsku, Szadrińsku, Irbiciu, Iszymiu, Tomsku, Nowosybirsku, Władimirze i Moskwie. Na nie mającą precedensu wyprawę Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego RP w ramach programu „Promocja kultury polskiej za granicą” Instytutu Adama Mickiewicza, przyznało znaczącą kwotę 224 000 złotych.

Istniejące od 16 lat na ziemi tiumeńskiej stowarzyszenie „Latarnik” zostało założone przez potomków zesłańców, osadników i deportowanych Polaków w celu zachowania i rozwoju kultury polskiej w obwodzie tiumeńskim. Dobrze się znając na dziejach Polaków na Syberii, członkowie organizacji otaczają czcią pamięć o zesłańcach polskich, którzy ofiarowali na ołtarzu wolnej i niepodległej Polski swój dobrobyt, majątek, rodziny i wreszcie życie. Tiumeńscy Polacy osobiście pracują nad źródłami archiwalnymi, wydając monografie i

nagrywając filmy dokumentalne. Założyliśmy jedyne w Rosji muzeum historyczno-etnograficzne poświęcone Polakom „Polacy w kraju tiumeńskim”, gromadząc 4000 oryginalnych eksponatów materialnej kultury polskich zesłańców i osadników. Nasza biblioteka liczy kilkaset woluminów w języku polskim a rosyjskim. Opieka mogił polskich zesłańców i uwiecznienie ich pamięci w postaci tablic i rozmaitych imprez poświęconych ich życiu i służbie, jest codzienną praktyką naszego stowarzyszenia.

Jeszcze przed spektaklem chciałem otrzymać od K. Kopki i J. Głomba odpowiedzi na szereg pytań. Dlaczego, akcentując potrzebę autentyczności w ukazaniu wydarzeń w spektaklu i obalenia polsko-rosyjskich stereotypów, autorzy mówią o nieistniejącej próbie powstania zesłańców polskich na Syberii w roku 1849, skoro w dziejach Syberii Wschodniej miało miejsce prawdziwe nieudane powstanie Krugłobajkalskie z udziałem 700 polskich zesłańców na czele z N. Celińskim, G. Szaramowiczem, J. Rejnerem i W. Katkowskim? Dlaczego w tekście sztuki zniekształcono życiorysy prawdziwych i dobrze znanych polskiej historiografii zesłańców: Piotra Wysockiego i małżonków Migurskich?

Historycznie wiarygodny Piotr Wysocki (1797-1874), podporucznik i dowódca południowej, jednej z trzech powstańczych armii Warszawy, wezwał w nocy 29 listopada 1930 r. podchorążych do broni, a następnie powiódł ich z Łazienek na Arsenał, faktycznie rozpoczynając Powstanie Listopadowe. W czasie powstania dostał stopień majora i został dowódcą 10 pułku piechoty. Ranny dostał się do niewoli, gdzie w ciągu 3 lat: 1831-1834, trzy razy był skazywany na karę śmierci. Po jej zamianie na 20 lat ciężkich robót na Syberii i odbyciu drogi do Bajkału w kajdanach, zaczął pracę w Aleksandrowsku k. Irkucka, skąd szybko uciekł. Ranny przy schwytaniu, jako inicjator zbiorowej ucieczki został skazany na karę chłosty: 1000 kijów. Egzekucję wytrzymał i został skierowany do kopalni w Akatju. Według świadków, charakteryzował się „dziwną wytrwałością”, znosząc „swój los z godnością” i wspierając innych rodaków. Wrócił do kraju w 1856 r. na mocy manifestu koronacyjnego cara Aleksandra II. W spektaklu ten bohater narodowy, który przeżył katorgę, jest prezentowany jako wyelegantowany młody handlowiec o przezwisku Mydełko, którego za powodzenie nienawidzą rodacy.

Autentyczne osoby: Albina (?-1843) i Wincenty (1810-1862) Migurscy, uciekając z zesłania w Uralsku (gubernia orenburska) w stronę polskiego domu w roku 1840, zabrali w ukrytych trumienkach zwłoki dwojga dzieci. Zostali złapani w Saratowie, gdzie pochowano dzieci na cmentarzu miejskim, a małżonków skierowano do Nerczyńska, gdzie w 1843 r. Albina zmarła na suchoty (nie mogła więc być gospodynią salonu na zesłaniu, jak to jest przedstawione w sztuce), a Wincenty, awansowany na podoficera 14 Syberyjskiego Batalionu Linowego, w roku 1859 wyjechał do Warszawy, zaś potem do Wilna (w przeciwieństwie do postaci Migurskiego w sztuce, zamordowanego i pochowanego na Sybirze). W roku 1863 ukazały się we Lwowie jego „Pamiętniki z Sybiru”. Migurski - szlachcic mówiący po francusku i po rosyjsku, w sztuce jest osobnikiem niechlujnie ubranym, intelektualnie niedorozwiniętym i zdradzającym żonę z „miejscową dziwką”.

Autorzy przedstawienia, panowie Kopka i Głomb przyznali się, że próba powstania na Syberii została przez nich wymyślona, że ich interpretacja się nie zgadza z biografiami realnych historycznych postaci, lecz informacja o produk-



cji mydła przez Wysockiego i o próbie wywiezienia zmarłych dzieci przez Migurską wstrząsnęły nimi tak mocno, że zaćmiły inne fakty. Na słowa krytyki, że sztuka traci na prawdzie i wiarygodności historycznej, autor stwierdził: „Wiem, że dotykamy tematu mitów narodowych i patriotycznych. W swoim opowiadaniu chciałem uniknąć patosu. Gatunek mojej sztuki to tragifarsa. Moi bohaterowie ostatecznie giną i wydaje mi się nawet, że w tej ostatniej godzinie przed kaźnią osiągają coś na kształt wzniosłości. A że wcześniej byli śmieszni i głupi – czy to takie nieprawdopodobne? Czy błazen nie może umierać godnie?”.

Więc autor sztuki i reżyser ze złymi intencjami przedstawili w spektaklu powstańców polskich jako dumnie umierających błaznów, którzy śmiesznie i głupio przeżyli życie?! Oto prawdziwa walka ze stereotypami! W takim kontekście bycie historycznie wiarygodnym nie ma znaczenia. Nam, widzom w Tiumentiu, pozostawało tylko zobaczyć, jak to „ideowo-artystyczne nastawienie” zostanie zrealizowane w spektaklu. Pomimo zainteresowania, wielu chętnych odstraszył brak synchronicznego tłumaczenia. Wśród widzów było tylko ok. 40 członków „Latarnika”. Mogłoby być ich więcej, lecz po zdobyciu wiedzy o artystycznych zamiarach gości z Polski, większość zdecydowała się zostać w domu.

Nieprzyjemne wrażenia spotkały widzów już w ciągu pierwszych minut spektaklu: brak dekoracji, zła słyszalność na widowni, niezrozumienie polskich dialogów (spektakl był dwujęzyczny, brak tłumaczenia synchronicznego partii granych po polsku).

Akcja toczy się w wymyślonym osiedlu Chandra-Ułyńska na Syberii Wschodniej, blisko Irkucka. Autorzy albo nie wiedzą, że w tym miejscu mieszkają Buriaci, albo jest im wszystko jedno, albo naumyślnie pozbawiają osiedle konkretnej lokalizacji. Dlaczego osiedle nazywa się Chandra-Ułyńska? Pan Kopka postanowił, że Polacy na Syberii mieli chandrę, czyli nudzili się. Skąd on ma takie wyobrażenie o polskich zesłańcach? Z braku wiedzy. Panowie z dalekiej Legnicy, pretendujący do wprowadzenia prawdy do świata fałszywych opinii, nie wiedzą, że powstańcy listopadowi (którymi są bohaterowie sztuki) byli w absolutnej większości szlachcicami z odpowiednim wykształceniem i rozwiniętym intelektem, który pozwalał im odnaleźć się w każdych warunkach na „niehumanitarnej ziemi”. Tu oni zakładali orkiestry i grali w nich (K. Wolicki), pisali wiersze i poematy (G. Zieliński), pełnili obowiązki bibliotekarzy (A. Januszkiewicz), najmowali się do urzędów państwowych (O. Pietraszkiewicz), zdobywali uznanie jako rzemieślnicy lub malarze (I. Cejzyk, J. Jasiński), dużo czytali, rozważali i pisali, wszelkimi sposobami sprzyjając sprawom oświecenia razem z dekabrystami (G. Sobański), budowali kościoły, centra ich moralnego życia (M. Moraczewski, O. Pietraszkiewicz, A. Pawsza). Następne pokolenia powstańców polskich całkowicie zmieniły widok Syberii. Pierwsze browary, przemysłowa hodowla tytoniu, produkcja kielbas i serów, salony fotograficzne, warsztaty jubilerskie, fachowa pomoc lekarska są związane z polskimi nazwiskami. A wkład naukowy A. Czekanowskiego, J. Kozyriewskiego, B. Dybowskiego, B. Piłsudskiego, W. Sieroszewskiego, J. Talko-Hryncewicza i wielu innych, jest dorobkiem w skali światowej. Ten temat jest poruszany przez historyków zarówno w Polsce, jak i w Rosji. I to nie są stereotypy lecz prawda historyczna. W spektaklu zaś jest inaczej.

Bohaterowie sztuki na scenie całują się, przeklinają i uprawiają miłość: kapitan z dwoma dziewczętami jednocześnie. Widzowie ożywiali się, gdy panowie obłapiali damskie wypukłości, a patriotki z Krakowa (w rzeczywistości kur-

tyzany) demonstrowały ażurowe majtki. Powstańcy w spektaklu wyglądali karykaturalnie: jak zaściankowi, niedorozwinięci i znudzeni pijacy, wyuczeni pieśni patriotycznych.

Kulminacyjny moment spektaklu to krwawe stłumienie powstania: gawędziarzowi i kobieciarzowi kapitanowi przecięto gardło, a Migurskiego zmuszono do przyjęcia trucizny. I jedno i drugie w rzeczywistości było niemożliwe: zesłańców karano śmiercią bardzo rzadko i tylko przez powieszenie. Po tej kulminacji następuje współczesny finał w postaci zbliżającej wszystkie narody biesiady alkoholowej. Eliksirem przyjaźni na wieczne czasy staje się nalewka z muchomorów. Polacy i Rosjanie chętnie piją napój, który rodzi halucynacje i wznoszą toasty za braterstwo słowiańskie, „białą Armię”, „Białego cara”, „Józefa Piłsudskiego” oraz kosmonautów Hermaszewskiego i Klimuka.

Większość widzów nie mogąc zrozumieć sztuki, opuściła widowie przed finałem. Przerzedzona widownia dyżurnie oklaskiwała przedstawienie. Siedzący w centrum sekretarz prasowy tiumeńskiego teatru zapalczywie krzyczał: „Brawo!”, lecz jego służbowy zapał nie wywołał skutków. Widzowie nie wstali i nie wywoływali aktorów na scenę oklaskami. Opuszczali salę ze zdziwieniem. Nic śmiesznego nie wyszło: ani humorystycznie, ani ironicznie, ani sarkastycznie. Autorzy spektaklu nie obalili stereotypów, lecz zademonstrowali je w całej okazałości. Chcąc wyśmiać polską skłonność do akcentowania narodowej martyrologii na Syberii, zostali pochłonięci swoją wizją i wyszło zniekształcenie prawdy historycznej, błuźniercze przedstawienie zesłania polskiego. Zamiast dozowanej krytyki - paszkwil na własną historię narodową.

W programie spektaklu czytamy wyznanie autorów sztuki: „Wierzymy, że rezygnacja z przedstawionych przez nas stereotypów i przesądów polskich, z których kpimy w naszej opowieści, pozwoli nam rozpocząć prawdziwy, nieograniczony polsko-rosyjski dialog”. Lecz czy można poważnie przypuszczać, że samoupokorzenie i zhańbienie własnej historii, w której bohaterowie zostają błąznanami, pozwoli wywołać sympatię rosyjskich przyjaciół?

Dzień po spektaklu miałem telefony z Iszymia i Tobolska. Polacy chcieli poznać moje osobiste wrażenia. Padały pytania, jak się zachować wobec nietradycyjnego podejścia legnickich promotorów polskiej kultury na Syberii? Moja odpowiedź była krótka: „Jeśli uważacie siebie za potomków polskich zesłańców w wersji K. Kopki i J. Głomba, proszę kupować bilety nawet po 350 rubli, lecz jeśli Państwo posiadają godność osobistą i narodową, to zamiast spektaklu proszę się pomodlić za swoich przodków”. Sytuacja w Tobolsku i Iszymiu, jak również w innych miejscowościach zwartego zamieszkania Polaków, powtarzała się z nieuniknioną konsekwencją. Początkowa atmosfera syberyjskiej gościnności, po spektaklu ustępowała miejsca oburzeniu i rozczarowaniu. My, Polacy obwodu tiumeńskiego, czekaliśmy na inny teatr z Polski i inne spektakle. Tego samego zdania jest Stowarzyszenie Obwodu Tomskiego „Orzeł Biały, jak wynika z listu jego prezesa Wasyla Chaniewiczza.\*

---

\* Przedruk z pisma poświęconego Polonii i Polakom za granicą „Wspólnota Polska” 4/2009, s. 30-32.

*Sergiusz Fiel*  
*Prezes Tiumeńskiego Centrum Oświaty i Kultury Polskiej „Latarnik”*  
*Wiceprezes Kongresu Polaków w Rosji*

### POŻEGNANIE ANTONIEGO ZWOLAKA

Dnia 17 listopada 2009 roku zmarł w Puławach Antoni Zwolak, były żołnierz Batalionów Chłopskich, więzień obozu NKWD w Borowiczach, współzałożyciel Oddziału Związku Sybiraków w Puławach.

Antoni Zwolak (ps. konspiracyjny „Huczwa”) urodził się 21 listopada 1923 roku w Dzierążni w powiecie Tomaszów Lubelski. Tam ukończył szkołę powszechną. W lipcu 1941 roku w czasie okupacji wstąpił do Związku Walki Zbrojnej zorganizowanego w Dzierążni. W lutym 1942 r. placówka ta weszła w skład Batalionów Chłopskich.

\*

Antoni Zwolak  
(1923 – 2009)

Po powrocie do kraju w marcu 1946 roku rozpoczął naukę w szkole średniej. Po jej ukończeniu rozpoczął studia na Wydziale Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, studiując równolegle etnografię na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej. Studia ukończył w roku 1952 uzyskując dyplom magistra prawa i etnografii. Po studiach pracował w różnych zakładach jako radca prawny. Aktywnie włączał się do organizacji ruchu kombatanckiego, a z chwilą reaktywowania Związku Sybiraków był współzałożycielem Oddziału w Puławach, w którym działał do ostatnich swoich dni. Był członkiem Polskiego

Stronnictwa Ludowego oraz Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici” i „Siew”. Posiadał odznaczenia: Krzyż Partyzancki, Krzyż Batalionów Chłopskich, Medal Zwycięstwa i Wolności, Odznaka Grunwaldzka i Krzyż Zesłańców Sybiru oraz mianowany był do stopnia porucznika Wojska Polskiego. Jego autorstwa są też liczne publikacje poświęcone działalności Batalionów Chłopskich oraz wspomnienia z obozu w Borowiczach.

\*

Na pogrzeb śp. A. Zwolaka przybyła liczna społeczność Związku Sybiraków w Puławach oraz byli żołnierze Batalionów Chłopskich. Pożegnał Go prezes Oddziału Związku Sybiraków w Puławach Henryk Skirgajło, który powiedział:

„Szanowny poruczniku Antoni, były żołnierzu Batalionów Chłopskich, więźniu Obozu NKWD, Sybiraku! Żegna dziś Ciebie Twoja rodzina, kombatanci, przyjaciele, sąsiedzi, koledzy i znajomi, społeczeństwo Puław. Żegnają też Sybiracy z Puławskiego Oddziału, którego przed 20-tu laty byłeś współzałożycielem, długoletnim aktywnym członkiem, a z racji swojego zawodu radcą w trudnych sytuacjach życiowych schorowanym, bezradnym, których rozumiałeś najlepiej, którzy podobnie jak Ty na zesłaniu cierpieli niedostatek, głód, upokorzenie. Wielu z Twoich przyjaciół żołnierzy i naszych ojców, matek sióstr i braci nie miało szczęścia wrócić do Ojczyzny. My wróciliśmy. Dziś, kiedy dosięga nas smuga cienia, kiedy przychodzi pora odejść z tego świata, Ty jesteś jednym z nas. Stojąc nad miejscem gdzie spocznieś na zawsze, my Sybiracy żegnamy Ciebie słowami: spoczywaj w pokoju w ziemi puławskiej, w polskiej ziemi. Niech ta ziemia Tobie lekką będzie. Cześć Twojej Pamięci!”

Słowa hymnu „Marsz Sybiraków” napisane przez poetę Sybiraka Mariana Jonkajtysa, dla potomnych niech będą krótką lekcją historii narodu polskiego, a nasze sztandary niech oddadzą Tobie ostatni pokłon.

Żegnaj przyjacielu !

*Oddział Związku Sybiraków w Puławach*



---

## NASZE RODOWODY

„Nasze Rodowody”, to nowy dział w „Zesłańcu”, w którym publikowane są sagi rodzinne Polaków z Federacji Rosyjskiej i republik postradzieckich. Wątkiem wiodącym łączącym te opowieści jest przybliżenie Czytelnikom wiedzy o polskiej diasporze w tych krajach. Wszystkie teksty przepełnione są różnymi losami, dzięki czemu dowiadujemy się więcej o Polakach mieszkających na Syberii, w Kazachstanie, Uzbekistanie i Jakucji, w Buriacji i na Sachalinie, we Władywostoku, Tomsku czy Omsku.

Intencją redakcji jest ukazanie rodowodu Polaków, których los związał z tymi rozległymi obszarami. Takie ujęcie to nie tylko historia przeżyciami ludzi opowiedziana ale zarazem wielość emocji i doświadczeń jednostkowych w obliczu wielkich rodzinnych tragedii, które dotknęły np. mieszkańców polskich wsi na Syberii, takich jak Wierszyna opodal Irkucka czy Białystok w okolicach Tomsku. Pozwoli to Czytelnikowi poznać działania zbrodniczej sowieckiej maszyny w kontekście przeżyć i doświadczeń jednostkowych milionów mieszkańców byłego ZSRR. Zakres chronologiczny tych opowieści zakreślają daty i wydarzenia z okresu zsyłek carskich na Syberię, dobrowolnej emigracji chłopskiej za Ural oraz deportacji w okresie drugiej wojny światowej i pierwszych lat po jej zakończeniu.

Przedzierając się przez gąszcz tych wydarzeń poznajemy nieraz współczesnych animatorów odradzania się życia polskiego na Syberii, uczestniczących w procesie rewitalizacji tradycji wywodzącej się z rodzinnych przekazów, najczęściej utraconej w ciągu długich lat prześladowań, deetniczacji i asymilowania się w większościowej grupie narodowościowej tj. rosyjskiej. Mamy nadzieję, że cykl ten wypełni lukę w wiedzy o życiu, a zwłaszcza o kulturze i świadomości etnicznej Polaków na Wschodzie, stanowiącej coraz żywsze zainteresowanie badaczy – historyków, etnologów i socjologów. (red)

\*

### **Aleksander Bagiński – *Urodziłem się w polskiej rodzinie***

Urodziłem się w Odessie w polskiej rodzinie katolickiej w ostatnim dniu maja 1926 roku. Ojciec mój Paweł Bagiński zatrudniony był wtedy na kolei w charakterze kowala. Miał pochodzenie szlacheckie lecz starannie to ukrywał. Dopiero podczas okupacji rumuńskiej w roku 1943 zdecydował się pokazać swoim dzieciom świadectwo potwierdzenia szlachectwa rodu, które dotychczas w wielkiej tajemnicy przechowywał na strychu.

Moi dziadkowie Cezary i Michalina Bagińscy mieszkali we wsi Huta w byłej guberni podolskiej. Mieli dwanaścioro dzieci, w tym siedmiu chłopców: Narcyza – najstarszego, bliźniaków Piotra i Pawła (ten ostatni to mój ojciec, urodzony w roku 1892), Jana, Stefana, Fabiana i najmłodszego Juliana. Stefan i Fabian zmarli w wieku dziecięcym. Córki miały na imię: Antonina, Magdalena, Maria, Jadwiga i Franciszka. Rodzina Bagińskich żyła ubogo i wszystkie dzieci ukończyły zaledwie dwie klasy szkoły wiejskiej.

Kiedy mój ojciec osiągnął wiek piętnastu lat, dziadek Cezary odesłał go do mieszkającego w Odessie swojego krewnego – pana Przychodzkiego, by ten wyuczył chłopca na kowala. Niebawem dziadek Cezary zmarł. Tymczasem Paweł Babiński po pobraniu nauki został kowalem i uzyskał prawo do założenia własnego warsztatu. Był barczysto zbudowany i potrafił samodzielnie podkuć nawet nie przywiązanego młodego ogiera. Podczas pierwszej wojny światowej odbywał służbę w artylerii. Na froncie wybuch pocisku ciężko zranił mu prawe ramię, co jednak wcale nie przeszkodziło mu po przejściu do cywila założyć własną kuźnię. Jej właścicielem był przez niedługi okres, gdyż za czasów władzy radzieckiej już na stałe i nieprzerwanie pracował w charakterze kowala na kolei w Odessie, gdzie był bardzo ceniony jako dobry fachowiec.

Pierwszą żoną Pawła Bagińskiego została Julia Górską, która wkrótce zmarła „na suchoty”. Żywot ich córeczki Haliny na tym padole był niestety króciutki. W sierpniu 1925 roku Paweł Bagiński ożenił się po raz drugi. Jego małżonką została Kazimiera Kowalska. Mieli dwoje dzieci – Aleksandra, czyli mnie, oraz młodszą o trzy lata córkę Marię. Ojciec własnoręcznie zbudował niewielki domek w polskim osiedlu Kursaki (później – osiedle imienia Wyszyńskiego) na przedmieściu Odessy. Na działce o powierzchni 12 arów trzymano drób, kozy i krowę, pielęgnowano ogródek warzywny, a później sad. Matka twierdziła, że ojciec „gorzko” pracuje. Po powrocie z nielekkiej, kowalskiej przeciw pracy, szliśmy z nim na pobliski poligon wojskowy by kosić trawę dla zwierząt. Po paru godzinach całkowicie wyczerpani wracaliśmy holując ciężki, naładowany trawą wózek. W tym domku rodzice mieszkali do śmierci mojej matki, która nastąpiła w roku 1974. Dopiero wtedy ojciec zdecydował się porzucić Odessę i przeprowadzić się do miasteczka Reni, gdzie mieszkała moja siostra Maria, pracująca w szkole jako nauczycielka matematyki. W tym też miasteczku Paweł Bagiński zmarł w roku 1981.

Matka moja Kazimiera, córka Ludwika i Aleksandry Kowalskich, urodziła się w Odessie w roku 1897. W roku 1908 ukończyła Damską Szkołę Krawiecką. Uczyła się również w gimnazjum, lecz wydarzenia rewolucyjne przekreśliły możliwości jego ukończenia. Do końca życia była panią domu i obszywała całą rodzinę. Bardzo lubiła czytać, pisała bezbłędnie zarówno po polsku, jak i po rosyjsku. Pomagała mi i mojej siostrze Marii rozwiązywać trudniejsze ćwiczenia matematyczne. Owe zdolności matka zachowała do późnej starości. Zmarła na cukrzycę w roku 1974 w Odessie, gdzie też została pochowana.

Mój dziadek Ludwik Kowalski, z zawodu stolarz, przyjechał do Odessy z miejscowości Wałowice w byłej guberni Radomskiej. Zmarł tu w roku 1943 w wieku 77 lat. Pochowany został na cmentarzu katolickim w Odessie obok babci Aleksandry, córki Franciszka z domu Jaworskiej, którą w roku 1927 przejechał pociąg. Aleksandra i Ludwik Kowalscy mieli dwóch synów – Mikołaja i Mieczysława oraz cztery córki: Kazimierę, która była moją matką, Marię Jadwigę i Apolonię. Rodzina nie była bogata, więc do gimnazjum uczęszczali tylko synowie. Dziadek Ludwik mieszkał przy tej samej co my ulicy Szóstej Stepowej, więc stale go odwiedzałem i często z nim rozmawiałem. Ulubioną lekturą dziadka było grube tomisko „Dziejów Polski”.

Wujek mój Mikołaj Kowalski, były sztabkapitan armii carskiej, przeniósł się do odrodzonej Polski. Miał syna Kazimierza i córkę Wandę. Łączność z nimi wkrótce utracono. Wujek Mieczysław Kowalski, mój ojciec chrzestny, po ukończeniu Politechniki Transportu Wodnego w Odessie pracował w Leningradzkiej Stoczni Bałtyckiej i był m.in. głównym budowniczym prototypowego

okrętu podwodnego „Szczuka”, który nadał imię całej popularnej serii, złożonej z 84 jednostek.

Wszyscy moi krewni pięknie mówili po polsku. Mnie również oddano w wieku siedmiu lat do polskiej szkoły. Po ukończeniu pierwszej klasy dostałem list pochwalny, co przekreśliło dalszą w tej szkole naukę, gdyż ojciec ucieszył się z mojego powodzenia i postanowił przenieść mnie do szkoły rosyjskiej. Nie było w Odessie polskiej szkoły średniej, więc ze względu na ewentualne dalsze studia, zmiana szkoły wcześniej czy później była nieunikniona. W roku 1940 ukończyłem szkołę podstawową. Uwielbiałem dwa przedmioty, z których zawsze miałem oceny bardzo dobre – algebrę i kreślarstwo. Podczas letnich wakacji stwierdzono, że cierpię na wadę serca. Z tego powodu lekarz wmówił moim rodzicom, bym zaniechał kolejnego roku szkolnego. W roku zaś następnym wybuchła wojna.

Już po miesiącu Odessa została oblężona przez wojska rumuńskie. Lotnictwo zbombardowało stację pomp w Bielajewce i miasto zostało pozbawione wody. Oblężenie trwało dwa i pół miesiąca. W mieście wywiercono studnie artezyjskie. Po wodę musieliśmy chodzić bardzo daleko i, narażając życie, długo stać w kolejce, gdyż przez całą dobę z nieba spadały bomby. Od września do nalotów lotnictwa dołączyły ostrzały artyleryjskie. Pociski przelatywały nad naszym osiedlem i wybuchały w mieście. W domach i na ulicach masowo ginęli niewinni mieszkańcy.

W dniu 16 października 1941 roku ku zdziwieniu mieszkańców Odessy od samego rana panowała głęboka cisza. O dziesiątej rano przeleciał „kukuruźnik”. Z samolotu rozrzucano ulotki, z których wynikało, że Armia Czerwona z powodów strategicznych miasto opuściła, lecz tu wróci i zwycięstwo pozostanie po naszej stronie. Dopiero gdy zbliżał się wieczór żołnierze rumuńscy skradając się podążyli nieśmiało przez nasze osiedle do miasta. Tej samej nocy dywersanci wysadzili w powietrze sztab wojsk niemiecko-rumuńskich. Rano Niemcy obwieścili, że wszyscy mężczyźni w wieku od 20 do 50 lat muszą pod groźbą kary śmierci niezwłocznie zjawić się w parku imienia Szewczenki. Bardzo wielu mężczyzn do parku poszło, lecz mój ojciec oraz większość mężczyzn z naszego osiedla pozostali w domu. Z tych co poszli nie wrócił nikt. W ten sposób rozpoczęła się okupacja, która trwała dwa i pół roku.

Ojciec zdecydował się zapisać mnie do jedyne go na całe miasto siedmioklasowego liceum ogólnokształcącego, które założyła emigrantka rosyjska pani Aswadurowa. Absolwenci liceum dostawali prawo do dalszych studiów na uczelni wyższej. Mnie przyjęto do piątej klasy. W liceum wykładali profesori wie akademicy, jedynie zajęcia z matematyki prowadził nauczyciel z naszej byłej szkoły. Kiedy Armia Czerwona zbliżała się do Odessy pani Aswadurowa pośpiesznie wydała nam dokumenty zaświadczające ukończenie liceum i uciekła do Rumunii. W dniu 10 kwietnia 1944 roku Odessa została wyzwolona. Wśród niedoszłych absolwentów liceum przyjęto mnie do klasy maturalnej szkoły średniej. Wkrótce, w dniu 30 maja, wszystkich chłopaków rocznika 1926 powołano do wojska, i matura mi się wymknęła. Dostałem co prawda, zaświadczenie, że uczęszczałem do dziesiątej klasy.

Po niedługim przeszkoleniu w 22 Ćwiczebnej Dywizji Strzelców, rozlokowanej w Sielcach niedaleko Riazania, zostaliśmy fizylierami. W tej samej dywizji złożyliśmy przysięgę wojskową, po czym we wrześniu 1944 roku skierowano nas na Pierwszy Front Białoruski. Trafiliśmy do 49 Rosławlskiej Dywizji Strzelców, która stacjonowała niedaleko Brześcia. Na początku listopada dywi-



zję przerzucono do Polski. Rozlokowano nas w lasach niedaleko Lublina. W dniu 4 stycznia 1945 roku, kiedy już zupełnie ściemniało, nasza dywizja wyruszyła na pierwszą linię. Kroczyliśmy długą kolumną, składającą się z trójosobowych szeregów: pluton po plutonie, batalion po batalionie, pułk po pułku. Każdy z fizylierów, prócz pistoletu maszynowego PPSz oraz dwu rezerwowych magazynków bębnowych dźwigał w plecaku dodatkowo cztery kartony z nabojami do ręcznego karabinu maszynowego. Szliśmy przez całą noc aż do świtu. Dwudziestostopniowy mróz odczuwaliśmy dopiero pod czas krótkich postojów, kiedy odpoczywaliśmy na wpół leżąc z oparciem na plecakach naładowanych amunicją. Po pojawieniu się na niebie Jutrzenki, chowaliśmy się po lasach. Rozpalać ogniska, przy których ogrzewaliśmy się, zezwalano wyłącznie w porze dziennej. W ten sposób maszerowaliśmy przez sześć nocy. Po przeprawieniu się na lewy brzeg Wisły dywizja zajęła transzeje i przygotowała się do natarcia. O godzinie ósmej rano dnia 14 stycznia rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie – przez dwie godziny strzelały armaty, moździerz, „katusze”. Wreszcie czerwoną rakieta dano znak do rozpoczęcia natarcia. Jako pierwszy z okopów z krzykiem „za mną!” wybiegł dowódca naszego batalionu major Subbotin. W prawej ręce trzymał pistolet, lewe zaś ramię miał zabandażowane po niedawnym trafieniu przez odłamki artyleryjskie. Obok niego biegła sanitariuszka, a myśmy podążali za nimi. Mieliśmy wyrzucić Niemców z dziesięciu równoległych linii transzejowych. Przed bojem ogłoszono rozkaz: „Jeńców nie brać i przy życiu nie pozostawiać!” Po obrzuceniu kolejnej transzei granatami biegliśmy dalej. Zdążyłem przebiec zaledwie dwie linie, kiedy przede mną wybuchła niewielka mina. Jej odłamek trafił mnie powyżej prawego łokcia i uniemożliwił dalszy udział w walce.

W wyniku naszego natarcia została wyzwolona Warszawa, więc zostałem udekorowany medalem „Za Wyzwolenie Warszawy”. Po wyleczeniu skierowano mnie razem z czteroosobową grupą żołnierzy do naszej dywizji, która po sforsowaniu Odry trzymała obronę w pobliżu Berlina. Jechaliśmy najczęściej w tamburach wagonów towarowych lub szliśmy przez dłuższy czas na piechotę. W pierwszej połowie marca powróciłem do składu 212 pułku, lecz zaliczono mnie do innego – trzeciego batalionu. W dniu 14 kwietnia znów ruszyło natarcie, podczas którego pomagałem przy obsłudze ręcznego karabinu maszynowego. Następnego dnia mój kolega został zraniony, więc zacząłem obsługiwać erkaem samodzielnie. Pod koniec dnia seria pocisków nieprzyjacielskich przestrzeliła mi prawe ramię i ponownie trafiłem do szpitala, który mieścił się we wsi Sandor, położonej 30 km od Frankfurtu nad Odrą. Tam dowiedziałem się o zakończeniu wojny. Po kuracji skierowano mnie nie do mojej dywizji, lecz do pułku rezerwowego. Parowozem bez wagonów przejechaliśmy przez całkowicie zburzony Berlin. Podróż owa trwała cały dzień, gdyż długo staliśmy na każdej miejskiej stacji. Nie było postoju tylko obok Reichstagu.

W docelowym mieście Roslau nad Elbą sformowano z nas niewielki oddział, składający się z trzydziestu żołnierzy, celem przeprowadzenia tabunu koni pociągowych do Smoleńska. Powoli podążyliśmy furmankami przez Niemcy i Polskę do Związku Radzieckiego. Minęliśmy między innymi Poznań i Łódź. Wjazd do większych miast był dla nas zabroniony przez komendantury wojskowe, więc oglądaliśmy je wyłącznie z oddali. Był gorący czerwiec. Wzdłuż obu stron drogi ciągnęły się niezliczone czereśnie. Jeden z żołnierzy, żeby nie tracić czasu na obrywanie poszczególnych owoców z drzewa, odłamał pokaźną gałąź i jadąc delektował się. Nagle wyprzedził nas samochód, z które-

go wyskoczył major – komendant wojskowy z pobliskiego miasteczka i zatrzymał nasz karawan. Od komendanta dowiedzieliśmy się, że czereśnie jeść wolno, a złamanie drzewa traktowane musi być jako maruderstwo, więc winowajca zostanie oddany pod sąd wojenny. Woźnice tłumaczyli się, że stale byli zajęci przy koniach, więc nie można ich nawet posądzać o wyłamywanie się z karności. Wtedy major zdecydował się wszystkich zbędnych jego zdaniem żołnierzy, odesłać do miejsca przeznaczenia kolejną.

Trafiliśmy najpierw do Warszawy. Miasta, co prawda, widać nie było – same tylko rozległe tory kolejowe, na których siedziało mnóstwo ludzi, prowadząc handel jak na rynku. Razem z przyjacielem zapytaliśmy jednego z handlarzy o cenę tytoniu, lecz on powiedział, że sprzedaje machorkę. Towar wyglądał jak prawdziwy tytoń, więc ponowiliśmy prośbę. Wtedy poirytowany sprzedawca przywołał swego znajomego z woreczkiem tytoniu. Kupiliśmy całą menażkę towaru, który na nasz rozum, w niczym od poprzedniej „machorki” się nie różnił.

Granicę przekroczyliśmy niedaleko Białegostoku. Jechaliśmy siedząc na szynach kolejowych, stanowiących ładunek otwartych ze wszystkich stron wagonów towarowych. Niebo aż do widnokręgu było zakryte ogromną ciężką i sinawą chmurą. Sprawiało to wrażenie, że posuwamy się wzdłuż morza. Powiedziałem o tym żołnierzowi z sąsiedniego wagonu. Ten z kolei zapytał, skąd wiem jak morze wygląda. Okazało się, że obaj pochodzimy z Odessy. W ten sposób zaprzyjaźniłem się z Aleksym Brykulą. Przyjaźń ta trwała przez całe życie... Nieco później razem z nim na stacji Ugra braliśmy udział w zaopatrywaniu jednostki w drzewo opałowe na zimę. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach, które trzeba było opalać przez całą dobę. W tym celu wyznaczono dwóch dyżurnych żołnierzy. Zmiana odbywała się po obiedzie. Owego dnia nastąpiła nasza kolej. Już zdążyliśmy narząć dREW na całą dobę. Mieliśmy tylko to wszystko porąbać, kiedy wbiegł żołnierz i krzyknął, że naszych, czyli Żukowców, biją. Włożyłem szynel i chciałem już wychodzić, kiedy Aleksy spokojnie pyta mnie, gdzie zamierzam iść. Tłumaczę, że chcę bronić żołnierzy, z naszego byłego frontu. W odpowiedzi słyszę, że jeżeli to nie jest bitwa z faszystami, lecz zwykła bijatyka chulikańska i jeśli nie mam do bójek skłonności, to najlepiej dać temu spokój. W ten rozsądny sposób niechybnie uratował mnie od przykrych konsekwencji.

Poniemieckie konie nie wytrzymały ciężkiej pracy, pół głodowej egzystencji oraz surowej zimy i zdychały jeden po drugim. Losy tych nędznych szkap nie obchodziły nikogo, prócz mieszkańców sąsiadującej z Ugrą wioski, do której nas skierowano. Całą ludność tej wsi stanowiły kobiety i dzieci. Kiedy zdechł kolejny koń, kobiety prosiły felczera by oddał im trupa. Felczer jednak obawiał się ewentualnego zatrucia, więc rozkazał konia oblać naftą i zakopać. Wtedy jedna z kobiet powiedziała: „Ocalałeś w tej wojnie, zaś nasi mężowie polegli na froncie, a szkoda ci dla nas zdechłego konia”! Wzruszony lejtnant polecił oddać wieśniaczkom kolejnego konia na wykończeniu, który nie miał już szans powrócić do sprawności. Z rzewnością i smutkiem wspominam po upływie sześćdziesięciu lat, jak owe nieszczęsne kobieciny uniżenie dziękowały oficerowi za hojną ofiarę.

Głucha smoleńska wieś, która wśród starych sosen stała na kształt wysepki, wstrząsnęła mnie swoją biedotą. Wychowany byłem w rodzinie niebogatej, lecz w dużym i pięknym mieście. Nie mogłem sobie wyobrazić, że można nazwać

klubem dużą izbę drewnianą, która nawet podłogi nie posiadała. Gdyby mi nie powiedziano, że idziemy do klubu, pomyślałbym, iż trafiliśmy do obory. W klubie mętnie paliła się jedna świeca. Harmonista grał „stradanija” – ludowe przyspiewki miłosne, lecz właśnie płci pięknej tu brakowało. Kiedy wyjrzelśmy z klubu, białogłowy, które stały gromadą przy ścianie budynku, raptem rozpięzły się w różnych kierunkach. Zdążyłem zauważyć, że na nogach miały łapcie. Wtedy nasze mocno podniszczone żołnierskie buty z owijaczami, po raz pierwszy i chyba ostatni, zaczęły wyglądać, według nas, szczególnie elegancko.

Ze Smoleńszczyzny skierowano naszą jednostkę do Dniepropietrowska na Ukrainie, skąd odesłano mnie do stacji Biełorieczeskiej na Kubaniu, stamtąd zaś trafiłem do Krasnodaru, gdzie pełniłem służbę w charakterze drukarza gazety „Wojennyj Żeleznodorożnik” („Kolejarz Wojskowy”). W roku 1948 postanowiłem zdobyć maturę i złożyłem dokumenty do Wieczorowej Szkoły Średniej nr 5, która mieściła się w gmachu kolejarskiej Szkoły nr 12 na rogu ulic Gogola i Żeleznodorożnej, czyli tuż obok miejsca mojej służby. Pod koniec sierpnia na placu szkoły rozpoczęto sprzedaż podręczników. Sterty książek leżały na stole, przy którym siedziała sprzedawczyni. Pomagała jej kędzierzawa dziewczyna o czarnych oczach. Ustawiłem się w kolejce, a z tej dziewczyny oczu nie spuszczałem. Niestety, coś odwróciło moją uwagę, a kiedy przyszła kolej na mnie – dziewczę już zniknęło. W dniu 1 września zjawiłem się w klasie zawczasu, chyba na kwadrans przed rozpoczęciem lekcji. Nagle zauważyłem, że tamta dziewczyna siedzi z jakimś chłopakiem w pierwszej od okna ławce. Po przywitaniu się usiadłem z tyłu za nimi. Byłem uradowany z tego, że wkrótce zabrzmi dzwonek, wejdzie nauczyciel, rozpocznie sprawdzanie obecności i w ten sposób dowiem się jak jej na imię, oraz że zostaniemy kolegami, więc nasze spotkania będą częste. Wyszło na jaw, że ona ma na imię Wiktoria, a ten chłopak – to jej brat Paweł, z którym niebawem zaprzyjaźniłem się.

Bez względu na trudności, jakie towarzyszyły pracy w drukarni, rok szkolny dla mnie upłynął pomyślnie. Nastąpiła pora egzaminów. Aktywiści uprosili dyrektora, by zezwolił nakryć do stołu z okazji balu maturalnego. W tym celu każdy z nas wpłacił po sto rubli. Razem z klasą zdałem już wszystkie egzaminy prócz egzaminu z historii. Na przygotowanie się mieliśmy trzy dni. Właśnie w tym samym czasie redaktor gazety podpułkownik Proskurin otrzymał rozkaz o przeniesieniu mnie oraz jeszcze jednego żołnierza służby czynnej, Kuramszyna, do plutonu komendanckiego, rozlokowanego w innej dzielnicy miasta. Interwencja redaktora w sztabie brygady odniosła tylko częściowy skutek – Kuramszyn pozostał w drukarni, natomiast ja z rzeczami i papierami miałem się zameldować dowódcy plutonu komendanckiego lejtnantowi Hryńkowi. Noc przed egzaminem spędziłem na posterunku. O siódmej rano mnie zluźowano i co tchu popędziłem stawić się na egzamin. Wcale nie byłem przygotowany, lecz ocena dostateczna los mój uratowała.

Uporczywie nurtowała mnie troska, czy zostanę zwolniony z jednostki na bal maturalny? Lecz szef kompanii po uważnym wysłuchaniu prośby zwolnił mnie aż do samego rana. Dyrektor szkoły Bazyli Michałowicz Sawieljew złożył nam serdeczne gratulacje z okazji ukończenia szkoły, rozdał świadectwa maturalne i zaprosił nas do zastawionego stołu. Wszyscy tryskali radością. Po licznych toastach, ogłoszonych przez dyrektora i absolwentów, rozpoczęły się tańce. W tamtym czasie jeszcze nie umiałem tańczyć, więc podpierałem ścianę.

Wtenczas odnalazła mnie Wiktoria i na moje tłumaczenia, że tańczyć nie potrafię, rezolutnie powiedziała: „Chodźmy, nauczę cię”. Jakimś cudem udawało mi się tańczyć i byłem z tego powodu bardzo szczęśliwy. Bliżej rana zabawa wygasła i zaczęliśmy się rozchodzić. Wyszliśmy z Wiktoria trzymając się za ręce. Odprowadziłem ją do samego domu, który mieścił się na podwórzu Biblioteki imienia Puszkina, okrążonej wtedy przez parkan z wysokich murowanych słupków i krat żeliwnych między nimi. Całkowicie się już rozwidniało. Zdecydowałem się poprosić Wiktoria o dalsze spotkania, lecz odmówiła mi i na tym rozstał się. Jeszcze przez rok odbywałem służbę w Krasnodarze. Dowiedziałem się przypadkiem, że Wiktoria studiuje na Wydziale Filologicznym Akademii Pedagogicznej, zaś jej brat – na Wydziale Matematyczno-Fizycznym. Pewnego razu kupiłem dwa bilety, zajrzałem do ich domu i zaproponowałem Wiktorii wspólne pójście do kina, lecz stanowczo mi odmówiła.

W czerwcu 1950 roku nasza 36 Brygada Wojsk Kolejowych została przeniesiona do obwodu Wschodnio-Kazachstańskiego, gdzie miała brać udział w budowie Ust'-Buchtarmińskiej Elektrowni Wodnej. Tuż przed odjazdem do Kazachstanu zostałem wyznaczony na stanowisko pisarza Wydziału Administracyjno-Gospodarczego. Zbliżał się już koniec szóstego roku mojej czynnej służby wojskowej. Dowódcy zapowiadali rychłą demobilizację. W końcu września, od kolegi, pisarza z Wydziału Specjalnego, dowiedziałem się, że istnieje poufny rozkaz, dotyczący demobilizacji z dniem 1 września 1950 roku żołnierzy rocznika 1926, posiadających maturę. Chciałem niezwłocznie biec do sztabu, lecz kolega poprosił mnie o dyskrecję. Przez całą noc obmyślałem plan, w jaki sposób skorzystać z tej wiadomości, a nie narazić kolegi? Następnego dnia zwróciłem się do majora Dronowa, który niedawno rozpowiadał na temat niedalekiej już demobilizacji, z prośbą o niezwłoczne zwolnienie mnie z wojska, gdyż zamierzam jeszcze w roku bieżącym rozpocząć studia na wyższej uczelni. Skutek był natychmiastowy. Przeniesiono mnie do rezerwy, nadając jednocześnie w charakterze wyróżnienia, stopień młodszego sierżanta.

Już w dniu 30 września po otrzymaniu odpowiednich dokumentów wsiałem do ciężarówki, jadącej do Ust'-Kamienogorska, skąd pociągiem wyjechałem do Odessy, gdzie mieszkali moi rodzice. Po tygodniu byłem w domu i już następnego dnia zwróciłem się do rektora Akademii Pedagogicznej imienia Uszyńskiego z prośbą o przyjęcie mnie na studia. Rektor mi wytłumaczył, że nie może przyjąć mnie bez egzaminów, które się już odbyły. Rektorzy innych uczelni tak samo radzili mi przyjść po upływie roku. W filii jednej z branżowych uczelni poradzono mi zwrócić się w tej sprawie do właściwego ministerstwa. Powróciłem do Akademii Pedagogicznej i poprosiłem sekretarkę o adres ministerstwa. Adresu nie dostałem, lecz poradzono mi za dwie godziny zjawić się u rektora, który z kolei skierował mnie do dziekana. Ten wyznaczył egzaminy wstępne, po zdaniu których mnie, jako zdemobilizowanego żołnierza, zaliczono do stanu studentów Wydziału Matematyczno-Fizycznego. Chciałem o tym fakcie poinformować Wiktoria, lecz nie znałem jej adresu. Dopiero później wpadłem na pomysł odesłać list na adres uczelni krasnodarskiej, który można było znaleźć w poradniku dla maturzystów. Zawiązała się korespondencja.

Tymczasem w Odessie otwarta została szkoła tańców balowych, w której zajęcia obejmowały trzy stopnie. Każdy kosztował mnie 50 rubli. Po jej ukończeniu potrafiłem zatańczyć nawet mazurka. W lecie stale odwiedzałem kółko

taneczne, czynne codziennie od siódmej wieczorem. O dwunastej w nocy tradycyjnie zamykał je właśnie mazurek.

W roku 1953 po sesji zimowej pojechałem do Krasnodaru do ukochanej Wiktorii. Tym razem przyjęła mnie przychylnie. Wieczorami chodziliśmy do kina oraz na tańce do Klubu Oficerskiego. Wreszcie w dniu 7 lutego zawarliśmy małżeństwo. Po ukończeniu Akademii Pedagogicznej Wiktorii dostała skierowanie na stanowisko nauczycielki języka i literatury rosyjskiej w szkole stancy Jeriominińskiej, w rejonie Łabińskim. Przeniosłem się na Wydział Zaoczny Akademii w Krasnodarze i pojechałem razem z żoną nauczać w szkole matematyki. W roku 1955 wróciliśmy do Krasnodaru, gdzie rozpocząłem pracę w charakterze nauczyciela fizyki w Szkole Wieczorowej nr 8 w osiedlu Krasnodarskiej Elektrowni Ciepłej. W roku 1970 odznaczono mnie medalem „Za ofiarną pracę dla upamiętnienia 100-lecia urodzin W.I. Lenina”.

W grudniu tegoż roku objąłem stanowisko zastępcy dyrektora Szkoły Średniej nr 44 do spraw szkoleniowo-wychowawczych. Od roku 1976 byłem dyrektorem Szkoły Wieczorowej nr 9 w osiedlu Kombinatu Sukienniczego. W roku 1984 usunięto mi część lewego płuca, a dwa lata później pożegnałem się z pracą i zostałem emerytem. Po dwóch latach wypoczynek mi się sprzyrzył i przez dalsze pięć lat pracowałem w charakterze elektryka w akademiku nr 5 Kubańskiego Uniwersytetu Państwowego. Jednak zdrowie moje szwankowało tak bardzo, że uznano mnie za inwalidę wojennego i pracę ostatecznie już porzuciłem.

Bardzo dawno temu nabyłem poemat Adama Mickiewicza „Pan Tadeusz”, wydany w dalekim 1914 roku, lecz pomimo kilku prób przeczytać go nie potrafiłem, gdyż zupełnie zapomniałem mowę ojczystą. W roku 1993 całkowicie przypadkowo na bazarze kupiłem duży słownik polsko-rosyjski. Pomyślałem sobie, że byłby mi bardzo przydatny do tłumaczenia Mickiewicza. Zajęcie owo o tyle mnie zafascynowało, że po *Panu Tadeuszu* zabrałem się do *Sonetów Krymskich*. W dalszej kolejności przeczytałem opowieść Walerego Przyborowskiego *Raławice*, opowiadania Henryka Sienkiewicza oraz opowieść Władysława Kisielewskiego *Batalion Śmiałych* o walkach Polaków z banderowcami. Kiedy dowiedziałem się o istnieniu w naszym mieście Polskiego Centrum Narodowo-Kulturalnego „Jedność”, zostałem jego członkiem i od września 2006 roku uczęszczałem na kurs języka polskiego, który pomyślnie ukończyłem. Dzięki temu czytanie po polsku nie sprawia mi już większych trudności.

Moja małżonka Wiktorii, córka Eliasza z domu Gurdy, urodziła się w roku 1926 w Krasnodarze w rodzinie Krymczaków. Pracę rozpoczęła w roku 1943 w parowozowni stacji Bielorieczeńska Północno-Kaukaskiej Kolei Żelaznej. Po ukończeniu z wyróżnieniem Akademii Pedagogicznej w ciągu ponad trzydziestu lat pracowała w szkole średniej jako nauczycielka języka i literatury rosyjskiej. Od roku 1974 jest również dziennikarką. Na jej dorobek twórczy składa się ponad dwieście pięćdziesiąt publikacji, w tym wiersze, nowele, eseje, artykuły pedagogiczne, zamieszczone w prasie centralnej i lokalnej (miesięczniki „Aurora”, „Družba Narodow”, „Literatura w Szkole”, „Sowietskaja Żenszczina”; gazety „Judok”, „Prawda”, „Sowietskaja Kubań”, „Uczitielskaja Gazeta” i inne). Jest laureatką pięciu konkursów literackich w zakresie esejów (pierwsza i trzecia nagroda w konkursach ogólnokrajowych oraz dwie pierwsze i jedna trzecia nagroda w konkursach międzynarodowych).

Od najmłodszych lat Wiktoria zbiera i tłumaczy na język rosyjski twórczość ustną swojego nielicznego, lecz starożytnego narodu – Krymczaków. W roku 2003 wydała książkę *Ludowe piosenki i przysłowia Krymczaków*. Po roku razem z synem, który też jest poetą, wydała książkę *Duet Poetycki*. Obecnie, będąc obłożnie chorą, kontynuuje współpracę z miesięcznikiem „Priroda i Czelowiek” („Swiet”). W numerze wrześniowym z bieżącego roku zamieszczono jej opowiadanie *Kolonie letnie... na podwórku*.

Mamy z Wiktoria dwóch synów. Starszy syn Sergiusz, urodzony w roku 1954, po ukończeniu Politechniki Krasnodarskiej pracował w Inspekcji Kotłowej, później był głównym inżynierem Bazy Wytworów Metalowych, zaś obecnie jest kierownikiem Działu Zaopatrzenia Gospodarczego w Międzyregionalnym Komercyjnym Banku Transportowym. Jego żona Świetłana jest z zawodu nauczycielką muzyki i pracuje w Departamencie Kultury Kraju Krasnodarskiego. Ich córka Irena, urodzona w roku 1979, ukończyła Wydział Historyczno-Ekonomiczny na Uniwersytecie Kubańskim. Ona od lat dziecięcych pięknie małuje. O tyle dobrze zdołała opanować język angielski, że obecnie pracuje w Ambasadzie Wielkiej Brytanii w Moskwie. Syn Elias, urodzony w roku 1982, po ukończeniu Politechniki Krasnodarskiej pracuje jako inżynier w firmie „Boulangerie”. Również dobrze włada językiem angielskim.

Nasz młodszy syn Andrzej, urodzony w roku 1959, po ukończeniu Politechniki Krasnodarskiej został promowany na oficera i skierowany był do wojska. Przez dwa lata odbywał służbę jako dowódca plutonu artyleryjskiego w Leningradzkim Okręgu Wojskowym za Kręgiem Polarnym. Obecnie w charakterze inżyniera programisty pracuje w biurze personalnym Parku Miejskiego im. Gorkiego. Jest członkiem Zjednoczenia Młodych Pisarzy Kubania, laureatem Konkursu „Młodzi o Wojnie”. W roku 1996 był stypendystą Administracji Kraju Krasnodarskiego w dziedzinie kultury, literatury i sztuki. Jego wiersze zostały opublikowane w różnych pismach: „Dusza Moja”, „Mołodaja Gwardija”, „Mołodaja Kubań”, „Nad Kubańju”, „Priroda i Czelowiek” („Swiet”), „Uczitel'skaja Gazeta”, „Ulica Krasnala” i innych. W roku 1993 wydał książkę *Wiersze, Parodie, Szkice*, w roku 2004 razem z matką zbiór *Duet Poetycki* a potem książkę dla dzieci *Obok starej karuzeli*. Jego żona Irena, po ukończeniu Wydziału Ekonomicznego na Akademii Rolniczej pracuje w firmie prywatnej. Ich córka Aleksandra, urodzona w roku 1988, jest studentką trzeciego roku na Uniwersytecie Politechnicznym, zaś syn Demetriusz uczęszcza do klasy maturalnej szkoły średniej.

Minęło grubo ponad pół wieku, jak ród Babińskich zakorzenił się na Kubaniu, z dala od Odessy czy też Polski. Tym niemniej ani czas, ani burzliwe losy nie potrafiły zerwać nici, mocno łączących mnie z moim polskim rodowodem.<sup>1</sup>

Opracował Dariusz Józef Sas

---

<sup>1</sup> Przedruk z „Wiadomości Polskie”, nr 3 (18). 2007 r. Pismo Krasnodarskiej Organizacji Regionalnej. Polskie Centrum Narodowo-Kulturalne „Jedność” w Krasnodarze.



---

## REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Wasyli Haniewicz, *Tragedia syberyjskiego Białegostoku*, Pelplin 2008, s. 229.**

Białystok, stolica województwa podlaskiego, ma dużo młodszego i skromniejszego „brata” w postaci kiryatu o tej nazwie w Izraelu, obecnie dzielnicy miasta Yehud. Kiriat ten został zbudowany dzięki wysiłkowi finansowemu Żydów białostockich z całego świata. W czerwcu 1941 roku z Białegostoku, ówczesnego centrum tak zwanej sowieckiej Białorusi Zachodniej, wysłano dzieci na wakacje do uzdrowiskowych Druskiennik nad Niemnem. Zadbano o „internacjonalistyczny skład”, ale z przewagą Żydów. Po wybuchu wojny samoloty niemieckie zniszczyły most kolejowy w Druskiennikach i gros młodych białostoczan bawiących na koloniach nie mogło wrócić do rodzin. Władze sowieckie zdecydowały więc o ich przewiezieniu w głąb ZSRR. Po wielu perypetiach większość dzieci znalazła się w poduralskiej miejscowości Karakulino nad rzeką Kamą. Warunki były trudne, ale bez zagrożenia życia. Zachowały się relacje wychowanków z *dietdomu* w Karakulinie, napisano na ten temat artykuły Dzieci żydowskie po zakończeniu wojny powróciły do Białegostoku, nie znalazły tu jednak swych rodzin i właśnie głównie dla tych około 60 sierot postanowiono zbudować osiedle w Izraelu. Zadbano tam z czasem o synagogę i dom kultury z miejscem na biuro Związku Żydów Białostockich<sup>1</sup>.

Dopiero przed kilkunastu latami dotarły do Białegostoku wieści o jeszcze jednym dalekim „krewnym”, czyli o wsi syberyjskiej pod Tomskiem. Obecnie można zapoznać się dokładnie z dziejami tej osady, wyjątkowej pod wieloma względami, naznaczonej męczeństwem. W 2008 roku Wydawnictwo „Bernardinum” z Pelplina opublikowało tłumaczenie książki Wasyla Haniewicza (przekład Adama Hlebowicza) pt. *Tragedia syberyjskiego Białegostoku*. Autor zdedykował ją swym córkom Natalii i Oldze „z nadzieją, że nie będzie im dane przeżywać w swoim życiu tego, co przeżyli ich przodkowie”.

Na początku była wielka nadzieja i przygoda. Opowiadano chłopom z zaboru rosyjskiego, siedzącym na kilku morgach i klepiącym biedą, że za Uralem chleb rośnie na drzewach, a gospodarstwa tam takie, że końca nie widać, jak się rano wyjdzie przed dom. Wielu postanowiło spróbować. Aleksander Jocz, rodem ze wsi Rutewki na Grodzieńszczyźnie, wyjechał pod koniec 1896 roku na

---

<sup>1</sup> Informacje o „dzieciach z Druskiennik” zebrała Chana Lin Kizelstein i te opracowanie jest dostępne w Internecie ([www.zchor.org](http://www.zchor.org)). Pisałem także o nich i mieszkańcach kiryatu Białystok w t. III serii „Białostoccy Żydzi”, Białystok 2000.



rozpoznanie sytuacji. Wskazano mu tajgę w gminie mikołajewskiej, około stu wiorst od gubernialnego Tomska, na lewym brzegu potężnej rzeki Ob. Spodobało się, propozycję przyjęli i inni zainteresowani. Każda rodzina dostała do dyspozycji wagon towarowy, do którego załadowano krowy i sprzęty rolnicze. W Tomsku nastąpiła przesiadka na statek i tak na mapie syberyjskiej przybył kolejny punkt osiedleńczy: Nowo-Rybałowska. Okazało się, że przybysze nie byli sami, bo w pobliżu znajdowały się dwa legowiska niedźwiedzi.

Wbrew zapowiedziom początki były bardzo ciężkie, trzeba było zaczynać od trzebienia tajgi. Sił dodawało przekonanie, że niemal wszystko zależy od własnego trudu i pomysłu. Po roku przybysze mieli własny chleb, wiosną 1914 roku osiedliło się w pobliżu jeszcze kilka nowych rodzin spod Białej Podlaskiej. I wówczas na zebraniu wiejskim podjęto decyzję, że całe to osiedle przyjmie nazwę Białystok. Dlaczego właśnie taką? Na to pytanie nie odpowiedział autor książki. Może z inicjatywą wystąpił rzeczywiście ktoś rodem z Białegostoku? A może wybrano tę nazwę, bo była wówczas na ziemiach skąd pochodzili osadnicy symbolem pomyślności, szybkiego rozwoju.

Już w 1902 roku osadnicy, żyjący jeszcze w ziemiankach, postanowili opodatkować się po pięć rubli z rodziny i przystąpić do budowy kościoła. Pomoc okazali mieszkający w pobliżu Łotysze i Litwini, więc świątynia powstawała szybko. Na jej patrona wybrano św. Antoniego, z Polski przyjechał ksiądz Hieronim Cerpento. Msze były wielką radością, dodawały prestiżu osadzie, ściągały kolejnych osadników. W 1916 roku syberyjski Białystok liczył 516 mieszkańców. W. Haniewicz zaimponował mi zebraniem bogactwa faktów z tamtych odległych lat, a jest to i historia jego rodziny.

Nie wiemy, czy pojawiła się po I wojnie światowej opcja powrotu dobrowolnych sybiraków polskich. Trudno też określić, na ile byli oni dokładnie poinformowani o zmianach zachodzących w rodzinnych stronach. Chyba po prostu nie doceniono niebezpieczeństwa „czerwonego”, za bardzo wierzyli w możliwości własnej społeczności, w doświadczenie zdobyte w czasach carskich. Władze sowieckie stopniowo wprowadzały swoje złowieszcze „porządki”. W 1927 roku zamknęły kościół białostocki, ale nie zniszczyły go, od 1938 roku obiekt był wykorzystywany do przechowywania zboża, zaś po II wojnie światowej urządzono w nim klub. Dopiero w 1990 roku dotarł do syberyjskiego Białegostoku ksiądz, zarejestrowano parafię. A 13 czerwca 1998 roku biskup nowosybirski wyświęcił odrestaurowaną świątynię. Autor słusznie wiele miejsca poświęcił uczuciom religijnym mieszkańców, roli jaką żarliwa wiara odegrał w ich życiu. Wiare można było zachować w sercach, w rodzinach, nawet za cenę utajniania jej.

Co innego własna ziemia: marzenie, cel i podstawa bytu, cena porzucenia dawnych miejsc zamieszkania. Władza sowiecka zaczęła perfidne plany od dręczenia białostockich gospodarzy coraz wyższymi obciążeniami finansowymi, podsuwając alternatywę rzekomo wolnego i szczęśliwego życia w kolchozie. Wasyl Haniewicz odtworzył scenariusz niszczenia prywatnej własności, towarzyszący temu system prowokacji i represji. W 1935 roku w dalekim Białymstoku rozpoczęły się masowe aresztowania za „antysowiecką i antykolchozową agitację”. Zapadły już nie „pchle” wyroki, bo po pokazowym procesie „prowodyrów” skazano na 10 lat łagrów. Koniec końców powstał we wsi kolchoz „Krasnyj Sztandar”. Niestety, z udziałem i własnych renegatów, co dla autora wydaje się tematem wstydliwym.

Kolejny temat, to nauczanie i szkoła. Za cara nielegalnie – bez pozwolenia, ale pewnie za wiedzą lokalnej władzy – uczył ksiądz, po rewolucji lutowej powstała szkoła. Potem bywało różnie, zbudowano nawet okazały budynek, w nim jednak zaczął dominować język rosyjski i stalinowski system deprawacji moralnej. W listopadzie 1936 roku Wincenty Michnia podczas wiejskiego zebrania pochwalił konstytucję ZSRR, po czym zapytał o przyczynę zaniechania nauki języka polskiego. „Źle postawione” pytanie okazało się wkrótce jednym z wielu zarzutów wobec białostoczan. Dopiero 16 maja 1991 roku Maria Anna Świątkowska z Gdańska przeprowadziła w tutejszej szkole pierwszą – po dramatycznie długiej przerwie – lekcję polskiego. Obecnie znów są tam kłopoty, także natury demograficznej.

Najwięcej miejsca W. Haniewicz poświęcił zbrodni NKWD popełnionej na opisywanej społeczności. Aresztowania rozpoczęły się 13 sierpnia 1937 roku, zabrało wówczas między innymi dyrektora szkoły, nauczycieli, nawet niektóre osoby funkcyjne w kolchozie, siedemdziesięcioletka Feliksa Joczka. Apogium terroru przypadło na styczeń i luty 1938 roku. Do wsi wpadały „ekipy śmierci”, zatrzymanych pędzono do Kriwoszeina, potem po zamarzniętej rzece „jak bydło” do Kołpaszewa. Po przesłuchaniach wrócili nieliczni, o pozostałych słuch zaginął. Autor książki, lider „Orła Białego”, zestawił na podstawie zachowanych akt 98 krótkich biogramów kończących się informacjami: data śmierci, liczba lat przebytych w łagrze lub więzieniu. Aż 85 mężczyzn zostało rozstrzelanych, ich szczątki spłynęły po latach Obem, gdy woda podmyła brzeg z dołami wypełnionymi ciałami ofiar.

„Praktycznie nie było w tych latach na Syberii ani jednej polskiej rodziny, której nie dotknąłby potok represji” Wśród zamordowanych znalazł się ksiądz prawosławny Mikołaj Karelin, który w syberyjskim Białymstoku odbywając karę zsyłki pracował jako kierownik administracyjny w miejscowej szkole. Natomiast ksiądz katolicki Mikołaj Michasionek, proboszcz parafii Białystok, Tomsk i Nowosybirsk, skazany został w 1927 roku na trzy lata łagrów sokołowieckich, a następnie zesłany też na trzy lata do Kraju Północnego, gdzie zmarł. Represje te dotknęły także białostoczan, których zdziesiątkowano za należenie do kontrrewolucyjnej szpiegowsko-dywersyjnej i zarazem powstańczej organizacja POW (Polska Organizacja Wojskowa), którą kierował Polski Komitet Syberyjski. W. Haniewicz ustalił nazwiska „inżynierów dusz”, oprawców, katów. Ci zdążyli odejść z tego świata bez kary.

Książka Wasyla Haniewicza składa się z czterech części: „Osiedlenie, kościół i szkoła”; „Tak było” (tu i kronika terroru); „Z rodowodów” (trzy przejmujące historie życia); „Z recenzji i komentarzy...” (uzupełnienia, komentarze, listy od czytelników). Jest również indeks osobowy i słownik niektórych nazw oraz skrótów rosyjskich, a całość uzupełnia zestaw fotografii i reprodukcji. W sumie to pozycja niezwykle cenna, bardzo solidnie udokumentowana, napisana „od serca”. Stanowi świadectwo terroru sowieckiego na sybirakach polskich, którzy z przymusu ekonomicznego wybrali ten kraj za swoją „małą ojczyznę”. W aspekcie prawnym trzeba ich uznać za dobrowolnych osiedleńców, tyle że ten statut zmienił się po zaprowadzeniu władzy sowieckiej. Autor nie ograniczył się jednak – jak to często bywa – do opisu męczeństwa, ale przedstawił kolejne etapy w dziejach syberyjskiego Białegostoku, myśli i czyny jego mieszkańców, radości i smutki, od wyjazdu z ziem polskich niemal po dzień bieżący. Połączył przy tym fakty wydobyte z archiwów z zapisami w pamięci mieszkańców, z realiami sobie doskonale znanymi.

To oczywiście, że polecam gorąco lekturę tej książki. Może będzie to początek serii o osadach polskich na Syberii. I może publikacja ta posłuży do nawiązania bliższych kontaktów, zwłaszcza między „dużym” Białymstokiem i odległą osadą, która trwa mimo nowych trudności.<sup>2</sup>

*Adam Czesław Dobroński*

- **Hieronim Warachim OCMCap., *Kapucyni – sybiracy*, Kraków 2009, s. 134.**

Książka wydana z okazji 800-lecia ustnego zatwierdzenia Reguły św. Franciszka z Asyżu przez papieża Innocentego III. W 2009 r. minęło 70 lat od erygowania Krakowskiej Prowincji Kapucynów. W krótkim wprowadzeniu autor nawiązuje do zwyczaju wspominania braci, którzy w danym dniu odeszli do Pana. Po odczytaniu krótkiej noty biograficznej następuje modlitwa za ich dusze. Kapucyni na przestrzeni wieków zaznaczyli swoją obecność na wielu wspaniałych kartach historii naszej ojczyzny. Brewe papieża Innocentego XI zezwoliło kapucynom na założenie w Polsce dwóch klasztorów.

Bardzo ciekawy i użyteczny dla czytelnika jest wstęp do tej interesującej publikacji, w którym przewijają się wątki dotyczące związków polsko-syberyjskich, historii krakowskiego klasztoru oraz Sybiraków z tej reguły zakonnej. Ten ostatni problem dotyczy XIX i XX stulecia i ukazany został poprzez biografie 28 kapucynów. Wśród ojców Sybiraków szczególnie wymienić należy obszerne stosunkowo informacje o o. Albinie Janosze, autorze książki „*Pod opieką Matki Bożej*”, wydanej w 1993 roku w „Bibliotece Zesłańca” Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego we Wrocławiu oraz o Słudze Bożym o. Serafinie Alojzym Kaszubie, zmarłym we Lwowie, co do którego w 1992 roku rozpoczęto proces wyniesienia na ołtarze.

Chciałbym podkreślić szczególną wartość poznawczą tej części książki, która dotyczy biogramów braci i ojców zakonnych, którzy w różnych okresach związani byli z Syberią. Ciekawe i nowatorskie są dla szerszego ogółu ich związki z tą ziemią przez co książka zyskuje dodatkową wartość. Jej dopełnieniem jest zestaw konterfektów kapucynów-sybiraków, toteż szukając takiego aspektu książki, który z pewnością zachęci do jej lektury jestem przekonany, że dopełnienie biogramów prezentacją postaci braci zakonnych przyczyni się do zawarcia bliższej znajomości z ich życiem i pracą.

Książka *Kapucyni Sybiracy* to kolejne wzbogacenie naszej historii ukazującej ślady polskich męczenników na nieludzkiej ziemi. Pisał o tym przed laty ks. prof. dr Roman Dzwonkowski SAC w ujęciu szerszym aniżeli tylko w odniesieniu do Syberii książkach pt. *Kościół katolicki w ZSRR 1917-1939. Zarys historii*, Lublin 1997 oraz *Losy duchowieństwa katolickiego w ZSRR 1917-1939. Martyrologium*, Lublin 1998. Dlatego polecając tę książkę, chciałbym podkreślić, że wzbogaca ona naszą wiedzę o związkach z Syberią i wypełnia fragment niezwykle złożonej mozaiki, którą tworzy „polska Syberia”, ciągle na nowo odkrywana i ubogaczona. Dzieje to się też za przyczyną coraz powszechniejszych badań podejmowanych na Syberii.

<sup>2</sup> Miło mi poinformować, że jako pierwsza podjęła się nawiązania takich kontaktów białostocka „Caritas”. W trakcie przygotowywania do druku tego zeszytu „Zesłańca” doszła do redakcji wiadomość o zainteresowaniu się tą sprawą Tadeusza Trzeskolskiego, prezydenta miasta Białystok.

*Wiesław Krawczyński*

- **Genowefa Maria Olsińska, *Syberia zachowana w pamięci, Szczecinek – „Fundacja Nasza Przyszłość”, 2009, s. 144.***

Mija właśnie 70 lat od chwili gdy autorka tej książki, mając 7 lat, w lutym 1940 r. opuściła dom rodzinny w Szutowej w powiecie Jaworów, na Ziemi Łwowskiej. To właśnie wówczas wraz z rodziną (ojciec uciekł z transportu, a potem zginął w obozie w Auschwitz) deportowana była na Syberię, do miejscowości Tułun w Irkuckiej Oblaści gdzie przebywała przez sześć lat. Wspomnienia te, to uporządkowany zbiór przeżyć obejmujących wiele informacji o tradycji rodzinnej, syberyjskim bytowaniu i posesłańczej tułaczce zakończonej ostatecznie w Kłodzku na Dolnym Śląsku, gdzie mieszka do dzisiaj. Ramy przestrzenne tej opowieści są więc rozległe, podobnie jak szerokie rozważania o tym „co zachowane w pamięci niejednokrotnie powraca w snach”- jak napisała. A pamięć ta zachowała obrazy rodzinnego domu, różnorodność ludzkich postaw i życia na Syberii, w które warto wczytać się uważnie chociaż tchną one nieraz, gorczą trudnych lat zesłania.

Taka jest w dużym skrócie fabuła tych wspomnień składających się z trzydziestu rozdziałów, których 12 dotyczy zsyłki, pozostałe zaś traktują o wspomnianych powyżej kwestiach, układających się w chronologiczną całość. Odczytywać je można w różnoraki sposób, zgodnie z zainteresowaniami i potrzebami dokumentacyjnymi dotyczącymi obrazu deportacji, warunków egzystencji i przeżyć traumatycznych po powrocie „z domu niewoli”. Daje to możliwość łatwego zorientowania się w podstawowych problemach zesłańczego życia. Chociaż w książce tej można znaleźć podobne sprawy zawarte w innych wspomnieniach Polaków z pobytu na Syberii w okresie drugiej wojny światowej, ale „podobne” nie znaczy wcale, że są one „tożsame”, bowiem każdy przeżywał je na swój sposób, częstokroć w odmiennych zgoła warunkach oraz w zetknięciu się z różnorodnością własnych i innych ludzkich losów.

I jeszcze jedno na zakończenie prezentacji tych wspomnień G. M. Olsińskiej, dla której Syberia kojarzy się z głodem, chorobami i zdesakralizowaną śmiercią, zimnem i codzienną walką o przetrwanie oraz matczyną opieką o swe dzieci, mocnym, mocą wiary, ufny wobec nadziei w przetrwanie syberyjskiego zesłania, chroniącym swe maleństwa przed złem, wynarodowieniem, głodem i pogardą. Ale pisze ona także, iż „Kraina ta nauczyła mnie szacunku dla życia, dla chleba, dla moich dziadków i mamy. To dzięki nim wszyscy przeżyliśmy. Uchroniło to nas przed żalem i tęsknotą, że ktoś bliski i kochany tam pozostał. Dzięki doświadczeniu Sybiru żywię też wielką życzliwość i sympatię do Rosjan. Zrodziła się ona ze spotkań z prostymi ludźmi, zamieszkującymi w pobliżu naszego obozu, bądź poznanymi w niedalekim mieście Tułun. Zawsze pomocni, życzliwi, gotowi podzielić się tym, czego przecież i im samym nie zbywało.”

Prezentowane wspomnienia to swoista monografia życia autorki poprzedzona wstępem jej syna Piotra – o. Tymoteusza OFM, który napisał: „Dziękuję mojej mamie za wspomnienia, dzięki którym zdołała uchwycić to, co niebawem zaginęłoby bezpowrotnie. Są one dla mnie bardzo osobiste. Żywię jednak nadzieję, że dla każdego, kto po nie sięgnie przybliży historię szerszą, pisaną wo-

jennymi losami całego pokolenia. Bo przecież na wielkie dzieje świata składają się małe historie nas wszystkich”. (s.9).

Chociaż na obecnym skomercjalizowanym rynku księgarskim literatura wspomnieniowa dotycząca polskich losów na syberyjskim zesłaniu nie należy do tematyki angażującej powszechnie wydawnictwa w naszym kraju, zatem szczególna wdzięczność należy się „Fundacji Nasza Przyszłość”, za uprzystępnienie i dopełnienie tego właśnie polsko-syberyjskiego tematu. Książka wabi ładną okładką, interesującym układem edytorskim i charakteryzuje się starannością pod względem redakcyjnym. Dobrze więc się stało, że czytelnik będzie miał możliwość sięgnięcia po te wspomnienia zawierające obraz życia ich autorki na syberyjskim szlaku oraz jakże wzruszają refleksję, że „Każdy dzień jest darem Dobrego Boga, za każdy należy dziękować, a z każdej dobrej chwili cieszyć się, wiele z nich warto zapisać, by trwały...”.

*Bronisław Przesmycki*

- **Alicja Barańska-Szafrańska, Janusz Sobieraj, Grodzisk Mazowiecki, Archangielsk, Tobolsk, czyli o zesłaniu do odległych guberni Jakuba Mroczkiewicza i innych, za przynależność do PPS w Guberni Warszawskiej, Grodzisk Mazowiecki 2009, ss. 76, ilustracje.**

Na karcie tytułowej umieszczono mapę z fragmentem Imperium Rosyjskiego. Z Warszawy rozchodzą się w trzech kierunkach proste linie, na których końcach są miasta: Archangielsk, Tobolsk i Orenburg. To oczywiście miejsca zesłań działaczy PPS, w okolicach w których ich osadzono. Znający problem historycy już na tej podstawie stwierdzą, że niewiele im udowodniono. Bardziej obwinionych wysyłano na ogół na krańce Syberii, by w tamtejszym klimacie ostygły ich zapęły do obalania caratu.

Tak się złożyło, że historycy najlepiej rozpoznali losy zesłańców do odległych regionów Rosji po powstaniu styczniowym. Całkowitą amnestię, ogłoszono dla nich w 1883 r. Bardzo wielu zmarło wcześniej, a wcale nie mała grupa wtopiła się w miejscową ludność. Znane są także przypadki, że niektórym powiodło się stosunkowo dobrze i nawet odwiedzali kraj rodzinny. Potomkowie tych, którzy zostali, dziś otrzymują Kartę Polaka, mimo iż nie zawsze mówią językiem przodków. Wśród tych, którzy pozostali byli także działacze socjalistyczni. Ich przodków zaczęto zsyłać m.in. do guberni archangielskiej, w rejony południowego Uralu oraz na Syberię już w latach siedemdziesiątych XIX w. Nasilenie procesu nastąpiło po, powstaniu partii rewolucyjnych: Proletariatu, Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, Polskiej Partii Socjalistycznej i innych. W tej grupie znalazł się – uwidocznił na karcie tytułowej – Jakub Mroczkiewicz z towarzyszami z Grodziska Mazowieckiego i okolic wywieziony w głąb Rosji w 1908 r. Było ich czterem. O nich informacje rozproszyły się. Są co prawda publikacje głównie z okresu międzywojennego, bo wśród tego typu zesłańców byli m. in. bracia Bronisław i Józef Piłsudscy oraz Waław Sieroszewski. Po wojnie powstawały różne prace na ten temat, zwykle jednak uproszczone. Temat z resztą nie był mile widziany przez władze PRL, zważywszy iż nawet Róży Luksemburg miano za złe, iż krytycznie wypowiadała się o terrorze wprowadzonym przez Lenina w Rosji Sowieckiej.

Tak czy inaczej godnym podziwu jest fakt, że Autorzy omawianej książki, amatorsko zajmujący się dziejami Grodziska Mazowieckiego, podjęli interesujący problem, docierając do zachowanych w Warszawie dokumentów policyjnych oraz wspomnień rodzinnych i na tej podstawie odtworzyli historię jednej grupy członków i sympatyków konspiracyjnego PPS. Na początku XX w. Grodzisk Mazowiecki był miastem mającym kilka zakładów przemysłowych, w tym Fabrykę Tasiemcową, w której pracowało wielu wieśniaków także z pobliskich wsi. Działała tam grupa Frakcji Rewolucyjnej PPS mająca bliskie kontakty z komórkami w Żyrardowie i Warszawie. W związku z tym protesty okresu rewolucyjnego 1905 r. objęły Grodzisk. W czasie demonstracji w grudniu tego roku wojsko zastrzeliło dwóch demonstrantów. W odwecie zastrzelono policjanta rosyjskiego. Władze guberni wysłały do pacyfikacji kpt. Iwana Aleksandrowa, który uszedł z życiem w czasie przygotowanego na niego zamachu. W tych warunkach metodami policyjnymi rozpracowano grupę członków PPS, aresztowano ich i drogą administracyjną skazano na zesłanie w okolice różnych miast w Rosji. Charakterystyczne, że w czasie śledztwa nikt nie przyznał się do zarzucanych im czynów przestępczych (zadziwiająca solidarność grupy). Mimo to oderwano ich od rodzin, a niektórych podczas I wojny światowej wcielono do wojska. Tym, którzy pozostali w Rosji do wybuchu rewolucji w 1917 r. udało się jednak wrócić do kraju.

Taki jest, ogólnie rzecz biorąc, zasadniczy wątek książki. Wszystko to zostało dobrze udokumentowane (fotokopie zapisów policyjnych). Jest jeszcze inny wątek, potwierdzający wartość dokumentacji oficjalnej. Są to wspomnienia świadków tamtejszych czasów, bądź ich potomków. Alicja Barańska-Szafrańska ogłosiła bowiem w prasie stosowny apel i otrzymała kilka odpowiedzi. Drukując je podkreśliła, że w zasadzie nie ma większych sprzeczności między oficjalną (policyjną) dokumentacją a wspomnieniami rodzinnymi.

Okazuje się, że w połowie XX w. Szczepan Brozych, były burmistrz Grodziska, pozyskał wspomnienie Kazimierza Pawlaka o Organizacji Bojowej PPS na początku XX w. Zachowało się to w zbiorach dr Janusza Sobieraja. W książce ogłoszono je po raz pierwszy. Jest to głównie zestaw nazwisk wzbogacony jednak o relacje wydarzeń rewolucyjnych w mieście. To właśnie ten dokument pozwolił ustalić w archiwach warszawskich bliższe dane o losach skazanych na zesłanie, ale także i tych którzy nie zostali zdekonspirowani. Odpowiedź na anons prasowy nadesłało Autorce kilka osób, co pozwoliło m.in. odnaleźć niektóre groby na cmentarzu w Grodzisku. Na tej podstawie ustalono losy zesłańców po upadku carskiej Rosji (m.in. jeden z nich został rozstrzelany przez Niemców w 1939 r.). Autorzy poszli zresztą nieco dalej, starając się zebrać informacje o grodziskich sybirakach, w tym tych których zesłano za wspieranie powstańców 1863 r.

Drugi z tych wątków jest jednakowo ważny, jak pierwszy. Oba są cennym materiałem dla przyszłych historyków, którzy podejmą się poszukiwań, sięgających także do archiwaliów zgromadzonych w Rosji. Z odpowiedzi na apel, Autorki, wnuczka Franciszka Barańskiego, skazanego na zesłanie, odnotowała, iż Jan Haeberle, fabrykant Wyrobów Szmerglowych w „[...] trudnym okresie [...] pomagał żonom skazanych zesłańców. W przypadku mojej babci pomocą taką było wydzierżawienie dla niej maszyny dziewiarskiej, co stworzyło możliwość zarobkowania (w systemie chałupniczym) i opieki nad urodzoną córką. Pa-

miętam z jaką wdzięcznością babcia wspominała pana Haerberle, przy każdej okazji «syberyjskich» opowiadań” (s. 42).

Właśnie ten cytat dobitnie wskazuje jak ważne w pracy historycznej są choćby ułamki wspomnień, zapamiętanych w rodzinie. W książce wykorzystano także niektóre ilustracje, przede wszystkim z miejscowego muzeum. Wartość opracowania jest bezdyskusyjna, mimo pewnego dyskomfortu związanego z brakiem warsztatu historycznego Autorów. Historyka może razić tłumaczenie dokumentów rosyjskich (Autorka i zarazem tłumaczka uznała, że teksty pełne rusycyzmów lepiej oddają atmosferę), a czasem błędy bezkrytycznie przepisane z internetu (np. Cytadelę Warszawską umieszczono na prawym brzegu Wisły, a kolej do Orenburga doprowadzono w 1782 r.). Nie są to jednak uchybienia w sposób istotny obniżające wartość pracy.

Władzom Urzędu Miasta i Gminy Grodzisk Mazowiecki należą się szczególne podziękowania za wspieranie tego typu inicjatyw badawczych. Oby inne miasta i gminy uruchomiły na własnym terenie podobne akcje. Bardzo ułatwi to profesjonalnym historykom prace nad problemem, także dotyczącym wciąż mało znanej działalności Frakcji Rewolucyjnej Polskiej Partii Socjalistycznej.

*Zbigniew J. Wójcik*





---

ALEKSANDRA RZEPKOWSKA

## TABU CIAŁA I PŁCI W PAMIĘTNIKACH SYBIRACZEK

*Artykuł ten dedykuję wszystkim kobietom  
zesłanym na Sybir*

### Wstęp

W latach 1940-1941 miały miejsce cztery masowe deportacje<sup>1</sup> obywateli polskich z terenu Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej do Związku Radzieckiego.<sup>2</sup> Zesłańcze przeżycia osób poddanych temu doświadczeniu utrwalone zostały na kartach wielu wspomnień i pamiętników. W swoich rozważaniach sięgam do relacji na ten temat zamieszczonych w piśmie „My, Sybiracy”. Pismo to jest – z inicjatywy lokalnego oddziału Związku

---

<sup>1</sup> Pojęć takich, jak: „deportacja”, „zesłanie”, „wysłanie” i pokrewnych używam w swoim opracowaniu wymiennie. Zdaję sobie sprawę, że nie jest to zgodne ze szczegółową kwalifikacją tych terminów przyjętą na gruncie historii i historiografii, jednak w tekście antropologicznym wydaje się usprawiedliwione, tym bardziej że nie zajmuję się tu analizą prawn-administracyjnego aspektu deportacji. Zob. S. Ciesielski, G. Hryciuk, A. Srebrakowski, *Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim*, Toruń 2003, s. 7; K. Gorgolewska, *Deportacje Polaków do Republiki Komi*, „My, Sybiracy” 2001, nr 12, s. 12-13. W ślad za tym wyborem pojęciowym ofiary sowieckich wywózek będę określać mianem zesłanych, deportowanych, wysiedlonych itp. Obszerne informacje na temat ekspulsji obywateli polskich na Wschód można odnaleźć w pracach historyków. Oto niektóre z nich: S. Ciesielski, G. Hryciuk, A. Srebrakowski, op. cit.; A. Głowacki, *Sowieci wobec Polaków na ziemiach wschodnich II Rzeczypospolitej 1939-1941*, Łódź 1998; P. Żaroń, *Ludność polska w Związku Radzieckim w czasie II wojny światowej*, Warszawa 1990.

<sup>2</sup> Większość przesiedlonych powróciła z niewoli tuż po zakończeniu II wojny światowej, w 1945 oraz w 1946 roku. Niektórzy z nich zostali w 1944 roku, w ramach wstępnej akcji ewakuacyjnej, przeniesieni z głębi imperium sowieckiego na Powołże. Zob. A. Głowacki, *Ocalić i repatriować. Opieka nad ludnością polską w głębi terytorium ZSRR (1943-1946)*, Łódź 1994; tenże, *Początek drogi powrotnej do ojczyzny. Przesiedlenie części zesłańców polskich ze wschodniej Syberii na Powołże w 1944 roku*, [w:] *Syberia w historii i kulturze narodu polskiego*, red. A. Kuczyński, Wrocław 1998.

Sybiraków<sup>3</sup> – wydawane w Łodzi, jednak na jego łamach ukazują się także świadectwa osób mieszkających w innych częściach Polski.

Jedna z badaczek narracji zesłańczych – Katarzyna Kość na podstawie wnikliwej lektury dziesiątków przekazów sybirackich (dostępnych w wersji drukowanej lub rękopiśmiennej) orzekła, iż cechuje je znaczna konwencjonalność treści i stylu, powtarzalność podejmowanych w nich wątków i motywów.<sup>4</sup> Opierając się na tej tezie trzeba stwierdzić, iż rozpatrywane w tym artykule pamiętniki nie stanowią jakiejś szczególnej i odrębnej od reszty jakości, lecz są w dużym stopniu reprezentatywne dla interesującej mnie kategorii tekstów i mogą być traktowane jako przykład, w którym zawierają się również inne przejawy dyskursu autobiograficznego na temat przymusowych przesiedleń Polaków na Wschód.

Właściwy przedmiot moich dociekań stanowią relacje kobiet zesłanych w latach II wojny światowej do ZSRR. Interesuje mnie przy tym ściśle określony aspekt ich zwierzeń, a mianowicie obecne w nich przejawy tabuizacji spraw związanych z szeroko pojętą sferą kobiecego ciała, a więc: z aktami ekskrecji<sup>5</sup>, dojrzewaniem biologicznym i seksualnym, dbaniem o higienę osobistą, życiem płciowym, profilaktyką i leczeniem typowo kobiecych chorób i dolegliwości zdrowotnych itp.

Dlaczego jednak postanowiłam skierować swoje badawcze spojrzenie wyłącznie na pamiętniki pisane przez kobiety? Decyzja ta ma w dużej mierze związek z wyborem ramy teoretycznej, w której osadzam swe rozważania i która jest fundowana przez założenia antropologii historycznej. Podstawowym celem antropohistorii jest odkrycie personalnego, prywatnego oraz codziennego wymiaru przeszłości. Szczególnie cennym materiałem dla tak pomyślanych studiów nad przeszłością są przeto autobiografie tak zwanych zwykłych ludzi (nieistotne z punktu widzenia „wielkiej”, oficjalnej historii), a zwłaszcza autobiografie kobiece, które uznaje się – jak wskazuje Tatiana Czerska – „za nasycone szczegółem, drobiazgowo, prezentujące przede wszystkim codzienną egzystencję”.<sup>6</sup> Jest to jeden z po-

<sup>3</sup> Związek Sybiraków to organizacja stojąca na straży pamięci o zesłaniach Polaków na Wschód. Zob. A. Dobroński, *Losy Sybiraków*, Warszawa 1997, s. 145-162; A. Kuczyński, *Związek Sybiraków liczy 75 lat*, „Niepodległość i Pamięć” 2004, nr 1; A. Rybak, *Powrót z nicości*, „Polityka” 2006, nr 14.

<sup>4</sup> K. Kość, *Tropami światów „odpamiętanych” – narracje zesłańcze a prawda historyczna w badaniach etnologicznych*, „Etnografia Polska” 2006, t. 50, z. 1-2, s. 170. Silnie zunifikowany charakter tych opowiadań jest wynikiem zasadniczo podobnego zasobu przeżyć biograficznych ich autorów. Jednocześnie doświadczenie deportacji stanowi temat zarówno prywatnych, jak i publicznych wspomnień. Jest to kolejny czynnik prowadzący do konwencjonalizacji i tradycjonalizacji jego narracyjnego kształtu. Zob. A. Rzepkowska, *Sluchając wspomnień Sybiraków – antropolog wobec doświadczenia zesłania*, „Lud” 2008, t. 52, s. 20-21; A. Rokuszewska-Pawełek, *Chaos i przymus. Trajektorie wojenne Polaków – analiza biograficzna*, Łódź 2002, s. 157.

<sup>5</sup> Procesy metaboliczne, w tym akty wydalania, nie są, rzecz jasna, ograniczone tylko do płci żeńskiej, jednak ze względu na swe powiązania z kategorią cielesności postanowiłam włączyć je w zakres mojej analizy.

<sup>6</sup> T. Czerska, *Historia rodziny – rodzina w historii*, [w:] *Prywatne/publiczne. Gatunki pisarstwa kobiecego*, red. I. Iwasiów, Szczecin, s. 196. Zob. E. Domańska, *Mikrohistorie. Spotkania w międzyświatach*, Poznań 1999; J. Topolski, *Od Achillesa do Béatrice*

wodów, dla których zdecydowałam się zawęzić swe rozważania do żeńskiej perspektywy. Drugim powodem jest fakt, iż za sprawą swej fizjologii kobieta silniej aniżeli mężczyzna doświadcza własnej cielesności. Przy okazji chcę dodać, że choć pole mojej refleksji jest wyznaczone przez doświadczenia kobiece, nie spoglądam na nie z feministycznego punktu widzenia.

W swoim opracowaniu wykorzystuję w sumie świadectwa dwudziestu siedmiu Sybiraczek. Najwięcej, bo kilkanaście z nich trafiło na zesłanie jako nastolatki; kilka jako osoby dorosłe (często także zamężne i będące już matkami); reszta miała w chwili wywózki nie więcej niż dziesięć lat. Okres wysłania obejmował zwykle pięć-sześć lat. W przypadku wielu autorek przełomowe doświadczenia dorastania, a więc przeobrażania się z dziewczynki w podlotka czy też w młodą kobietę dokonywały się zatem właśnie w trudnym czasie ekspulsji. Trzeba też pamiętać, że autorki badanych wspomnień otoczone były zazwyczaj innymi kobietami: matkami, babkami, ciotkami, siostrami, przyjaciółkami, sąsiadkami itd., o których opowiadają w swoich relacjach, wzbogacając tym samym obraz kobiecej egzystencji w warunkach zesłania.

Długi czas, jaki upłynął od momentu powrotu narratorek z wygnania sprawia, że ich opowieści są z pewnością niekompletne, pełne luk i nieścisłości. Równie ważne jest to, iż w opowieściach tych przenikają się i nawarstwiają wielorakie złoża pamięci. Nawet jeśli nie jest to w pełni uświadamiane oraz wyraźnie sygnalizowane przez autorki, w swych tekstach – oprócz wiedzy ściśle autobiograficznej – wykorzystują one bowiem z pewnością także treści pochodzące z innych źródeł takich choćby, jak: cudze relacje na temat Sybiru (także te reprezentujące żywioł postpamięci, a więc pochodzące od starszego pokolenia zesłańców<sup>7</sup>), jak również poświęcone temu zagadnieniu różne formy przekazu literackiego, historycznego, medialnego itp.

Fakt znacznego oddalenia czasowego od relacjonowanych przez Sybiraczki zdarzeń sprzyja ujednoczeniu ich wypowiedzi pod względem

---

*de Planissolles. Zarys historii historiografii*, Warszawa 1998, s. 137-154. Moja analiza ma wąski, jednoaspektowy i jedynie pryncypialny charakter, dlatego warto wymienić przynajmniej kilka prac o charakterze monograficznym, w których przedstawiony został o wiele rozleglejszy i bardziej szczegółowy obraz życia codziennego na zesłaniu. Oto one: *Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946. Studia*, red. S. Ciesielski, Wrocław 1997; A. Dobroński, op. cit.; E. Kowalska, *Przeżyć, aby wrócić! Polscy zesłańcy lat 1940-41 w ZSRR i ich losy do roku 1946*, Warszawa 1998; K. Kość, *Żywi we wspomnieniach. Doświadczenia śmierci w relacjach polskich zesłańców w ZSRR (w latach 1940-1946)*, Wrocław 2008.

<sup>7</sup> Zob. M. Hirsch, *Family Frames. Photography, Narrative, and Postmemory*, Cambridge, Massachusetts, London 1997; K. Kaniowska, „*Memoria*” i „*postpamięć*” a antropologiczne badanie wspólnoty, [w:] *Codzienne i niecodzienne. O wspólnotowości w realiach dzisiejszej Łodzi*, red. G.E. Karpińska, „*Łódzkie Studia Etnograficzne*” 2004, t. 43; Taż, *Postpamięć indywidualna – postpamięć zbiorowa jako kategorie poznania w antropologii*, [w:] *Pamięć i polityka historyczna*, red. S. Nowinowski, J. Pomorski, R. Stobiecki, Łódź 2008, s. 65-77.

poznawczym. Wszystkie te wypowiedzi są wszak formułowane przez osoby znajdujące się w podeszłym już wieku, a także dysponujące właściwą dla tego okresu życia wrażliwością, inteligencją narracyjną oraz perspektywą interpretacyjną.<sup>8</sup> Oczywiście zawsze trzeba mieć na uwadze pewne różnice indywidualne, zależne od konkretnej sytuacji losowej, formacji intelektualnej, światopoglądu, typu osobowości i struktury emocjonalnej itd., jednak właściwy dla wszystkich narratorek dojrzały wiek upodabnia niewątpliwie ich sposób widzenia przeszłości oraz własnego w niej udziału.

### Tabu w języku i kulturze. Ogólna charakterystyka

„Tabu” to słowo zaczerpnięte z języka społeczności pierwotnych, zamieszkujących rejon Polinezji, i oznaczające w tymże języku to, co święte i zakazane.<sup>9</sup> Zgodnie ze swą etymologią w kulturach archaicznych tabu wiązało się z zakazem podejmowania określonych działań w stosunku do różnych obiektów rzeczywistości: osób, miejsc, rzeczy, stanów rzeczy, zwierząt lub wypowiedzania pewnych słów. Przekonanie o konieczności i celowości takich zachowań wynikało z wiary, że obiekty te są święte lub nieczyste w sensie rytualnym. W koncepcję rzeczywistości obowiązującą w kulturach pierwotnych wbudowane było zarazem przeświadczenie, że za złamanie tabu grożą niezwykle i nieprzewidywalne kary o charakterze nadprzyrodzonym. Tak rozumiany system zakazów społeczno-kulturowych określa się w dyskursie humanistycznym jako tabu pierwotne. Charakterystyczne dla myślenia współczesnego tabu nowożytne posiada zgoła odmienną motywację. Tym, co skłania do jego przestrzegania, nie jest już bowiem irracjonalny lęk przed jakąś ponadnaturalną mocą, ale względy o charakterze towarzyskim i obyczajowym takie, jak: 1) przyzwoitość, skromność, wstyd, 2) delikatność, uprzejmość, współczucie, litość, 3) roztropność, przezorność, megalomania, spryt i interes.<sup>10</sup> Jedną z podstawowych sfer, w jakich manifestuje się tabu nowożytne, jest sfera płci, ciała oraz zmysłów, a jego głównym regulatorem – uczucie wstydu.<sup>11</sup>

Jak już sygnalizowałam, problem tabuizacji tego rodzaju zagadnień rozważam w swym artykule w oparciu o materiał językowy. Swoją uwa-

<sup>8</sup> T. Maruszewski, *Pamięć autobiograficzna*, Gdańsk 2005, s. 156-165.

<sup>9</sup> Tabu, będące polinezyjskim terminem i zwyczajem, posłużyło następnie – jak zauważa Bronisław Malinowski – jako prototyp i eponim dla podobnych faktów wykrytych u wszystkich społeczeństwach świata. B. Malinowski, *Argonauci Zachodniego Pacyfiku. Relacje o poczynaniach i przygodach krajowców z Nowej Gwinei*, Warszawa 1967, s. 599.

<sup>10</sup> S. Widłak, *Tabu i eufemizm w językach nowożytnych*, „Biuletyn Polskiego Towarzystwa Językoznawczego” 1964, t. 22, s. 93. Warto pamiętać, że tabu stanowi swoiste kontinuum, a zatem nie da się wyznaczyć ostrej granicy w czasie i w przestrzeni między tabu pierwotnym a nowożytnym. W poszczególnych wspólnotach oba rodzaje zakazów mogą występować równocześnie.

<sup>11</sup> A. Dąbrowska, *Eufemizmy mowy potocznej*, [w:] *Potoczność w języku i kulturze*, red. J. Anusiewicz, F. Nieckula, „Język a Kultura” 1992, t. 5, Wrocław, s. 138-145.

gę skupiam zarazem na szczególnej odmianie tabu językowego, jakim jest tabu tematyczne.<sup>12</sup> Najprościej rzecz ujmując, zjawisko to polega na unikaniu czy też omijaniu pewnych tematów w procesie wymiany językowej. Sięgając do wybranych pamiętników deportowanych próbuję zatem rozpoznać, jak sfera kobiecego ciała jest w nich reprezentowana językowo i narracyjnie, czy podlega ona działaniu tabu, a także jak owo tabu się w tym przypadku konkretyzuje i przejawia.

### **Wypowiedziane i niewypowiedziane w pamiętnikach Sybiraczek**

Jednym z najbardziej charakterystycznych rysów zesłańczej egzystencji była konieczność radzenia sobie w niezwykle prymitywnych warunkach, obywatelstwa bez większości urządzeń i udogodnień, jakie zapewnia postęp technologiczny i cywilizacja. W nader wymowny sposób obrazują to – stworzone przez Józefa Czapskiego oraz Gustawa Herlinga-Grudzińskiego – określenia odnoszące się do świata Sybiru, a mianowicie „niehumanitarna ziemia”<sup>13</sup> oraz „inny świat”.<sup>14</sup> Określenia te konotują przede wszystkim ideologiczny i moralny aspekt tamtej rzeczywistości, mówią też jednak wiele o jej wymiarze materialnym i codziennym. Warto przytoczenia jest również w tym kontekście sformułowanie Eugeniusza Czaplejewicza, który zwrócił uwagę na to, że – odmawiając ludziom prawa do realizacji nawet najbardziej podstawowych potrzeb – system represji stalinowskich (jedną z form tych represji były właśnie wywózki) wytworzył coś w rodzaju stanu swoistej „przedcywilizacji” oraz „przedkultury”.<sup>15</sup> Badane przeze mnie wypowiedzi w pełni potwierdzają tę tezę. Okoliczności związane z sytuacją bytową na zesłaniu wpływają zarazem na zawartość tematyczną wspomnień Sybiraczek, określają spektrum oraz przebieg prowadzonej przez nie narracji. Przejawem tego jest choćby stała obecność w tychże wspomnieniach zagadnień związanych z doświadczeniem własnej cielesności (zimna, głód, ból, brud, zmęczenia itp.). Wynika to z tego, iż sfera biologiczna poddana została – w wyniku narzuconych deportowanym przez okupanta reguł i warunków bytowania – swoistej opresji. Potwierdzeniem tej sytuacji są już początkowe partie ich opowieści, referujące doświadczenie transportu na Wschód. Transport ten trwał nawet kilka tygodni i odbywał się w wagonach bydłowych, do których zapędzano po kilkadziesiąt osób, narażając je na szereg negatywnych doznań cielesno-zmysłowych takich, jak: przebywanie w tłoku, ciasnocie, zaduchu, a także bezpośredni kontakt z osobami chorymi,

<sup>12</sup> Innym rodzajem ograniczeń jest tabu wyrazowe, które polega na niewypowiedzeniu lub nieużywaniu określonych słów. Zob. A. Krawczyk-Tyrpa, *Tabu w dialektach polskich*, Bydgoszcz 2001, s. 14.

<sup>13</sup> J. Czapski, *Na niehumanitarnej ziemi*, Kraków 2001.

<sup>14</sup> G. Herling-Grudziński, *Inny świat. Zapiski sowieckie*, Warszawa 1993.

<sup>15</sup> E. Czaplejewicz, *Polska literatura łagrowa*, Warszawa 1992, s. 36.

umierającymi, a nawet z ludzkimi zwłokami.<sup>16</sup> Rekonstruując okoliczności podróży do ZSRR narratorki bardzo często wprowadzają zatem rozmaite wątki i motywy odnoszące się do sfery fizycznej, wśród nich zaś takie, których obecność uznać można za przekroczenie tabu. Mam tu na myśli głównie pojawiające się w tych fragmentach opisy radzenia sobie z potrzebami fizjologicznymi w przestrzeni wagonu. Analizowany przeze mnie materiał empiryczny przynosi niezwykłą wprost obfitość tego rodzaju relacji. Można się domyślać, iż jest to spowodowane wyjątkowym, a także traumatyzującym wpływem opisywanych przeżyć, co sprawia, iż niejako „narzucają się” one pamięci, domagając się wysłowienia. Nawiązując się do tego etapu zesłania Sybiraczki najczęściej wskazują na praktyczne trudności z załatwianiem potrzeb fizjologicznych w wagonie, a także na towarzyszący tym sytuacjom dotkliwy dyskomfort psychiczny. Większość z nich odnotowuje, iż za toaletę służyła konwojowanym dziura w podłodze, odgradzona dyktą lub jakąś prowizoryczną zasłoną aranżowaną przez podróżnych na przykład z prześcieradeł albo z koca.<sup>17</sup> W kilku przekazach jest także mowa o tym, że w niektórych wagonach na początku w ogóle nie było ubikacji i że załatwiano się tylko raz dziennie w pobliżu torów, w trakcie postojów, później zaś wyrąbывano w podłodze pojedyncze otwory kloaczne.<sup>18</sup>

Podczas lektury pamiętników zesłańek interesowało mnie, rzecz jasna, czy wątek związany z realizacją potrzeb fizjologicznych jest kontynuowany również w odniesieniu do dalszych etapów deportacji, obejmujących okres pobytu w miejscach przymusowego osiedlenia. Okazało się wszakże, że pojawia się on w tym kontekście jedynie sporadycznie i jest słabo zaznaczony. Kobieta wywieziona wraz z matką do Kazachstanu pisze na przykład, że załatwiano się do dołów znajdujących się opodal ziemlanek, w których mieszkało<sup>19</sup>; kolejna autorka – przesiedlona jako siedmioletnie dziecko do Ałtajskiego Kraju podaje natomiast, że drew-

<sup>16</sup> Okoliczności panujące w wagonie transportowym doskonale oddaje wprowadzone przez Edwarda T. Halla pojęcie bagna behawioralnego. E. T. Hall, *Ukryty wymiar*, przeł. J. Hołówka, Warszawa 1976, s. 152 i nast. Zob. A. Kuczyński, *Wysiedlenie i podróż w nieznane*, [w:] *Życie codzienne polskich zesłańców...*, Wrocław 1997.

<sup>17</sup> C. Markowska, *Wspomnienia Sybiraczki*, „My, Sybiracy” 1998, nr 9, s. 118; H. Babska, *Wspomnienia z Kazachstanu*, „My, Sybiracy” 1999, nr 10, s. 141; I. Benit-Leonkiewicz, *Zesłańcze wspomnienia*, „My, Sybiracy” 2000, nr 11, s. 99; H. Ceglarska-Symonowicz, *Moje wspomnienia z Syberii*, „My, Sybiracy” 2000, nr 11, s. 128; H. Pietrzycka, *Spojrzenie wstecz po sześćoletnim pobycie w Kazachstanie*, „My, Sybiracy” 2000, nr 11, s. 168-181; M. Lichocik, *Sześć lat walki o dziecko*, „My, Sybiracy” 2001, nr 12, s. 197; J. Moczydłowska, *Pamiętnik cierpieniem pisany*, „My, Sybiracy” 2005, nr 16, s. 207; W. Wiśniewska, *Deportacja na Syberię*, „My, Sybiracy” 2007, nr 18, s. 290; G. Klauzer, *Wspomnienia z zesłania na Sybir*, „My, Sybiracy” 2008, nr 19, s. 262. Podobna sytuacja panowała w drodze powrotnej. J. Wiśniewska, *Żuliki polskie*, „My, Sybiracy” 1995, nr 6, s. 172.

<sup>18</sup> I. Wiszniewska, *Sieroce wspomnienia*, „My, Sybiracy” 1999, nr 10, s. 181; Z. Podlaska, *Sześć lat w Kazachstanie*, „My, Sybiracy” 2000, nr 11, s. 188.

<sup>19</sup> I. Benit-Leonkiewicz, op. cit., s. 108.

niane latryny były przez zesłańców ukradkiem rozbierane na opał.<sup>20</sup> Ta sama narratorka wyznaje, że któregoś razu została przyłapana na kradzieży pożywienia i pod wpływem silnych emocji wypróżniła się w spodnie oraz zaczęła roztaczać wokół siebie silną i przykrą woń odchodów. Dano jej wówczas kilka gazet do wytarcia, zaprowadzono do pobliskiej ubikacji oraz kazano doprowadzić się do porządku.<sup>21</sup> Są to wszelako jedyne informacje odnoszące się do lokalizacji i wyglądu toalet, a także akcesoriów używanych do higieny towarzyszącej defekacji, jakie udało mi się znaleźć w pamiętnikach wygnanek na Wschód. Jak widać, są one bardzo powierzchowne i zdawkowe.

Pewnym nawiązaniem do tematu fizjologii w warunkach zniewolenia jest też opowieść Sybiraczki, która opisuje dolegliwości jelitowe swej siostry wywołane zjedzeniem łusek z prosa. Tytułem wyjaśnienia należy dodać, że niemal wszyscy deportowani cierpieli w trakcie pobytu w ZSRR dotkliwy głód oraz biedę, co sprawiało, iż odżywiali się często w sposób nieracjonalny, niezdrowy i przypadkowy, byle tylko napełnić żołądek oraz zapewnić organizmowi choćby minimalną liczbę kalorii potrzebną do pozostania przy życiu. Wymownym przejawem tego rodzaju praktyki było właśnie jedzenie trudnych do strawienia łusek z prosa. Wspominana przeze mnie pamiętnikarka relacjonuje na kartach swej autobiografii cierpienie, jakiego jej młodsza siostra doznała po spożyciu tego właśnie produktu, a także pomoc, jakiej próbowała jej udzielić. Piśsze zatem o wkładaniu jej w obręb *anisu* pozyskanych z trudem skrawków mydła, o wymywaniu zaropiałej rany wewnątrz pośladek oraz o mozolnym wyciskaniu za pomocą gumowej gruszki mydlin do jelita grubego dziewczynki.<sup>22</sup> W historii tej, niezwykle drastycznej i wstrząsającej, odsłonięte zostają sprawy i działania normalnie uznawane za intymne i krępujące. Stanowi więc ona przykład zerwania z ograniczeniami tabu. Podobnym przykładem jest – zamieszczony w jednym z przekazów – fragment dotyczący menstruacji.<sup>23</sup> Można się z niego dowiedzieć, iż większość wywiezionych (zarówno nastolatek, jak i w pełni dojrzałych już kobiet) nie miesiączkowała na zesłaniu. Panujące tam trudne warunki bytowe, stany wiecznego przemęczenia, niedogrzenia, niedożywienia i awitaminozy organizmu, a także nieustający stres prowadziły bowiem do chronicznych zaburzeń kobiecego układu wewnątrzwydzielniczego oraz – w konsekwencji – do zatrzymania cyklu miesięcznego. Cytowana autorka przyznaje zarazem, że zesłanki chwaliły sobie tę okoliczność, albowiem w ówczesnych realiach stanowiła ona swoiste dobrodziejstwo. W

<sup>20</sup> J. Wiśniewska, op. cit., s. 169.

<sup>21</sup> Ibidem, s. 169.

<sup>22</sup> I. Wiśniewska, op. cit., s. 185-187.

<sup>23</sup> Znamienne jest wprowadzenie w tej relacji eufemizmu „wstydliva sprawa” na określenie miesiączki. Zastosowany zabieg stylistyczny bardzo wyraźnie ujawnia tabu-istyczny charakter tego doświadczenia kobiecego, jakim jest period. W. Olczykowa, *Wspomnienia z Kazachstanu* (cz. 2), „My, Sybiracy” 1998, nr 9, s. 152.

czasie zimy na przykład nie było mowy o jakiegokolwiek kąpielu. Ciało pobieżnie obmywano szmatką maczaną w wodzie, waniów oczywiście nie było, mało kto miał też miednicę. Trochę lepiej było latem, ponieważ można było uwolnić się od brudu zażywając kąpiele w rzece.<sup>24</sup> W tej samej relacji czytamy, że młode Sybiraczki nie tylko nie miały menstruacji, ale też typowo kobiecych kształtów: wyraźnie zarysowanego biustu oraz bioder.<sup>25</sup> Ich dojrzewanie biologiczne było bowiem spowolnione, a nawet częściowo zahamowane. Można w związku z tym postawić tezę, że w rzeczywistości wygnania dokonało się zjawisko swoistej transformacji, przeobrażenia płci, a nawet – powtarzając sformułowanie używane między innymi przez Arletę Galant – odpłciowienia.<sup>26</sup> Pewne cechy, procesy i atrybuty biologiczne oraz cielesne właściwe dla kobiet uległy tam wszakże daleko posuniętej regresji, a nawet zanikowi. Co ważne, owa transformacja kobiecości pozostawała niekiedy faktem nieodwracalnym. Jedną z narratorek – zmuszaną podczas pobytu w ZSRR do katorżniczej pracy przy budowie kanału: do kopania, wożenia na taczkach ziemi oraz kamieni – wyznaje mianowicie, że praca ta całkowicie zrujnowała jej zdrowie i uczyniła ją bezpłodną.<sup>27</sup>

Podobnie jak to miało miejsce w przypadku ekskrecji, także wątek związany z miesiączkowaniem poddany jest w analizowanym przez materialie tabuizacji, ukryciu i tylko z rzadka podlega odsłonięciu. Oprócz informacji o tym, że u wielu zesłańców nie występował normalny cykl hormonalny oraz menstruacja nie znalazłam żadnych wzmianek dotyczących sposobów postępowania w przypadku pojawienia się miesiączki, a przeciwnie niektóre kobiety – o czym dalej – w trakcie wywózki zachodziły w ciążę, a zatem musiały jakoś radzić sobie z cyklicznymi niedyspozycjami (stosować jakieś podkłady higieniczne, dbać o ich wymianę itp.).

Bardzo niewiele jest też danych odnoszących się do życia uczuciowego oraz erotycznego na Sybirze.<sup>28</sup> Wyjątkiem w tym względzie jest narracja spisana przez jedną z kobiet deportowanych do Kazachstanu. Stwierdza ona mianowicie, że młodość w każdym czasie i w każdym miejscu ma swoje niezmiennie potrzeby oraz prawa, a następnie zamieszcza obszerną relację dotyczącą młodzieńczego zauroczenia, jakie przeżyła będąc w Sowietach. Oto jej słowa:

Tamtego wieczoru zebrała się wyjątkowo duża grupa młodzieży. Usiedliśmy wszyscy na murawie, tam tylko gdzie znalazło się wolne miejsce. Obok mnie usiadł Jurik, chłopiec dwa lata starszy ode mnie. Był synem naszych sąsiadów – Rosjan, którzy pochodzili z Leningradu. Na zsyłkę skazano ich za działalność

<sup>24</sup> Ibidem, s. 152.

<sup>25</sup> Ibidem, s. 158.

<sup>26</sup> A. Galant, „Potłuczone klisze?”. *Eseistyka Marii Kuncewiczowej*, [w:] *Prywatne/publiczne...*, s. 91.

<sup>27</sup> Z. Hadler, *Sześćioletnia tulaczka*, „My, Sybiracy” 1992, nr 3, s. 113.

<sup>28</sup> W tej części rozważań wprowadzam wątek miłości romantycznej, albowiem często stanowi ona pierwszy krok do dalszych kontaktów o charakterze cielesnym, a więc erotycznych i seksualnych.



polityczną dziadka. Jurik, tak jak ja, pracował w cegielni. Często pomagał mi dźwigać ciężkie cegły, kiedy nie mogłam sobie poradzić, a trzeba było wykonać dzienną normę. Byłam mu zawsze bardzo wdzięczna i traktowałam go jak prawdziwego przyjaciela. Jurik zawsze mi imponował. Nie był wulgarny i nigdy się nie narzucał, jak inni chłopcy w jego wieku. Był bardzo inteligentny i czytany. Doskonale się z nim rozmawiało.

Tego wieczora znaleźliśmy się tuż obok siebie. Nie wiem, czy był to przypadek, czy też mnie szukał i celowo usiadł przy mnie. Wymieniliśmy ze sobą kilka zdań, które wprawiły mnie w zadumę... Nagle poczułam na swoim ramieniu dłoń jego ręki, a po chwili usłyszałam: „Czy miałabyś ochotę przejść się ze mną? Porozmawiamy tam, gdzie jest ciszej. Od tego hałasu boli mnie głowa. Ciebie pewnie też?”. Zgodziłam się bez słowa. Pomógł mi wstać, a za chwilę zaczęliśmy się oddalać od gromady naszych rówieśników, którzy nie zauważyli chyba naszej nieobecności. Szliśmy trzymając się za ręce, coraz bardziej bliscy sobie, ogarnięci przyływem młodzieńczego uczucia i wzajemnej fascynacji. Dookoła otaczała nas stepowa roślinność, wybujała i wonna. Było widno jak w dzień, gdyż na niebie jaśniała olbrzymia tarcza księżyca. Przystaliśmy na chwilę, upojeni zapachem stepu. Chłoniliśmy naszą młodość, która rozkwitała jak najcudowniejszy kwiat. Towarzyszyła nam cisza tak wielka, iż słyszeliśmy bicie naszych serc. Jurik patrzył na mnie tak, jak tylko on to potrafił, i uśmiechał się czarująco. Był pięknym chłopcem. Miał bujną, jasną czuprynę i szare, pełne blasku oczy... Nagle zobaczyłam w nich jakieś dziwne iskierki. „Kocham cię! Tak bardzo cię kocham!” – szepotał. Jego palce zacisnęły się na przegubach moich dłoni, kiedy poczuł, że chce mu się wyrwać i uciec. Uświadomiłam sobie, że znam od dzieciństwa wpajano mi bardzo surowe zasady. Wiedziałam, że nie powinnam tam dłużej zostawać. Zdołałam wyslizgnąć się z rąk Jurika i kawałek odbiec. On jednak mnie dogonił i delikatnie złapał ze rękę. Właśnie wtedy zrodziło się w nas cudowne uczucie, które po latach pozwala mi myśleć o sobie i o Nim ciepło i bez wzajemnego żalu. Jurik wykazał wobec mnie szacunek i silną wolę.<sup>29</sup>

Przywołany fragment stanowi wyraźne odstępstwo od konwencji przyjętej w pozostałych przekazach, w których nie wspomina się o porwach serca doznawanych na zesłaniu, o wzajemnych flirtach i zauroczeniach. Przełamując barierę milczenia o tych sprawach, autorka podanego opisu wskazuje zarazem na szereg zakazów, które wpojono jej w procesie wychowania i które zmusiły ją do zachowania postawy dystansu i wstrzemięźliwości w relacjach z Jurikiem. Obaleniu jednego tabu, jakim jest mówienie o uczuciach, towarzyszy więc tutaj deklaracja wierności wobec innych restrykcji i nakazów o charakterze obyczajowym.

Bardzo luźne nawiązanie do tematu relacji między kobietami a mężczyznami pojawia się jeszcze w paru pamiętnikach. W jednym z nich narratorka napomyka o małżeństwach zawartych przez Polki z Rosjanami, z Kazachem oraz o kilku cichych romansach rozkwitłych na „nie-ludzkiej ziemi”.<sup>30</sup> Dwie inne odnotowują zaś fakt zamążpójścia (własnego oraz siostry), jednak wszystkie te głosy cechuje bardzo zwięzły i ogólny

<sup>29</sup> Z. Podlaska, op. cit., s. 199-200. Autorka tej wypowiedzi opowiada też krótko o miłosnej przygodzie swej koleżanki – Irenki Łukawskiej, która została uwiedziona przez młodego Gruzina – Griszkę. Zaszła z nim w ciążę, urodziła córkę oraz osiadła w rodzinnych stronach ukochanego, na Kaukazie. Ibidem, s. 200.

<sup>30</sup> H. Pietrzycka, op. cit., s. 180.

nikowy ton.<sup>31</sup> Trudno zatem uznać je za akty odtabuizowania sfery uczuć i erotyki w dyskursie sybirackim.

Brakowi szerszych informacji o randkach, zalotach oraz zbliżeniach cielesnych osób zakochanych towarzyszy tylko jedna relacja poświęcona przemocy seksualnej na wygnaniu. Jest w niej mowa o tym, jak komendant *posiołka*, czyli osady zesłańczej regularnie zniewalał podległe mu ładne i młode kobiety. Jedna z nich nie wytrzymała związanej z tym traumy i zmarła. Inna doznała silnego urazu do mężczyzn i długo nie chciała wyjść za mąż.<sup>32</sup>

Równie skąpe są wspomnienia dotyczące ciąży, porodu oraz położu. Wzmianki na ten temat pojawiają się, co prawda, w kilku tekstach, ale są bardzo zdawkowe i ograniczają się do zamieszczenia informacji, że niektóre zesłanki zachodziły w ciążę i rodziły dzieci.<sup>33</sup> Nie wiadomo zatem, jak wyglądała opieka medyczna nad kobietą ciężarną i znajdującą się w położu (czy w ogóle takowa występowała), kto odbierał poród, jak radzono sobie z ewentualnymi komplikacjami w jego trakcie itd. Tylko jedna z Sybiraczek podaje, że mimo złej kondycji fizycznej karmiła swojego synka piersią.<sup>34</sup>

Widoczna jest też nieobecność jakichkolwiek wypowiedzi odnoszących się do praktykowanych metod regulacji urodzeń, a także ewentualnych poronień, a przecież skrajnie wycieńczone organizmy deportowanych były na nie szczególnie narażone. Z wyjątkiem krótkiej notki o braku menstruacji oraz o utracie płodności na skutek oddelegowania do forsownych robót przy budowie kanału, całkowitemu przesłonięciu podlega również problem chorób kobiecych. Być może jest to spowodowane brakiem należytej opieki lekarskiej w świecie wygnania, wskutek czego poszczególne osoby nawet nie zdawały sobie sprawy z tego, że są chore albo nie umiały trafnie zidentyfikować i nazwać własnych dolegliwości zdrowotnych. Można się jednak domyślać, że ówczesne realia życiowe, w tym nieustający stres, wyziębienie, złe odżywianie, a także deficyt wody oraz środków czystości prowadziły do licznych schorzeń, jak choćby rozmaite infekcje oraz stany zapalne dróg rodnych. Wiele pamiętnikarek wskazuje na to, że na zesłaniu częstokroć chodzono wciąż w tej samej, brudnej bieliźnie, bardzo rzadko korzystano z łaźni i dezynfekcji, myto się w sposób niedokładny i prowizoryczny, używając do tego celu na przykład stopionego śniegu, wody zmieszanej z popiołem oraz nędznej namiastki mydła w postaci kawałka gliny owiniętej w papierek lub zbieranego w stepie osobliwego gatunku ziela, którym pocierało się ręce

<sup>31</sup> H. Dąbrowska, *Syberia w oczach wygnańca. Pamięci naszej matki*, „My, Sybiracy” 2005, nr 16, s. 180; A. Romanowska-Risz, *Wspomnienia nie tylko z zesłania*, „My, Sybiracy” 2006, nr 17, s. 235.

<sup>32</sup> C. Markowska, op. cit., s. 120-121.

<sup>33</sup> Z. Podlaska, op. cit., s. 200; H. Dąbrowska, op. cit., s. 182; W. Wiśniewska, op. cit., s. 292.

<sup>34</sup> J.B. Michalik, *Moje życie na zesłaniu: lata 1939-1946* (cz. 1), „My, Sybiracy” 2006, nr 17, s. 209, 211, 217.

i inne części ciała; czasami wytwarzało się też ług, w którym gotowało się ubrania.<sup>35</sup> Wszystkie te zabiegi okazywały się jednak mało skuteczne, nie ratowały od brudu, przykrego zapachu, a także od wesz, które prześladowały wysiedlonych w zasadzie od pierwszego do ostatniego dnia ich pobytu na „niełudzkiej ziemi”.<sup>36</sup> Pewna zesłanka z nieskrywaną emocją wyznaje, że gdy trafiła do Polskiego Domu Dziecka, na pytanie intendenta, „Co Pani dać?” bez zastanowienia wykrzyknęła „Boże! Mydła, mydła!”. I dostała, w małym glinianym garnuszku wymarzone szare mydło. Już po pierwszym umyciu głowy zniszczone – przez zawarte w tym mydle chemiczne substancje czynne – gnidy dały się bez trudu usunąć z włosów. Ulga, jakiej wówczas doznała, nie daje się wyrazić słowami.<sup>37</sup>

W „normalnym” świecie fakt, iż kobieta żyje w straszliwym brudzie, wśród insektów, bucha od niej smród, odór, nie pierze i nie zmienia bielizny, choruje na świerzb, wszawicę i kąpie się w tej samej wodzie co jej otoczenie, z pewnością zostałyby uznany za wstydlivy, krępujący, kompromitujący oraz zatajony przed innymi. W omawianych przez mnie przekazach nie jest to jednak temat tabu. Przeciwnie, tego rodzaju uwagi i spostrzeżenia dają się odnaleźć w niemal każdej relacji zesłańczej.

Niektóre Sybiraczki otwarcie mówią ponadto o braku atrakcyjności kobiet przebywających na wygnaniu, o tym, że wyglądały staro, były zaniedbane i zniszczone.<sup>38</sup> Czasem zresztą cierpienie, a także liczne deformacje i oszpecenia, jakich ich ciała doznały w tamtym okresie, okazywały się „bagażem” na całe życie. Kobieta wysłana w wieku kilkunastu lat na Syberię opisuje, że w trakcie pobytu w Sowietach poważnie zachorowała:

Przeziębiona krew wyrzuciła na całe ciało wrzody ropne. Całą zimę nie mogłam ich wygoić, ropiało to wszystko, cóż, leków nie dali. Dopiero na wiosnę na słońcu wygrzałam i pogoiły się. Blizny zostały, mam je do dziś na całym ciele. Zawsze czułam się zakompleksiona, bo na plaży nie mogłam się pokazać. Wychodząc za męża, ukrywałam przed mężem blizny, myślałam, że mnie porzuci, kiedy zobaczy. Okazał się bardzo wyrozumiały i bardzo mi współczuł. W pachwinie zrobiła się przetoka ropna, która dopiero po dwóch latach mi się zagoiła, bez przerwy ropa schodziła.<sup>39</sup>

Ujawnienie tak intymnych szczegółów w tekście dostępnym szerokiej publiczności czytelniczej można z pewnością uznać za zerwanie z tabu. Podobnie można interpretować fragmenty, w których repatriowane opowiadają

<sup>35</sup> J. Wiśniewska, op. cit., s. 169-170; W. Olczykowa, *Wspomnienia z Kazachstanu* (cz. 1), „My, Sybiracy” 1997, nr 8, s. 138; C. Markowska, op. cit., s. 127, 130; W. Olczykowa, *Wspomnienia z Kazachstanu* (cz. 2), s. 143, 152; H. Babska, op. cit., s. 144; I. Benit-Leonkiewicz, op. cit., s. 118, Z. Podlaska, op. cit., s. 203; M. Lichocik, op. cit., s. 198; J. Dzyra, *Kazachstańskie dzieje*, „My, Sybiracy” 2004, nr 15, s. 188, 196-198; H. Dąbrowska, op. cit., s. 168, 170; J.B. Michalik, *Moje życie: lata 1939-1946* (cz. 2), „My, Sybiracy” 2007, nr 18, s. 241-242; W. Wiśniewska, op. cit., s. 291; G. Klauzer, op. cit., s. 264, 268-269.

<sup>36</sup> J. Wiśniewska, op. cit., s. 169-170; C. Markowska, op. cit., s. 130, 132; H. Babska, op. cit., s. 144; M. Lichocik, op. cit., s. 202.

<sup>37</sup> J.B. Michalik, *Moje życie: lata 1939-1946* (cz. 2), s. 242.

<sup>38</sup> W. Olczykowa, *Wspomnienia z Kazachstanu* (cz. 2), s. 165.

<sup>39</sup> C. Markowska, op. cit., s. 124.

o poczuciu niższości, w które popadły po powrocie do kraju i którego źródłem był właśnie ich wygląd: brak przyzwoitego obuwia, odzienia, wyniszczona przez lata poniewierki *physis*. Po przyjeździe do Polski zesłanki musiały zatem od nowa formować własną tożsamość płciową – zgodnie z jej aktualną, kulturową matrycą, niejako odzyskać własną kobiecość. W wymowny sposób poświadczą to taka oto wypowiedź:

Wszystkiego musiałam się uczyć. [...] Musiała mama uczyć mnie wszystkiego. Dziewczyna prawie 19-letnia nawet nie umie ładnie chodzić. Kroki robiłam duże, bo tam, na Sybirze, po śniegu drobne kroczyki, to by się człowiek zamęczył. Ruchy zamaszyste jak mężczyzna, ile ciągłych uwag ze strony mamy: tak trzeba, a nie tak.<sup>40</sup>

### Podsumowanie

W ramach podsumowania należy stwierdzić, iż w analizowanym przeze mnie materiale pamiętnikarskim sfera kobiecego ciała poddana jest wielorakim mechanizmom tabuizacji. Widocznym przemilczeniem i niedopowiedzeniem objęte są tu takie chociażby zagadnienia, jak: menstruacja, ciąża, poród, połóg oraz realizacja potrzeb erotycznych i seksualnych. Sprawy związane z ekskrecją są dość wyraźnie eksponowane w początkowych partiach badanych relacji, odnoszących się do etapu drogi na Wschód, potem zaś podlegają konsekwentnemu wymazaniu z toku narracji wspomnieniowej. Zarazem mamy tutaj do czynienia z tendencją przeciwną, to znaczy z udostępnianiem faktów „normalnie” uznawanych za wstydlive, drażliwe i nie nadające się do upubliczniania, jak choćby niemożność dbania o higienę osobistą oraz rozmaite defekty i ułomności własnego ciała. Czym tłumaczyć taki stan rzeczy? Otóż wydaje się, że pierwsza ze stwierdzonych prawidłowości powodowana jest przez czynniki natury psychologicznej i obyczajowej takie, jak: wstyd, skrupowanie, delikatność oraz poczucie przyzwoitości.<sup>41</sup> Niewykluczone też, że

<sup>40</sup> Ibidem, s. 135.

<sup>41</sup> Autorki analizowanych przeze mnie przekazów należą do generacji seniorów, w której sfera ciała i płci jest na ogół traktowana ze sporą dozą rygorystyki obyczajowej. Sądzę, iż okoliczność ta mogła istotnie wpłynąć na zawartość ich relacji. Jest także prawdopodobne, że spisujące wspomnienia wzorowały się na wcześniej opublikowanych pamiętnikach powielając (możliwe, iż często bezwiednie oraz nieświadomie) obecne w nich klisze narracyjne i praktyki tabuizacyjne. Na marginesie chcę dodać, iż stosowanie rozmaitych konstrukcji tabu dotyczącego płci zaobserwowałam również w narracjach ustnych Sybiraków, które zebrałam w latach 2002-2005 na terenie Łodzi i miejscowości ościennych. Zob. A. Rzepkowska, *Sybiracy: wspólnota – pamięć – narracja. Studium antropologiczne*, „Łódzkie Studia Etnograficzne”, t. 48, Łódź 2009. Opo-wieści pozyskiwane na drodze bezpośredniego kontaktu z interlokutorem, w przeciwieństwie do tych zapisanych, stwarzają szansę ingerencji w ich zawartość, likwidowania w procesie dialogu badacz-badany, występujących w nich luk i niedomówień. Mimo to zrezygnowałam z prób natarczywego dopytywania o tę sferę życia, uznając, iż graniczyłoby to z „antropofagią” i zaprzeczałoby idei podmiotowego, a więc opartego na szacunku, zrozumieniu i empatii, podejścia antropologa do rozmówców. Zob. N. Murard, *Biographie, à la recherche de l'intimité*, „Ethnologie Française” 2002, t. 32, nr 1; I. Kuźma, *Prywatność – intymność, czyli na badawczych peryferiach etnologii*. (Doś-

część narratorek uznała wskazane tematy za błahe i nieważne oraz pominęła je w swoich wspomnieniach. W pojedynczych przypadkach owe luki tematyczne mogą również wynikać z niewiedzy, bo przecież niektóre autorki były w okresie zesłania zbyt młode, by na przykład podjąć współżycie płciowe, zająć się ciążą, a nawet miesiączkować. Rzecz jasna, o tabu możemy mówić jedynie wtedy, gdy za wykluczeniem pewnych zagadnień z procesu komunikacji językowej stoją zakazy o charakterze społeczno-kulturowym. Nie sposób wszakże precyzyjnie i przekonująco rozstrzygnąć, z jaką sytuacją mamy do czynienia w poszczególnych przypadkach. Co do drugiej tendencji, a więc co do ujawniania spraw naruszających granicę intymności i tabu, przy okazji zaś wskazujących na traumatyzujący i dehumanizujący wpływ doświadczenia wywózki, to ma ona niewątpliwie związek z ideologią badanej wspólnoty i wpisuje się w utrwalony w polskiej tradycji i kulturze etos zesłańca. Jak zauważa Agata Zwolan, wierność temu etosowi polega między innymi na akcentowaniu trudów własnej egzystencji w rzeczywistości wygnania.<sup>42</sup> Tym samym rzeczywistość ta zostaje uznana za wrogą i zagrażającą, co buduje jednoznaczną negatywną kwalifikację moralną doświadczenia zesłania oraz umacnia jego definicję jako doznania masowej krzywdy i cierpienia Polaków wywiezionych na Wschód – takiego zatem, które zasługuje na szczególną pamięć i poszanowanie w wymiarze społecznym. Paul Ricoeur poucza, że eksponując traumatyczne wspomnienia, przekształca się pamięć w projekt; „i jest to ten sam projekt sprawiedliwości, który obowiązkowi pamiętania nadaje formę czasu przyszłego i trybu rozkazującego”.<sup>43</sup> W ten oto sposób obowiązek pamiętania staje się obowiązkiem sprawiedliwości. Zobowiązanie to z jednej strony prowadzi do zachowywania i pielęgnowania (materialnych i innych) śladów minionych zdarzeń, a z drugiej – rodzi etyczny imperatyw szacunku i czci dla przeżyć świadków Historii.<sup>44</sup>

Wzmianki o tym, w jak nieludzkich i upokarzających warunkach musiały bytować osoby poddane zbiorowym przesiedleniom z jednej strony przełamują więc tabu zakorzenione w naszej kulturze, z drugiej zaś – realizują konwencję dyskursu pamięci przyjętą i praktykowaną przez społeczność sybiracką.

\*

Skróconą istotnie wersję tego tekstu wygłosiłam 9 grudnia 2009 roku na międzynarodowej konferencji naukowej, zatytułowanej „Tabu w oku szeroko otwartym”. Konferencja ta miała miejsce w dniach 8-10 grudnia 2009 roku w

*wiadczanie siebie i świata na wybranym przypadku*), „Prace i Materiały Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi. Seria Etnograficzna”, nr 34, Łódź 2008.

<sup>42</sup> A. Zwolan, *Aksjologia domu zesłańczego*, [w:] *Obraz domu w kulturach słowiańskich*, red. T. Dąbek-Wirgowa, A.Z. Makowiecki, Warszawa 1997, s. 37.

<sup>43</sup> P. Ricoeur, *Pamięć, historia, zapomnienie*, przeł. J. Margański, Kraków 2007, s. 117.

<sup>44</sup> *Ibidem*, s. 118.

Poznaniu, a jej organizatorem był Instytut Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Adama Mickiewicza. Mój referat nosił tytuł „W kręgu cielesności. Tabu w pamiętnikach Sybiraczek”.

Wykorzystane pamiętniki: „My, Sybiracy” 1992, nr 3: Zdzisława Hadler, *Sześćoletnia tułaczka*, s. 111-113; „My, Sybiracy” 1993, nr 4: Cecylia Neuman, *Moja „odysea”*, s. 133-136; „My, Sybiracy” 1995, nr 6: Jadwiga Wiśniewska, „*Żuliki polskie*”, s. 167-175; Janina Barbara Michalik, *Dzięki dobrym ludziom!*, s. 191-193; „My, Sybiracy” 1997, nr 8: Wanda Olczykowa, *Wspomnienia z Kazachstanu (cz. I)*, s. 132-146; Stanisława Wilczkowska, *Przymusowy pobyt w obwodzie archangielskim*, s. 187-200; „My, Sybiracy” 1998, nr 9: Cecylia Markowska, *Wspomnienia Sybiraczki*, s. 114-135; Wanda Olczykowa, *Wspomnienia z Kazachstanu (cz. II)*, s. 136-166; „My, Sybiracy” 1999, nr 10: Wanda Babska, *Wspomnienia z Kazachstanu*, s. 141-144; Bronisława Chmielowska, *Droga z zesłania do Wojska Polskiego*, s. 145-148; Irena Wiszniewska, *Sieroce wspomnienia*, s. 179-201; „My, Sybiracy” 2000, nr 11: Irena Benit-Leonkiewicz, *Zesłańcze wspomnienia*, s. 95-127; Helena Ceglarska-Symonowicz, *Moje wspomnienia z Syberii*, s. 127-135; Helena Pietrzycka, *Spojrzenie wstecz po sześćoletnim pobycie w Kazachstanie*, s. 168-181; Zdzisława Podlaska, *Sześć lat w Kazachstanie*, s. 182-209; „My, Sybiracy” 2001, nr 12: Marianna Lichocik, *Sześć lat walki o dziecko*, s. 196-203; Tamara Pfeiffer, *Byłam zesłana na Sybir*, s. 204-211; „My, Sybiracy” 2003, nr 14: Danuta Waclawa Mularska, *Wspomnienia z zesłania*, s. 199-204; „My, Sybiracy” 2004, 15: Józefa Dzyra, *Kazachstańskie dzieje*, s. 183-200; „My, Sybiracy” 2005, nr 16: Halina Dąbrowska, *Syberia w oczach wygnańca. Pamięci naszej matki*, s. 163-189; Danuta Marzec-Bodnar, *Gdzie są chłopcy z tamtych lat*, s. 203-207; Jadwiga Moczyłowska, *Pamiętnik cierpieniem pisany*, s. 207-217; „My, Sybiracy” 2006, nr 17: Anna Jędrzejczak, *Na zesłaniu*, s. 191-197; Janina Barbara Michalik, *Moje życie: lata 1939-1946*, s. 205-218; Antonina Romanowska-Risz, *Wspomnienia nie tylko z zesłania*, s. 231-236. „My, Sybiracy” 2007, nr 18: Janina Maciuk, *Urywki wspomnień*, s. 219-220; Janina Barbara Michalik, *Moje życie: lata 1939-1946 (cz. 2)*, s. 220-243; Waleria Miksza, *Wspomnienia z zesłania*, s. 244-247; Zofia Janina Sprys, *Smutna to była nasza karawana*, s. 265-289; Waleria Wiśniewska, *Deportacja na Syberię*, s. 289-296; „My, Sybiracy” 2008, nr 19: Genowefa Klauzer, *Wspomnienia z zesłania na Sybir*, s. 262-270; Janina Barbara Michalik, *Moje życie na zesłaniu: lata 1939-1946 (cz. 3)*, s. 278-283.

---

---

**JERZY GRUSZCZYŃSKI**

**ZAPOMNIANE WOJSKO.  
ROZKAZ WODZA NACZELNEGO  
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO  
DO 5. DYWIZJI STRZELCÓW SYBERYJSKICH**

11 listopada 1918 r. Rada Regencyjna przekazała Józefowi Piłsudskiemu władzę wojskową, a trzy dni później pełnię władzy cywilnej i sama rozwiązała się. Józef Piłsudski został Naczelnikiem Państwa i Wodzem Naczelnym. Pod jego władzą znalazła się wówczas Polska Siła Zbrojna (Polnische Wehrmacht) oraz zakonspirowane oddziały Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). Z prawnego punktu widzenia trudno dokładnie określić jakim właściwie państwem rządził J. Piłsudski. Czy przejął sukcesję w Królestwie Polskim, takim jakim je przywrócili Niemcy w 1916 r., czy też sprawował już rządy nad Rzeczypospolitą, której prawne istnienie miało zostać dopiero potwierdzone. Jednak bezspornym faktem było to, że J. Piłsudski jako jedyny sprawował kontrolę nad państwem i że ani Komitet Narodowy Polski (KNP) w Paryżu, ani rządy państw sprzymierzonych nie odegrały żadnej roli w wyniesieniu go na urząd Naczelnika Państwa. To wystarczyło, aby Roman Dmowski, przewodniczący KNP, mógł twierdzić, że mianowanie J. Piłsudskiego było nielegalne, a rządy państw sprzymierzonych zaczęły z najwyższą podejrzliwością patrzeć na byłego brygadiera z armii austriackiej i byłego więźnia Niemców, który „przechwycił władzę” w kraju, jakim oni mieli nadzieje i plany objąć swoim protektoratem.

11 listopada 1918 r. Niemcy podpisali z państwami Koalicji zawieszenie broni na warunkach kapitulacji. Na wschodzie Polski i na Ukrainie pozostawała 400-tysięczna armia niemiecka (załącznik 1– mapa), która wkrótce rozpoczęła ewakuację do Prus Wschodnich. Nieliczne oddziały polskie starały się zająć ziemie opuszczane przez Niemców przed wkroczeniem na nie od wschodu wojsk sowieckich.

Już 16 listopada 1918 r. Wódz Naczelny J. Piłsudski wysłał do wszystkich państw wojujących i neutralnych depezę iskrową notyfikującą istnienie Państwa Polskiego, obejmującego wszystkie ziemie zjedno-

czonej Polski<sup>1</sup>. W zakończeniu depeszy J. Piłsudski wyraził przekonanie, „...*że potężne demokracje Zachodu udzielą swej pomocy i bohaterskiego poparcia Polskiej Rzeczypospolitej Odrodzonej i Niepodległej*”. Depeszy nie wysłano do rządu RFSRR. Tego samego dnia Wódz Naczelny wysłał depeszę do głównodowodzącego wojsk Koalicji, francuskiego marszałka F. Focha, prosząc „...*o laskawe zarządzenie, aby wojska polskie, będące obecnie częścią armii francuskiej zostały możliwie prędko skierowane do Polski i włączone w skład armii stojącej obecnie pod moimi rozkazami...*”<sup>2</sup>. Stan liczebny tych wojsk wynosił wówczas ponad 11 tys. żołnierzy. J. Piłsudski nie mając dokładnych informacji jakie były polskie formacje wojskowe na Zachodzie i komu podlegały, wysłał również depeszę do W. Wilsona, prezydenta Stanów Zjednoczonych, prosząc „...*o laskawą zgodę, aby polskie oddziały wojskowe skupione pod sztandarem amerykańskim zostały możliwie prędko skierowane do Polski i włączone do armii polskiej stojącej obecnie pod moimi rozkazami...*”<sup>3</sup>.

W grudniu 1918 r. gen. Denikin dowódca „białej” Armii Ochotniczej na południu Rosji, na zalecenie marsz. F. Focha organizuje transport IV Dywizji Strzelców Polskich z Kubania do Odessy, gdzie wzmacnia ona obronę miasta i portu. Marsz. F. Foch nie interweniuje u adm. A. Kołczaka, a także u gen. P. Janin w sprawie powrotu do kraju wojsk polskich z Syberii. Pod koniec roku wśród państw sprzymierzonych zaznaczają się różnice poglądów na temat miejsca i znaczenia Polski w nowej powojennej Europie. Decyzje zapadają z opóźnieniem wynikającym z wielu konsultacji i uzgodnień lub też przesuwane są na termin późniejszy. KNP w Paryżu uznany już wcześniej przez Sprzymierzonych za oficjalne przedstawicielstwo Polski, rozważa możliwość zmiany władzy w Polsce i prowadzi konsultacje w sprawie politycznego wsparcia tych zamiarów. Jest to zbieżne z interesami Francji i Anglii, które gotowe są do takich działań. Dodatkowym argumentem KNP jest autonomiczna Armia Polska we Francji pozostająca pod dowództwem francuskim. Wojska polskie na Syberii oddalone są od zawirowań politycznych w Europie. KNP ogranicza więc swoje zainteresowanie nimi i pozostawia osamotnione w głębi Syberii, bez niezbędnych decyzji politycznych, wymagających trudnych uzgodnień z państwami Koalicji.

Józef Piłsudski, Naczelnik Państwa, który zaczął realizować własną wizję niepodległej Polski nie może liczyć na zrozumienie tych dążeń.

<sup>1</sup> J. Piłsudski, Depesza iskrowa notyfikująca powstanie Państwa Polskiego, *Pisma zbiorowe*, tom V. 1937 r.

<sup>2</sup> J. Piłsudski, Depesza do marszałka Ferdynanda Focha, *Pisma zbiorowe*, tom V, 1937 r.

<sup>3</sup> J. Piłsudski, Depesza do prezydenta Woodrowa Wilsona za pośrednictwem marsz. Focha, *Pisma zbiorowe*, tom V. 1937 r.



Państwa sprzymierzone nie chcą uwzględniać zaistniałych w Polsce przemian i pragną zrealizować wcześniej przygotowany plan powstania niepodległej Polski pod swoim patronatem, wykorzystując do tego celu również KNP i Armię Polską we Francji. Wszystkie decyzje wyznaczające przyszłe losy Polski wydają się być w rękach państw sprzymierzonych. W tym czasie w kraju jest Naczelnik Państwa, akceptowany przez społeczeństwo i jest rząd. Jest Wódz Naczelny, ale nie ma wojska do obrony odzyskanej niepodległości. Organizowanie w kraju wojska i obrona granic stały się więc sprawą nadrzędną w pierwszym okresie funkcjonowania państwa.

Józef Piłsudski w 1921 r. na zjeździe wojskowych byłych Korpusów Wschodnich tak wspominał tamte dni:

*„... W r. 1918 Polska jako całość powstała. I oto w pierwszych chwilach, kiedy w całej swej nędzy, w lachmanach żebraczych, bo w lachmanach zostawili ją okupanci, musiała od pierwszego dnia iść do krwawej walki, nie tylko o swoje granice, lecz o swe istnienie, ogromna część jej najwierniejszych żołnierzy stała w tym czasie daleko poza jej granicami... Wtedy wielka część żołnierza polskiego zmuszona była albo stać z bronią u nogi, albo walczyć za sprawy, które wobec jaskrawości i wątpliwości walki rozgrywającej się na rubieży wolnej już Ojczyzny, musiały się wydawać wątpliwe... dla tych gońców Waszych z konieczności musiałem mieć jeno twarde słowa zawodzące ich tęsknotę i ich nadzieje, żądając od nich i nakazując im, by dla honoru munduru, dla honoru polskiego żołnierza trwali na swych stanowiskach...”<sup>4</sup>.*

Na rozwój sytuacji politycznej i gospodarczej Polski istotny wpływ miały wcześniejsze decyzje i działania państw zaborczych, a także państw sprzymierzonych podjęte przed listopadem 1918 r. Naczelnik Państwa musi je znać, a ewentualne skutki uwzględniać przy podejmowaniu decyzji.

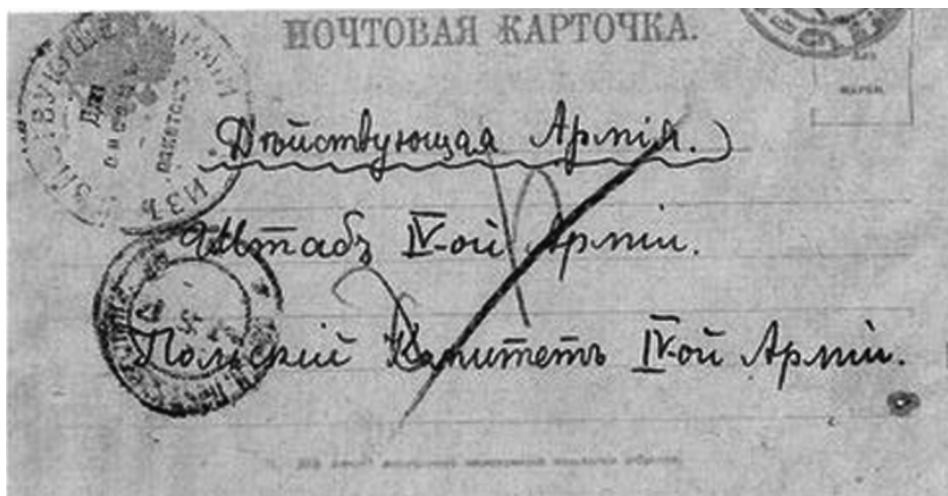
Najważniejszymi z nich były:

W kwietniu 1917 r. zorganizowane w Galicji Legiony Polskie włączone zostały w skład Polskiej Siły Zbrojnej (Polnische Wehrmacht) utworzonej przez Niemców. W lipcu za odmowę złożenia przysięgi na wierność Niemiec Legiony zostały rozwiązane, a żołnierze internowani.

W czerwcu 1917 r. prezydent Francji wydaje dekret o tworzeniu we Francji autonomicznej Armii Polskiej pod dowództwem francuskim, a we wrześniu tego roku Francja uznała Komitet Narodowy Polski (KNP) za oficjalne przedstawicielstwo Polski.

Również w czerwcu Zjazd Wojskowych Polaków w Piotrogradzie podejmuje uchwałę o utworzeniu wojska polskiego w Rosji. Na terenach zajętych przez „białe” wojska rosyjskie organizowane są Związki Wojsko-

<sup>4</sup> J. Piłsudski, Przemówienie wygłoszone na bankiecie wydanym z okazji Zjazdu Wojskowych byłych Korpusów Wschodnich 24 kwietnia 1921 r. w Warszawie, *Pisma zbiorowe*, tom V, 1937 r.



Fot. 1. Korespondencja Polaka (maj 1917 r.) z Dowództwa Łączności 716 Iżewskiego Pułku Strzelców do Polskiego Komitetu (Związku Wojskowych Polaków) przy sztabie IV Armii w sprawie możliwości przejścia do wojska polskiego.

wych Polaków (fot. 1), które pomagają w przenoszeniu Polaków z armii rosyjskiej do tworzonych oddziałów polskich. Na Białorusi i Ukrainie powstają Korpusy Polskie.

Traktat pokojowy między RFSRR a Niemcami i Austro-Węgrami zawarty 3 marca 1918 r. w Brześciu, w tajnym załączniku, zobowiązuje strony do likwidacji obcych wojska na swoim terytorium. Od maja do czerwca 1918 r. Korpusy Polskie na wschodzie zostają zlikwidowane przez zaborców.

Od maja 1918 r. na Powołżu i Syberii, a także na Kubaniu powstają samorzutnie nowe polskie oddziały wojskowe,

3 czerwca 1918 r. państwa sprzymierzone uznają KNP w Paryżu za zwierzchnią władzę polityczną nad całym wojskiem polskim formowanym poza granicami kraju i mianują gen. J. Hallera wodzem tych wojsk. Rada Polska Zjednoczenia Międzypartyjnego w Moskwie uznaje gen. Hallera wodzem wojsk polskich formowanych w Rosji przez KNP pod patronatem państw sprzymierzonych. Płk W. Czuma zostaje szefem misji wojskowej we wschodniej Rosji i jest upoważniony przez gen. Hallera do przejęcia dowództwa nad formującymi się tam oddziałami polskimi.

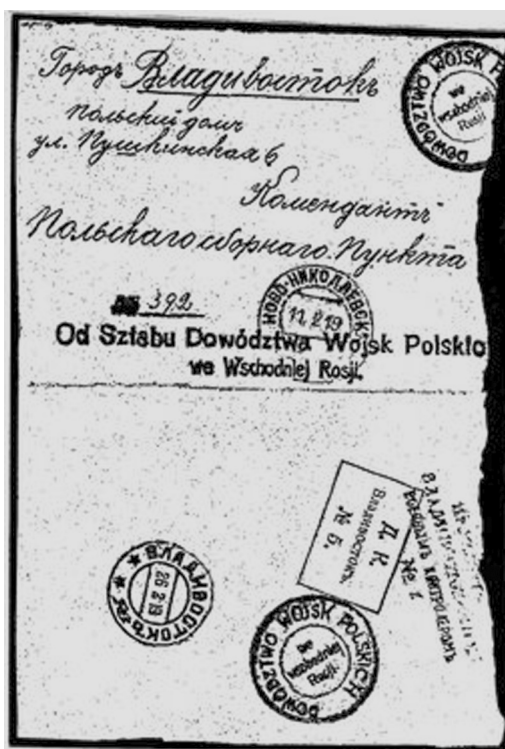
W lipcu 1918 r. na zjeździe w Omsku przedstawiciele formujących się oddziałów polskich na Powołżu i Syberii, powołany zostaje Polski Komitet Wojenny, jako wspólne przedstawicielstwo polityczne. Natomiast w sierpniu 1918 r. płk Czuma przejmuje dowództwo nad zorganizowanymi już oddziałami i rozpoczyna formowanie V Dywizji Strzelców Polskich

(V DSP). Płk Czuma posiada pełnomocnictwa KNP wyłącznie w zakresie organizacji wojska polskiego we wschodniej Rosji. Również PKW nie uzyskał mandatu do politycznego reprezentowania KNP wobec władz rosyjskich i dowództwa Alianckiego Korpusu Ekspedycyjnego na Syberii.

Płk Czuma stosownie do posiadanego pełnomocnictwa używa do korespondencji służbowej stempli i pieczęci formacyjnych „Dowództwo Wojsk Polskich we wschodniej Rosji” (fot. 2) oraz „Sztab Dowod. Wojsk Polskich We Wsch. Rosji” (fot. 3) również wtedy, gdy wszystkie oddziały polskie znajdowały się już na Syberii. Polski Komitet Wojenny (PKW) stosował stempel do korespondencji „Polski Komitet Wojenny w Rosji” (fot. 4), podobnie jak powołane przez niego delegatury i emisariaty (fot. 5). Tworzone wcześniej samorzutnie polskie oddziały (legiony) stosowały bardzo zróżnicowane stemple i pieczęcie formacyjne, np. dowództwo Legionu Irkuckiego w 1918 r. stosowało pieczęć „Sztab Polskich Formacji Bojowych Syberyj” (fot. 6).

W listopadzie 1918 r. w wyniku zamachu stanu do władzy na Syberii doszedł adm. A. Kołczak, który do wojsk polskich odnosi się niechętnie, a nawet wrogo. *Wierchownyj Prawitiel Rosji* uważa wojsko polskie „za narodową część armii rosyjskiej i jedynie wskutek braku sił wewnętrznych nie zdołano tego urzeczywistnić”. Podejmuje więc działania, aby sprowadzić wojsko polskie do roli narzędzia w walce z bolszewikami.

Również w listopadzie 1918 r. przybywa do Omska gen. P. Janin, głównodowodzący Alianckiego Korpusu Ekspedycyjnego na Syberii. Na mocy mandatu udzielonego przez KNP wojsko polskie na Syberii ma stanowić część składową Armii Polskiej we Francji i z początkiem stycznia 1919 r. podporządkowane zostaje taktycznie gen. Janin. Władzą zwierzchnią pozostaje gen. Haller. Dowództwo wojsk polskich na Syberii jest prze-



Fot. 2. Stempel formacyjny Dowództwa Wojska we Wschodniej Rosji stosowany na korespondencji służbowej.



Fot. 3. Pieczęć służbowa Sztabu Dowództwa Wojska Polskich we Wschodniej Rosji, stosowana na korespondencji żołnierzy V Dywizji.

świadczono, że stanowią część Armii Polskiej we Francji. Mandat KNP nie określał wystarczająco dokładnie statusu wojsk polskich i w związku z tym był przez mandatariuszy interpretowany zgodnie z własnymi potrzebami.

Gen. P. Janin w swoich wspomnieniach z Syberii<sup>5</sup> podaje, że „...Wojska Polskie na Syberii były mylnie uważane jako część 5-tego Korpusu (!) armii Hallera, formacja do której oprócz dywizji na Syberii należał też i batalion na Murmanie...” i postępował tak, jakby były one autonomiczną formacją francuską. Dowództwo polskie nie akceptuje francuskiej

<sup>5</sup> P. Janin, *Ma mission en Sibirie 1918–1920*, Payot–Paris. 1933 r.



Fot. 4. Stempel Polskiego Komitetu Wojennego w Rosji (PKW) stosowany na korespondencji przychodzącej do PKW w Omsku.

interpretacji mandatu KNP. J. Nałęcz-Koniuszewski<sup>6</sup> uważa jednak, że do czasu wcielenia Dywizji do wojska polskiego była to autonomiczna, a właściwie kolonialna formacja wojska francuskiego. Żołnierze polscy otrzymali żołd taki, jak we francuskich wojskach kolonialnych.

Nierozwiązana nadal kwestia wysłania na Syberię polskiego komisarza rządowego rozpatrywana była podczas obrad MSW Francji w Paryżu, z udziałem polskiej delegacji na Paryską Konferencję Pokojową. W podpisanym 28 września 1919 r. tzw. Układzie Paryskim ustalony został jednoznacznie status wojsk polskich na Syberii. Na mocy tego układu Dywizja stanowi samodzielny polską formację ekspedycyjną podległą wprost Naczelnemu Dowództwu Wojsk Polskich, a tylko taktycznie podporządkowaną dowódcy koalicyjnemu na Syberii. To ostatnie postanowienie było konieczne, gdyż trudno było dowodzić Dywizją z Warszawy.

W połowie grudnia 1918 r. przybywa do Paryża delegacja Naczelnika Państwa w celu nawiązania bezpośrednich kontaktów z państwami Ententy i z KNP. 18 stycznia 1919 r. KNP uznaje J. Piłsudskiego za Tymczasowego Naczelnika Państwa i podporządkowuje się I. Paderewskiemu jako premierowi. Nadal jednak sprawuje zwierzchnią władzę nad całym

<sup>6</sup> J. Nałęcz-Koniuszewski, *Historia V Dywizji Syberyjskiej Wojska Polskiego*, „Zesłaniec” nr 25, 2006 r. (opracowanie 1939 r.).



Fot. 5. Stempel służbowy emiariatu PKW w Barnaulu użyty na przekazie pocztowym wysłanym do gazety „Głos Polski” w Nowo-Nikołajewsku.



Fot. 6. Pieczęć służbowa Sztabu Polskich Formacji Bojowych Syberii, stosowana w 1918 r. na korespondencji służbowej Legionu Irkuckiego oraz rekonstrukcja pieczęci wykonana przez adiutanta sztabu Legionu por. Marcolla w 1929 r.

wojskiem polskim formowanym poza granicami kraju, przyznaną przez państwa Ententy w uzupełnieniu wojskowym do Rezolucji Wersalskiej.

Wcześniej, bo już na początku października 1918 r. KNP podejmuje decyzję wysłania na Syberię Misji Wojskowej. Wraz z Misją ma wyjechać Stanisław Grabski, jako pełnomocny przedstawiciel KNP. W końcu listopada, po otrzymaniu rozkazów i instrukcji od gen. J. Hallera Misja wypływa z Bordeaux, przez USA i Japonię do Władywostoku. Wyjazd pełnomocnego przedstawiciela KNP został wcześniej odwołany. Już na początku 1919 r. płk Czuma wysyła z Nowo-Nikołajewska kurierów przez front bolszewicko-niemiecki w celu nawiązania kontaktów z krajem. Kurierzy nie docierają jednak do Warszawy.

W dniach 7 i 8 marca 1919 r. na konferencji we Władywostoku przedstawiciele Dowództwa Wojsk Polskich na Syberii (DWP), Polskiego Komitetu Wojennego (PKW) oraz przybyłej 5 marca z Francji Polskiej Misji Wojskowej (PMW) mjr. J. Okulicza omawiają sytuację wojsk polskich na Syberii. W raporcie wysłanym przez Paryż do Rządu Polskiego proszą o mianowanie pełnomocnego przedstawiciela Państwa Polskiego dla pomyślnego prowadzenia dalszej akcji na Syberii. Raport ten dociera

do kraju z opóźnieniem. Mjr J. Okulicz po powrocie do kraju stwierdził, że w archiwum Wojskowego Biura Historycznego znajdują się tylko cztery z kilkunastu wysłanych przez niego raportów i depesz.

Miesiąc później mjr J. Okulicz w telegramie do gen. Hallera (jest jeszcze w Paryżu) melduje „...*Żołnierz polski pełni swą powinność, ale tęskni niezmiernie za krajem i nie chce się bić za nic u boku A. Kołczaka. Żołnierz domaga się rozkazu, aby bić się na polskiej ziemi. Lepszego żołnierza w kraju nie potrzeba...*”. Natomiast 17 maja 1919 r. płk Czuma w raporcie do gen. Hallera (jest już w Polsce), któremu wojsko polskie na Syberii formalnie podlega, nie krył rozczarowania i żalu w stosunku do władz krajowych „...*nie mogę uwierzyć, by rząd kraju nie znalazł dla nich ni słowa uznania czy zachęty. Taki stan niepewności może zrodzić skłonności do opuszczenia szeregów oraz utrudnia niezmiernie dalszą pracę, zmniejsza bowiem powagę dowódców nie popartą dotąd przez kraj...*”.

Rozgoryczenie żołnierzy i ludności podsycają w pewien sposób gazety polskich organizacji politycznych „Głos Polski” i „Niepodległość”, wychodzące na Syberii i Dalekim Wschodzie, które ciągle piszą o spodziewanym przyjeździe wysokiego komisarza rządu polskiego na Syberię. Oczekiwano na bezpośredni głos z Polski, już wówczas niepodległej, to znaczy z Warszawy, a nie z Paryża, nie chcąc dać się przekonać, że Polska będzie wdzięczna za każdy dostarczony jej pułk, nawet bez poprzedniej aprobaty. R. Dyboski<sup>7</sup> wspominając ten okres niepewności wśród żołnierzy Dywizji napisał: „... *żołnierz Polski zrzeszony w piątej dywizji wojsk hallerowskich, jak niegdyś w Hiszpanii za Napoleona, zmuszony był raz wraz przedsiębrać wyprawy karne przeciw ludności miejscowej, w której wroga nie widział... Wśród żołnierzy jęły się szerzyć pogłoski, że jesteśmy częścią okupu zapłaconą za uznanie przez Koalicję niepodległości Polski i że na zakończenie naszego środkowosyberyjskiego etapu będziemy albo zaprzędani na służbę u atamana wojsk kozackich na Dalekim Wschodzie Siemionowa, albo odesłani do Francuskich Indii Wschodnich, jako rodzaj Legii Cudzoziemskiej... Z krajem nie mieliśmy żadnego związku służbowego... Jedynym ogniwem między nami a Europą była misja wojskowa francuska przy naszym sztabie, która na wszystkie nasze troski i niepokoje odpowiadała milczeniem...*”.

W czerwcu 1919 r. do Warszawy przybywa delegacja ppłk. R. Wolikowskiego, szefa sztabu DWP na Syberii. Po dłuższym oczekiwaniu przyjęta zostaje w MSZ, Sztabie Generalnym WP oraz NDWP. Okazuje się wówczas, że władze w Polsce mają niewielkie pojęcie o sytuacji jaka istnieje na Syberii. Później ppłk Wolikowski w raporcie do gen. Hallera donosił: „...*Spotkałem na każdym kroku albo absolutny brak orientacji, albo*

<sup>7</sup> R. Dyboski, *Rozkaz Marszałka na Syberii*, Czas nr 136, 1935 r.

*zupełnie spacone wyobrażenie o wojsku polskim i o całokształcie sytuacji na Syberii...*”. Wraz z delegacją przybyła grupa oficerów czechosłowackich, aby pomóc stronie polskiej w nawiązaniu kontaktów z przedstawicielami władz sojusznicznych w sprawie ewakuacji wojsk z Syberii.

W lipcu 1919 r. do Warszawy przybywa kolejna misja DWP na Syberii pplk. Giedkowskiego. Również ona nalegała na wysłanie na Syberię pełnomocnika rządu polskiego. Gen. Haller obiecał podjąć starania w NDWP o jak najszybszy powrót oddziałów z Syberii do kraju. W sierpniu gen. Haller wysłał list do Naczelnika Państwa: „...*polecam również gorąco na obczyźnie pozostałe oddziały, zwłaszcza 5 Dywizję Strzelców Kresowych (!) na Syberii, które z utęsknieniem oczekują powrotu do kraju...*”. W końcu sierpnia NDWP zwróciło się do szefa Francuskiej Misji Wojskowej oraz przedstawiciela Armii Japońskiej w Polsce o interwencję u władz zwierzchnich w sprawie pomocy wojskom polskim na Syberii. MSZ podjęło starania o wyrażenie zgody przez państwa sprzymierzone, szczególnie Japonię, na ewakuację wojsk polskich. Sprawa powrotu wojsk polskich z Syberii stała się przedmiotem zainteresowania najwyższych władz państwowych.

W tym czasie trwają przygotowania do polskiej ofensywy Frontu Litewsko-Białoruskiego na wschodzie. Dla Sztabu Generalnego i NDWP jest to priorytet, podobnie jak włączenie przybyłych z Francji wojsk gen. Hallera do wojska polskiego i możliwie pilne skierowanie ich na front ukraiński. Niesprecyzowane apele władz polskich o udzielenie pomocy lub zgodę na ewakuację wojsk z Syberii zdają się potwierdzać, że władze nie mają praktycznie żadnego rozeznania sytuacji wojskowej na Syberii w lipcu 1919 r. Prowadzone w ten sposób działania nie mogły przynieść pozytywnych rezultatów. Niezbędne były wcześniejsze uzgodnienia z państwami Koalicji i uzyskanie ich decyzji dotyczących warunków i zasad ewakuacji wojsk. Niezbędna była także obecność na Syberii przedstawiciela Państwa Polskiego w celu koordynacji ewakuacji z państwami Koalicji. Rząd Polski jednak takich działań nie podejmuje.

KNP w Paryżu pomimo posiadanej wiedzy o sytuacji wojska na Syberii oraz przyznanej w czerwcu 1918 r. przez państwa Koalicji zwierzchniej władzy politycznej nad tymi wojskami nie decyduje się na wysłanie misji politycznej na Syberię dla wyjaśnienia i uregulowania statusu wojska i ustalenia zasad współdziałania z wojskami Koalicji, zgodnych z polskim interesem. Uzgodniony wcześniej wyjazd na Syberię pełnomocnego przedstawiciela KNP, wraz z misją wojskową mjr. J. Okulicza, został odwołany w ostatniej chwili. KNP nie udziela również takich pełnomocnictw Polskiemu Komitetowi Wojennemu, działającemu już od lipca 1918 r. na Syberii. Gen. Haller ogranicza swoje działania do wysłania misji wojskowej.



Autonomiczna Armia Polska we Francji i wojska polskie na Syberii pozostają pod dowództwem francuskim, a KNP w Paryżu jest nadal dla państw sprzymierzonych oficjalnym przedstawicielstwem Polski. W tej sytuacji płk Czuma oprócz funkcji dowódcy wojska, zmuszony jest do podejmowania obowiązków przedstawicielskich, a także w ograniczonym zakresie, politycznych. W praktyce okazało się jednak, że są to zadania nie do pogodzenia i zrealizowania. Decyzje państw Koalicji w sprawach decydujących o losach interwencji na Syberii i o wojskach polskich zapadają bez udziału polskich przedstawicieli, a często także wbrew żywotnym polskim interesom. Dowództwo Wojsk Polskich, a także tysiące Polaków będących wówczas na Syberii praktycznie pozbawione zostały opieki polskich władz.

Od listopada 1918 r. trwają walki polsko-ukraińskie we wschodniej Galicji, a walczący Lwów prosi o pomoc. W połowie lutego 1919 r. na ziemiach wschodnich opuszczonych przez Niemców, w rejonie Mostów nad Niemnem, oddziały polskie nawiązują kontakt bojowy z wojskami sowieckimi. Rozpoczyna się niewypowiedziana wojna polsko-sowiecka. Formowane w kraju oddziały wojskowe pospiesznie kierowane są na front wschodni. W tym czasie Armia Polska we Francji pod dowództwem francuskim nadal przebywa w obozach we Francji, a wojsko polskie na Syberii i w Odessie walczy pod dowództwem francuskim za sprawy Koalicji. W końcu lutego 1919 r. Rada Najwyższa Ententy podejmuje decyzje o powrocie wojsk gen. Hallera z Francji do Polski. 12 kwietnia 1919 r. Francja wysłała do Polski Misję Wojskową gen. P. Henrysa, który przewidziany jest przez Koalicję na stanowisko dowódcy i szefa sztabu armii polskiej przy Naczelniku Państwa. Transporty wojska z Francji przybywają do Polski od połowy kwietnia do końca czerwca. 15 kwietnia przybywa do Polski gen. Haller wraz ze sztabem. Tego samego dnia w Paryżu rozwiązuje się KNP (posiedzenia likwidacyjne odbyło się dopiero 15 sierpnia). 27 kwietnia 1919 r. gen. Henrys, jako szef Francuskiej Misji Wojskowej w Polsce, uzgadnia z Wodzem Naczelnym J. Piłsudskim zasady współpracy oraz sprawy dowództwa nad Armią Polską we Francji<sup>8</sup>. Istotą porozumienia jest, że Francuska Misja Wojskowa zachowa dowództwo nad personelem francuskim, ale każdy polski żołnierz, który przekroczył polską granicę, przejdzie pod rozkazy naczelnego dowództwa polskiego. Odtąd będzie jedna armia w Polsce.

W dniu 25 maja 1919 r. wraca z Odessy do Polski IV Dywizja Strzelców Polskich gen. L. Żeligowskiego. Dywizja ta stanowiła straż tylną Korpusu Alianckiego wycofującego się z Odessy. Po przeprawie przez Dniestr Dywizja opuszcza wojska alianckie i przez Besarabię dociera do Stanisławo-

<sup>8</sup> J. Piłsudski. Wywiad korespondenta dziennika „Le journal des débats” z 2 maja 1919 r. *Pisma zbiorowe*, tom V, 1937 r.

wa. Wódz Naczelny w depeszy z 22 czerwca dziękuje żołnierzom za powrót do kraju i rozwiązuje IV Dywizję. Z żołnierzy sformowana zostaje 10 Dywizja Piechoty wojsk polskich, pod dowództwem gen. Żeligowskiego.

W końcu czerwca 1919 r. wszystkie oddziały gen. Hallera z Francji są już w Polsce, ale nadal pozostają pod dowództwem francuskim. Aby wykorzystać te wojska do ofensywy w Małopolsce J. Piłsudski musi uzyskać zgodę Rady Najwyższej Ententy. Zgodę tą uzyskał, ale była ona ograniczona i zezwalała na operacje wojskowe tylko w Małopolsce i tylko „do linii Zbrucza”. W tym czasie na wschodzie Polski trwają walki polsko-sowieckie i polsko-ukraińskie. W komunikatach operacyjnych Oddziału III Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego (NDWP) 1919–1921<sup>9</sup> podawana jest sytuacja na frontach: litewsko-białoruskim, wołyńskim i galicyjskim. Nie ma w nich żadnej wzmianki o sytuacji wojsk polskich na Syberii, Kubaniu (Odessie) i na Murmanie. Nie ma wzmianki, bo wojska te nie podlegały NDWP. 2 lipca 1919 r. Wódz Naczelny wydaje rozkaz z powodu wcielenia oddziałów gen. Hallera do Armii Polskiej<sup>10</sup> „...*Rozproszone z konieczności po całym świecie usiłowania Polski do wytworzenia podczas wielkiej wojny światowej siły zbrojnej ojczystej, złączyły się z biegiem czasu w jeden organizm i jedną wolą kierowany. Ostatnimi członkami naszej żołnierskiej rodziny są świeżo przybyłe do ziemi ojczystej wojska sformowane w gościnnej Francji... Po zakończeniu pertraktacji wojsko to wchodzi do grona ogólnej armii polskiej, poddane prawom ojczystym na równi z tymi, których szczęśliwy los wcześniej już postawił na granicach Ojczyzny z bronią w rękę...*”.

W przypisach do tego rozkazu K. Świtalski<sup>11</sup> napisał „*Wszystkie oddziały tzw. Armii gen. Hallera znajdowały się już w tym czasie w Polsce. Układy z Francją o wcielenie tych oddziałów do Wojska Polskiego zostały również ukończone...*”. K. Świtalski był jednym z najbliższych współpracowników J. Piłsudskiego. Musiał więc znać prawdę o wojsku polskim na Syberii i na Murmanie. Musiał też wiedzieć, że ich status jest inny i że nie stanowiły one części autonomicznej Armii Polskiej we Francji. Mógł więc napisać, że wszystkie oddziały armii gen. Hallera znajdowały się już w Polsce. Nie uznał jednak za stosowne dodać w przypisach, że poza krajem nadal pozostają wojska polskie.

Dla wielu władz wojskowych w Polsce, jeszcze długo po zakończeniu wojny polsko-sowieckiej, wiedza o byłym wojsku polskim na Syberii

<sup>9</sup> Komunikaty Oddziału III Naczelnego Dowództwa Wojska Polskiego 1919–1921. Warszawa – Pułtusk 2004 r.

<sup>10</sup> J. Piłsudski. Rozkaz wydany z powodu wcielenia oddziałów gen. Hallera do Armii Polskiej. *Pisma zbiorowe*, tom V, 1937 r.

<sup>11</sup> Kazimierz Świtalski, Przypisy do Rozkazu wydanego z powodu wcielenia oddziałów gen. Hallera do Armii Polskiej, *Pisma zbiorowe*, tom V, 1937 r.

była ograniczona i niekompletna. Józefowi Falkowskiemu, ułanowi 1 Pułku Ułanów V DSP, który pod Klukwienną dostał się do niewoli sowieckiej, w Książeczce Wojskowej wystawionej w 1925 r. przez Państwową Komendę Uzupełnień w Święcianach, w dziale pobyt na froncie dokonano wpisu „...1 Pułk Ułanów 5 syb. Brygada gen. Hallera od 6 VII 1919 r. do 10 I 1922 r. ...”!!!

W grudniu 1919 r. przybyli do Polski żołnierze Samodzielnego Oddziału Polskiego na Murmanie. V DSP po kapitulacji pod Klukwienną, rozkazem gen. Z. Baranowskiego, rozwiązana została w marcu 1920 r. Zreorganizowane oddziały Dywizji wracały do kraju od lipca 1920 r. (pierwszy transport). Żołnierze tych jednostek wrócili jako oddziały wojskowe, ale bez broni i były bezpośrednio po powrocie włączane do wojska polskiego. Nie witał ich Wódz Naczelnny specjalnym rozkazem, jak IV Dywizję gen. Żeligowskiego. Wojska gen. Hallera były już bowiem w kraju powitane i 2 lipca 1919 r. włączone w skład wojska polskiego.

Marszałek J. Piłsudski w wydanym 3 maja 1921 r. rozkazie o wnioskach na odznaczenia orderem „Virtuti Militari”<sup>12</sup> uznaje m. innymi, że specjalnego odznaczenia i traktowania wymagają działania wojenne: oczyszczenie b. Królestwa (okupacji Pruskiej) od Niemców, obrona Lwowa i Powstanie Poznańskie „...*jest to pierwszy dział pracy wojskowej, gdy brały w tym udział niezorganizowane jednostki wojskowe w terażniejszym składzie... gdzie nieraz decydująca była praca bojowa ludzi...*”. W tym pierwszym przyznaniu orderów „Virtuti Militari” nie zostały uwzględnione Polskie Korpusy na wschodzie, a także działania bojowe wojsk polskich w Rosji i na Syberii.

6 września 1919 r. Wódz Naczelnny J. Piłsudski za pośrednictwem gen. Henrysa, szefa Francuskiej Misji Wojskowej w Polsce, wysłał przez Paryż depeszę do płk. Czумы w Nowo-Nikołajewsku. W depeszy tej nie została określona formacja, którą dowodził płk Czuma. Depesza zredagowana w języku francuskim doręczona została przez płk. Magné szefa Francuskiej Misji Wojskowej przy DWP na Syberii. Depesza przetłumaczona na język polski przez żołnierzy V DSP opublikowana została 21 września w „Żołnierzu Polskim we Wschodniej Rosji” (załącznik 2) wydawanym w Nowo-Nikołajewsku.

W depeszy tej J. Piłsudski przekazuje, że „...*jako Wódz Naczelnny Wojsk Polskich przejmuje piątą dywizję strzelców pod swoją władzę...*”. Dziękując żołnierzom za dzielną służbę zawiadamia, że „...*czynią się kroki potrzebne, aby zapewnić wasz powrót do kraju...*”. Depesza ta była pierw-

<sup>12</sup> J. Piłsudski, Rozkaz o wnioskach na odznaczenie orderem „Virtuti Militari”, *Pisma zbiorowe*, tom V, 1937 r.

szym sygnałem z Polski, że pamięta ona o wojskach na Syberii, które dotychczas były częścią armii gen. Hallera we Francji, a obecnie stają się częścią armii polskiej. Wódz naczelny dziękuje im za wysiłki dołożone do odbudowania Polski. Słowa te wpłynęły na poprawę nastrojów w wojsku i przywróciły wiarę w możliwość powrotu. Nie zmieniły jednak sytuacji oddziałów polskich wyznaczonych już do straży tylnej wojsk Koalicji oraz do pacyfikacji terenów wzdłuż linii transsyberyjskiej od Omska do Tajgi, jedynej drogi odwrotu Korpusu Alianckiego.

Dlaczego J. Piłsudski wysłał tę depeszę tak późno i dlaczego dopiero w ślad za nią podjęte zostały konkretne decyzje polityczne i uzgodnienia Rządu Polskiego z państwami Koalicji w sprawie statusu wojsk na Syberii oraz ich ewakuacji? Przez ponad rok od organizacji pierwszych polskich oddziałów na Syberii i niemal 10 miesięcy od powstania niepodległej Polski, pomimo wielu próśb i ponagleń kierowanych z Syberii początkowo do KNP w Paryżu i gen. Hallera, a później do Rządu Polskiego i Wodza Naczelnego J. Piłsudskiego wojsko polskie i tysiące Polaków na Syberii pozbawione było opieki polskiego przedstawicielstwa politycznego. W. Scholtze-Srokowski w artykule pt. *Geneza wojska polskiego na Syberii*<sup>13</sup> uważa, że „...*O tym powiedzą kiedyś ci co byli rzecznikami naszej Dywizji w kraju. Od nich dowiemy się kiedy dopiero wiedziano coś konkretnego w Polsce o istnieniu polskich formacji na Syberii, jak nas tu opisywano, kiedy dotarli nasi pierwsi kurierzy itp. ...*”.

Depesza J. Piłsudskiego do płk. Czумы nie została opublikowana bezpośrednio po jej wysłaniu. Wkrótce wokół niej narosło szereg niedopowiedzeń i niejasności. Nie wydaje się bowiem możliwe, aby depesza polskiego Wodza Naczelnego do wojska polskiego napisana została w języku francuskim, chociaż J. Piłsudski znał dobrze ten język. Z nieznanych dotychczas powodów na Syberię dotarł francuski tekst depeszy. Powinien więc istnieć pierwotny (polski) tekst depeszy J. Piłsudskiego oraz jego tłumaczenie na francuski. Pewną wskazówką może być telegram gen. Hallera wysłany 8 lipca 1919 r. do Z. Sadowskiego prezesa PKW, w którym informuje on, że w inicjatywy i staraniem ppłk. Wolikowskiego przy Kwaterze Głównej Naczelnego Wodza powstało Biuro ds. V Dywizji Strzelców Polskich. Być może depesza J. Piłsudskiego wysłana została z inicjatywy ppłk. Wolikowskiego, a tłumaczenia jej na francuski dokonano w Biurze ds. V Dywizji Strzelców Polskich. Nie jest możliwe, aby J. Piłsudski mógł akceptować tłumaczenie depeszy przez Francuską Misję Wojskową w Polsce (KNP w Paryżu rozwiązał się wcześniej). Jaki więc był pierwotny polski tekst depeszy,

<sup>13</sup> Włodzimierz Scholtze-Srokowski, *Geneza wojska polskiego na Syberii*, „Sybirak” nr 9, 1936 r.

kto i gdzie dokonał jego tłumaczenia i jak wiernie oddawało ono „ducha” tekstu polskiego. Odpowiedzi na te pytania znajdują się być może w archiwum Wojskowego Biura Historycznego, w dokumentach Biura ds. V DSP. Dotychczas materiały te nie zostały jednak odnalezione i wykorzystane.

19 listopada 1919 r. J. Piłsudski wydaje Rozkaz do 5 Dywizji Strzelców Syberyjskich, ogłoszony następnego dnia w „Kurierze Porannym” (załącznik 3). Treść tego Rozkazu w istotny sposób odbiega od treści Depeszy z 6 września, znanej jedynie z tłumaczenia tekstu francuskiego. Uporządkowana zostaje w nim forma rozkazu. Wyraźnie podkreślona jest wola i inicjatywa Wodza Naczelnego w dołożeniu starań w zapewnieniu powrotu do kraju. Wprowadzony został dodatkowo dział: *„Chcę żebyście pamiętali, że w cudzych krajach i wśród obcych ludzi jesteście przedstawicielami żołnierstwa polskiego, że stanowicie część wojska polskiego i że we wszystkich najcięższych nawet chwilach macie dbać o honor armii polskiej”*.

Jest to praktycznie nowy rozkaz, który powstał na bazie francuskiego (polskiego ?) tekstu depeszy do płk. Czumy. Depesza ta była następnie uzupełniana, uściślana i dostosowywana do aktualnej sytuacji wojskowej i politycznej na Syberii w Biurze ds. V DSP przy Kwaterze Głównej przez ponad dwa miesiące zanim została opublikowana jako Rozkaz. K. Świtalski redaktor „Pism zbiorowych” Józefa Piłsudskiego we wstępie do tomu V wyjaśnia, że *„...umieszczone pod tytułem daty oznaczają w zasadzie czas powstania utworu. Tylko tam gdzie dzień powstania nie można było z całą dokładnością ustalić, data oznacza dzień ogłoszenia utworu...”*. Według Świtalskiego Rozkaz został wydany 19 listopada 1919 r., a więc już po podpisaniu przez rząd I. Paderewskiego Układu Paryskiego (28 września) określającego status wojsk polskich na Syberii oraz umowy z Anglią w sprawie zapewnienia środków transportu do ewakuacji V Dywizji z Syberii. Wcześniej (15 listopada) otrzymał także instrukcję gen. Z. Baranowski, szef Misji Wojskowej wyjeżdżający na Syberię. Instrukcja dotyczyła m. innymi czasowego pozostawienia wojsk polskich na Syberii pod dowództwem głównodowodzącego Alianckim Korpusem Ekspedycyjnym. W tym czasie Armia Czerwona przełamała już Front Uralski, 14 listopada zajęła Omsk i szybko zbliżała się do Nowo-Nikołajewska. Rozkaz z 19 listopada 1919 r. został opublikowany w „Kurierze Porannym”, ale na Syberię już nie dotarł. W połowie listopada, gdy układy, umowy i instrukcje zostały podpisane, los V DSP był już praktycznie przesądzony. Państwa Koalicji nie miały woli politycznej, a także nie posiadały siły militarnej, która mogłaby zmienić sytuację oddziałów polskich stanowiących straży tylną ewakuujących się wojsk Korpusu Ekspedycyjnego.

Józef Piłsudski podjął trudną decyzję i świadomie wprowadził do Rozkazu nowy rozdział mówiący, że *„...w najcięższych nawet chwilach*

*macie dbać o honor armii polskiej...”. Później w 1922 r. przemawiając w Brześciu nad Bugiem podczas Święta Dywizji Syberyjskiej<sup>14</sup> powiedział: „...Zabierając głos nie mogę Wam odpowiedzieć krótkim »Niech żyje 30 Dywizja«, gdyż mam do Was anse... Być wodzem wojska to znaczy przechodzić bez bólu nad ofiarami, które się składa. Wódz musi myśleć o zwycięstwie i wojsku zwycięstwo nakazywać, przechodząc nad ofiarami do porządku dziennego... Lecz są ofiary: ofiary konieczne do zwycięstwa i ofiary inne... Przechodziłem piekielne katusze i zmagania się, gdy Wam posyłałem rozkaz... Wiedziałem, że są gdzieś wojska, których na obronę rzucić nie mogłem, a które skazywałem na ból i tęsknotę wtedy, gdy Ojczyzna już jest i w walce tryumfuje. Pamiętam depezę Waszego dowódcy: V Dywizja Syberyjska żąda Pańskiego rozkazu, by stanąć pod bronią... Było mi ciężko, zmagalem się ze sobą kilka dni nim wymogłem na sobie: jedynie dla honoru, dla sztandaru żołnierza polskiego stać przy boju... Wielką to jest ofiarą – dla wodza najcięższą. Śmierć jest użyteczną, gdy daje zwycięstwo, śmierć jest bolesna, gdy tylko dla honoru nastąpić musi. Każdy wódz raczej sam ją woli sobie zdać w tym celu, niż innych dla honoru posyłać... Za to żywię do Was anse, którą przyszedłem Wam wypowiedzieć – lecz i ukochać Was. Dywizja Syberyjska niech żyje”. W przemówieniu tym nie ma odpowiedzi na istotne wątpliwości. Co spowodowało, że Wódz Naczelny wbrew własnemu przekonaniu wymógł jednak na sobie wydanie 19 listopada 1919 r. Rozkazu do 5 Dywizji Strzelców Syberyjskich.*

Rząd adm. Kołczaka kilkakrotnie zwracał się do Polskiej Misji Wojskowej z żądaniem, aby dywizja polska wyruszyła na front przeciw bolszewikom. Interweniowała w tej sprawie u gen. Janin. W czerwcu 1919 r. próbował rozeznac realność zwiększenia nacisku wojsk polskich na bolszewików, aby odciążą front na Syberii. Adm. Kołczak nie zwrócił się jednak do rządu w Warszawie. Misja gen. A. Karnickiego u gen. Denikina w sierpniu 1919 r. kończy się niepowodzeniem. Rosjanie oczekują polskiej pomocy, ale nie godzą się na żadne ustępstwa w sprawie granic i niepodległości Polski. Uważają, że o tym będzie rozstrzygać przyszła Konstytuanta. Ofensywa polska na wschodzie zostaje więc we wrześniu wstrzymana na linii frontu od Dźwiny, wzdłuż Berezyny i Ptyczy aż do Uszycy (załącznik 1). Polska sankcjonuje milczące zaniechanie działań wojennych przez stronę polską, aby umożliwić wojskom sowieckim pokonanie wojsk gen. Denikina i gen. Judenicza. J. Piłsudski odmawia gen. Jedeniczowi podjęcia wspólnych akcji przeciw bolszewikom. Odmawia również gen. Denikino wi wykonania pomocniczego uderzenia w kierunku Mozyrz – Orzeł. Jó-

<sup>14</sup> J. Piłsudski. Przemówienie wygłoszone 16 lipca 1922 r. w Brześciu podczas Święta Dywizji Syberyjskiej, *Pisma zbiorowe*, tom V, 1937 r.

zef Piłsudski uważa, że łatwiej będzie ustanowić wschodnie granice Polski w przewidywanej wojnie z Rosją sowiecką, niż w wojnie z „białymi” generałami popieranymi przez państwa sprzymierzone. Los wojsk obu „białych” generałów został przesądzony.

Słuszność oceny sytuacji i możliwości zagrożeń na wschodzie oraz decyzji podjętych wówczas przez J. Piłsudskiego, pośrednio potwierdza M. Tuchaczewski. W 1923 r. w czasie cyklu wykładów *Pochód za Wisłę* wygłoszonych w Akademii Wojskowej RKKA w Moskwie, M. Tuchaczewski powiedział „... *Gdyby rząd Polski umiał porozumieć się z Denikinem przed jego klęską, gdyby nie bał się hasła imperialistycznego, 'jedna niepodzielna wielka Rosja', wówczas uderzenie Denikina na Moskwę pośilkowane przez polską ofensywę z zachodu mogłoby skończyć się dla nas znacznie gorzej i trudno nawet zdać sobie sprawę z możliwości ostatecznych wyników. Ale złożony splot interesów kapitalistycznych i narodowych nie pozwolił zrodzić się temu sojuszowi...*”.

W końcu października 1919 r. w czasie pobytu na froncie bolszewickim mjr Okulicz stwierdził, że wojska kołczakowskie są nieubrane, z setkami chorych i odmrożonych i że wkrótce będą zmuszone do szybkiego odwrotu. We wrześniu 1919 r., gdy decydowały się losy wojsk polskich na Syberii, na południu Rosji Ochotnicza Armia gen. Denikina kontynuując ofensywę na Moskwę, zdobywa Kijów, Kursk i kieruje się na Orzeł. Na wschodzie Armia Czerwona po przełamaniu Frontu Uralskiego prowadzi natarcie na Omsk. W okresie sierpień – wrzesień część oddziałów 2 i 3 Armii Czerwonej zostaje wycofana ze wschodu i skierowane na Front Południowy przeciw Denikinowi. 4 listopada 1919 r. w telegramie do MSW w Warszawie mjr Okulicz donosi z Syberii, że na tyłach armii rosyjskiej adm. Kołczaka działa partyzantka bolszewicka, którą jedynie oddziały polskie skutecznie zwalczają. Rychła ewakuacja oddziałów polskich oraz czechosłowackich może „...*zagrozić Syberyjskiej Armii zupełnym rozbiciem, co wzmocni bardzo ogólne położenie bolszewików...*”.

Rząd polski zdaje sobie sprawę, że sojusznicy w związku z trudną sytuacją wojsk adm. Kołczaka i dla „przeprowadzenia ich własnych interesów” nie wyrażają zgody na ewakuację z Syberii oddziałów polskich zgodnie z polską racją stanu. Pogląd ten wzmocniany jest przez państwa Koalicji, które nie chcą pozbywać się takiej siły jaką jest V Dywizja. Rząd polski postanowił więc zwrócić się do państw sprzymierzonych i „...*bezzwłocznie zażądać jako jeden z warunków zgody na chwilowe pozostawienie tam wojska, o ile to będzie możliwe na koszt rządów państw Koalicji...*” Rząd postanowił więc wysłać na Syberię misję wojskową dla przeprowadzenia niezbędnych uzgodnień. Trudności powstały już przy wyznaczaniu szefa misji. Ostatecznie szefem misji został gen. Z. Baranowski, uzgodniony przez NDWP z gen.

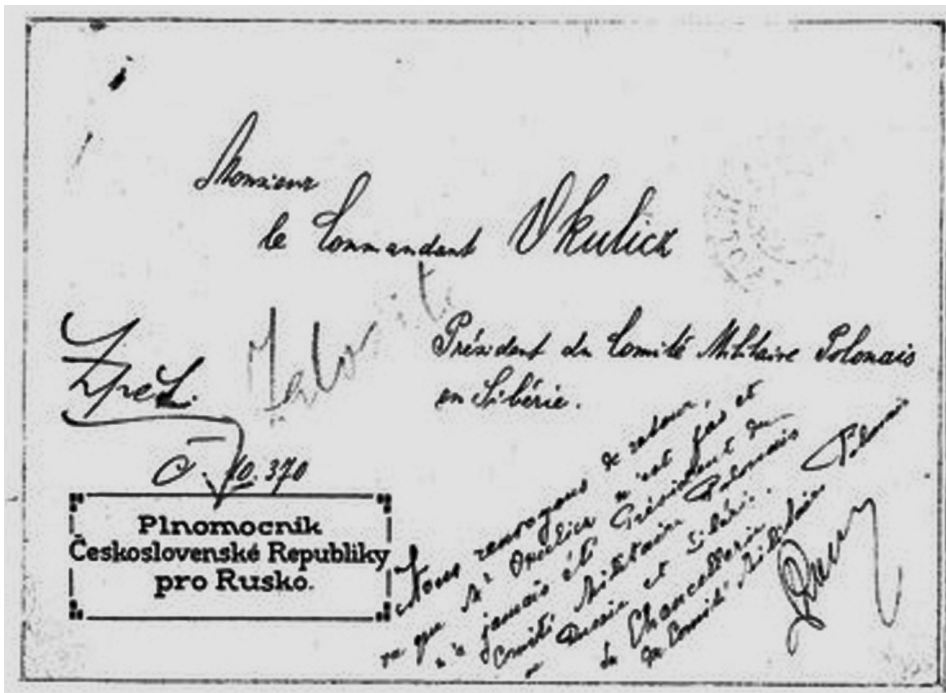
Hallerem. Instrukcje NDWP dla gen. Baranowskiego, przekazane 15 listopada 1919 r., zawierały polecenie do chwilowego jeszcze pozostawienia oddziałów polskich w dyspozycji państw sprzymierzonych „...wojsko polskie na Syberii pozostaje tam w interesach rządów sprzymierzonych. Do czasu rozpoczęcia repatriacji, nadal będzie utrzymywane na koszt tych rządów...”

Wraz z Misją Wojskową wyjechała delegacja z Wysokim Komisarzem RP. Józefem Targowskim, przy zgłaszanym proteście polskich władz wojskowych. Niezbędna okazała się interwencja władz francuskich. Decydujące słowo w sprawie powodzenia misji Targowskiego należało jednak do Koalicji, gdyż aby mogła ona skutecznie działać, należało przede wszystkim rozstrzygnąć stosunek Dywizji do Koalicji oraz ustalić kompetencje i charakter polskiego przedstawicielstwa. Niechęć J. Piłsudskiego i Sztabu Generalnego do wysłania na Syberię misji J. Targowskiego mogła mieć podłoże polityczne. W ten sposób nie chciano uznać rządu adm. Kołczaka, który miał zasadnicze obiekcje terytorialne i polityczne względem powstającego Państwa Polskiego. Ta niechęć nie znajduje jednak potwierdzenia we wcześniejszej decyzji rządu Ignacego Paderewskiego, który 18 września 1919 r. udzielił agrément gen. Kutiepowowi, jako przedstawicielowi rządu adm. Kołczaka w misji specjalnej w Polsce. Podobne zastrzeżenia zgłaszał rząd adm. Kołczaka do nowopowstałego Państwa Czechosłowackiego. Nie przeszkodziło to jednak w wysłaniu na Syberię Pełnomocnika Republiki Czechosłowackiej (fot. 7), który zapewnił skuteczną ochronę polityczną działań wojskowych i późniejszej ewakuacji Korpusu Czechosłowackiego z Dalekiego Wschodu.

20 listopada 1919 r. Misja Wojskowa gen. Baranowskiego oraz Wysokiego Komisarza RP Targowskiego wyrusza z Warszawy do Triestu, a następnie statkiem na Daleki Wschód. Do Szanghaju obie misje przybyły w końcu lutego, a Misja Wojskowa dotarła do Harbina na początku marca 1920 r. Przybycie gen. Baranowskiego pozwoliło uporządkować sprawy związane z reorganizacją resztek oddziałów polskich i umożliwić ich ewakuację. Akcję tę można było uznać za udaną, co nie zmienia faktu, że była ona bardzo spóźniona. 16 stycznia 1920 r., już po kapitulacji V DSP pod Klukwienną, państwa sprzymierzone podejmują decyzję o nieudzielaniu Polsce pomocy takiej, jakiej udzieliły gen. Denikinowi i adm. Kołczakowi.

W końcu grudnia 1919 r. gen. J. Leśniewski szef MSW wydaje zarządzenia, aby wojska polskie od kwietnia były gotowe nie tylko do zadań obronnych, ale też do ostatecznego rozstrzygnięcia wojny. NDWP rozpoczyna przygotowania do działań ofensywnych na froncie wschodnim. W końcu lutego 1920 r. W.I. Lenin polecił L. Trockiemu, Ludowemu Komisarzowi Spraw Wojskowych wzmocnienie Frontu Zachodniego i przygotowanie się do wojny z Polską.





Fot. 7. Korespondencja Pełnomocnika Republiki Czechosłowackiej w Rosji do mjr. Okulicza, szefa Polskiej Misji Wojskowej na Syberii.

5 kwietnia 1920 r. rozgromiona zostaje Armia Ochotnicza gen. Denikina. Komfront M. Tuchaczewski odwołany zostaje ze zlikwidowanego Frontu Południowego i obejmuje dowództwo Frontu Zachodniego. Wojska sowieckie z południa Rosji przerzucane są na front polski. Milczące zaniechanie działań wojennych przez stronę polską przestaje obowiązywać. Już 14 maja M. Tuchaczewski rozpoczyna ofensywę w rejonie Lepela na Białorusi. Wojska sowieckie nie zdążyły przygotować się do tej ofensywy i polska Armia Rezerwowa gen. K. Sosnkowskiego w ciągu 2 tygodni przywraca wcześniejszą linię frontu. Na początku lipca 1920 r. sowiecki Front Zachodni wzmocniony oddziałami z Frontu Uralskiego oraz zlikwidowanego Frontu Południowego rozpoczyna kolejną ofensywę na zachód. Już 13 lipca wojska sowieckie docierają pod Warszawę.

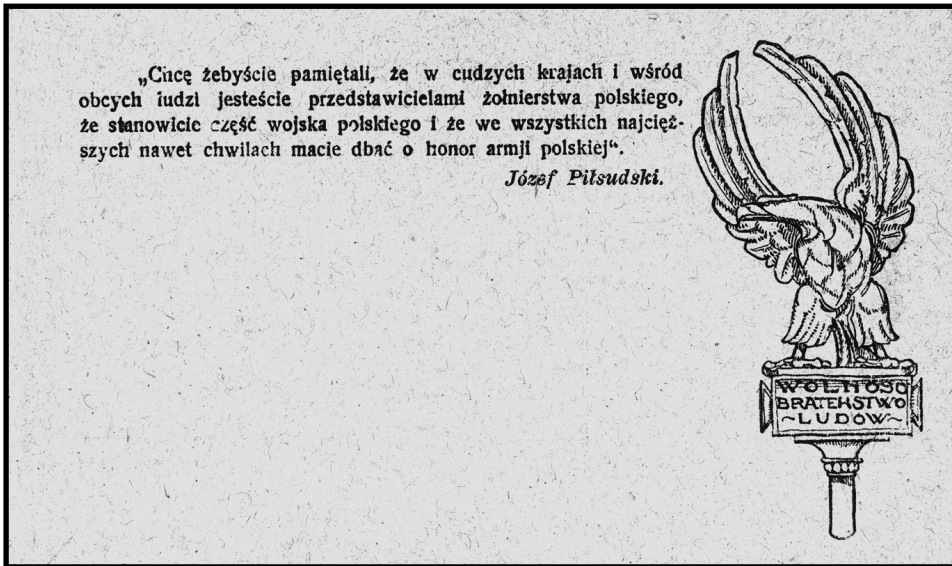
W Warszawie Sejm powołał Radę Obrony Państwa. Powstał Rząd Obrony Narodowej Wincentego Witosa. Przy MSW powołany zostaje Generalny Inspektorat Armii Ochotniczej (GIAO) pod dowództwem gen. Hallera. W oddziale II GIAO przyjmowani są ochotnicy literaci i artyści niezdolni do służby frontowej. Utworzonych zostaje 11 referatów. W referacie artystycznym wykonywane są barwne plakaty, ilustracje do pism krajowych i zagranicznych oraz szkice wojenne z wycieczek na front.

Wykonano także 10 kompozycji pocztówkowych. Na jednej z tych kartek pocztowych przedstawiony jest fragment rozkazu J. Piłsudskiego do 5 Dywizji Strzelców Syberyjskich (fot. 8).

Dowództwo wojsk sprzymierzonych na Syberii podejmuje decyzję o ewakuacji pozostałych wojsk na wschód. Siły, którymi dowodził gen. Janin, składały się już głównie z wojsk czechosłowackich i polskich oraz niewielkich oddziałów francuskich. Wojska amerykańskie, włoskie, brytyjskie i japońskie ewakuowały się wcześniej na wschód od Bajkału. -Przygotowany przez polskie dowództwo plan ewakuacji wojsk Koalicji zakładał ewakuację „od głowy”, to znaczy od najdalej na zachód wysuniętych (tj. polskich) transportów, które w miarę zwijania się odcinków osłony, odpływałyby stopniowo na wschód. W ten sposób byłoby naraz nie kilkaset, a kilkadziesiąt pociągów i stopniowo wszystkie wojska przechodziłyby do straży tylnej. Na realizację tego planu potrzebna była jednak zgoda i rozkaz gen. Janin, aby Czechosłowacy i Japończycy przepuścili polskie transporty. Gen. Janin nie aprobował tego planu, a co do ewakuacji „od głowy” nie mogło być mowy, gdyż uważał, że przy wytworzonych stosunkach Czesi nie przepuściliby polskich transportów ani dobrowolnie, ani z rozkazu. Polskie dowództwo mogło o to prosić swojego zwierzchnika gen. P. Janin i prosiło. Niestety bez rezultatu.

Korpus czechosłowacki po opuszczeniu Frontu Uralskiego w styczniu 1919 r. zajęty jest ewakuacją własnych wojsk na wschód i pełni służbę patrolowo-policyjną wzdłuż linii transsyberyjskiej na odcinkach zajmowanych przez własne oddziały. Dowództwo Korpusu nie reaguje na te rozkazy gen. Janin, których wykonanie mogłoby utrudnić, bądź opóźnić ich ewakuację. Czesi nie mają opracowanego planu ewakuacji, ale rygorystycznie przestrzegają własnych zasad odwrotu, sprowadzających się do tego, aby nie dać się rozłączyć, nie przepuścić przed siebie żadnych innych transportów, a w szczególności polskich i starać się wykorzystać jak najdłużej polską straż tylną, nie angażując oddziałów własnych. Opanowana przez nich linia transsyberyjska umożliwia realizację tych planów.

Oddziały polskie, które nadal pozostają w Nowo-Nikołajewsku i zwalczają aktywną partyzantkę bolszewicką wzdłuż linii transsyberyjskiej od Omska do Nowo-Nikołajewska otrzymują zadanie osłony odwrotu. W rozkazie gen. Janin podkreśla, że *„wojsku polskiemu przypada teraz w udziale zaszczytna rola ariergardy wszystkich wojsk sprzymierzonych”*. Była to prawda, gdyż inne wojska już nie słuchały rozkazów gen. Janin. Gdy oddziały polskie rozpoczęły ewakuację z Nowo-Nikołajewska transporty czechosłowackie już opuściły Tajgę, a bezpośrednio za nimi ulokowały przepuszczone przez Polaków sztaby wojsk Kołczaka. Linia transsyberyjska była już zablokowana transportami uciekających w popłochu wojsk kołczakowskich i ludności cywilnej. Transporty polskie nie miały już możliwości zorganizowania



Fot. 8. Kartka pocztowa (strona do korespondencji) wykonana w lipcu 1920 r. przez Oddział II Generalnego Inspektoratu Armii Ochotniczej z fragmentem rozkazu J. Piłsudskiego do 5 Dywizji Strzelców Syberyjskich.

wanego odwrotu i uniknięcia walki z regularnymi oddziałami sowieckimi i bolszewicką partyzantką. Gen. Janin, który wcześniej zdążył ewakuować się z Omska do Irkucka, zdaje się nie rozumieć sytuacji w jakiej znalazła się polska dywizja w wyniku jego spóźnionej decyzji o odwołaniu.

10 grudnia 1919 r. zaraz po opuszczeniu Nowo-Nikołajewska przez oddziały polskie gen. Janin zawiadamia płk Rumszę, że wobec wciągnięcia się Polaków w boje straży tylnej i przepuszczenia z Omska 6 pułku czeskiego, uchyla się od odpowiedzialności za losy Dywizji. Później też oburza się pisząc: „...Dywizja polska pomimo moich rozkazów jest opóźniona i znajduje się obecnie w transportach na długości prawie 500 km, między Tajgą a Krasnojarskiem”. 30 grudnia 1919 r., już po bitwie o Tajgę pod Krasnojarskiem, gdy sytuacja wojsk polskich stawała się krytyczna, gen. Janin w telegramie do mjr. Okulicza stwierdza, że „...Jest prawdą, że Dywizja Polska pełniła straż tylną podczas ewakuacji na wschód. Nie było to moim zamiarem, ale sytuacja w jakiej się znaleźliśmy tego wymagała...”. Jedną z wielu rad, których szczerze udzielał gen. Janin zalecała Polakom, aby postępowali zaraz za Czechosłowakami i nie dali się od nich odłączyć, by nie kryć odwrotu wojsk kołczakowskich. Mieli nadal pilnować linii kolejowej od Nowo-Nikołajewska do Tajgi i w czasie właściwym pilnować normalnego funkcjonowania kopalni węgla zaopatrujących transporty.

Już znacznie wcześniej gen. P. Janin praktycznie przestał być dowódcą odpowiedzialnym za podległe mu wojska i stał się doradcą wojskowym

i obserwatorem wydarzeń, starającym się uzasadnić swoją obecność na Syberii. Jego trudne do zrozumienia decyzje i zachowania stara się wyjaśnić i uzasadnić pisząc wspomnienia z pobytu na Syberii<sup>5</sup>. Gen. P. Janin w swoich wspomnieniach wydanych w 1933 r. większość miejsca i całą sympatię przeznaczył dla Czechosłowaków. O polskich oddziałach nie ma wiele, a to co jest, napisane jest tendencyjne, nieprzychylnie i do tego jeszcze fałszywie. Uważa, że „... nikt nie ma obowiązku poświęcania się dla innych” i z pozycji obserwatora przedstawia zasłyszaną opinię „... Czesi uważali, że dywizja polska mogłaby, gdyby chciała bardzo dobrze bronić się tak jak oni to robili. Przede wszystkim obawiali się bałaganu, jaki by mógł powstać skutkiem zmieszania się transportów. W celu zabezpieczenia się przed użyciem siły za strony Polaków, utworzyli swoją straż tylną z pociągów pancernych...”.

Później również we wspomnieniach wyraża swój pogląd o kapitulacji V Dywizji Strzelców Polskich pod Klukwienną 10 stycznia 1920 r. „... w czasie tych pertraktacji czerwoni dalej prowadzili swoją agitację, czego wynikiem było, że część żołnierzy poszła do >sowie< w Krasnojarsku oferując im swoje usługi. Równocześnie czerwoni wywierali nacisk na tylną straż polską. Ci ostatni kapitulują stopniowo w nocy 6-go na 7-go, dalej 9-go rano i w nocy z 9-go na 10ty. Wreszcie w nocy z 10-tego na 11-ty poddało się i dowództwo. Żołnierze zbuntowani aresztowali swych oficerów. Z wielką tylko trudnością paru udało się uciec, podobnie jak i oficerom obcych narodowości znajdującym się przy dywizji...”.

W żadnym fragmencie swoich wspomnień gen. Janin nie zaprezentował się jako głównodowodzący wojsk Koalicji na Syberii, któremu podlegało również wojsko polskie. Oburzone środowisko Sybiraków domagało się odpowiedniego sprostowania i należytej odprawy. Dopiero w 1938 r. w „Sybiraku” ukazał się artykuł prof. J. Birkenmajera o działalności gen. Janin na Syberii i wpływie jego decyzji na działania i losy Dywizji Strzelców Polskich. Artykuł ten nie stanowi jednak sprostowania faktów i opinii zawartych we wspomnieniach gen. P. Janin’.

Józef Birkenmajer w artykule *Rozkaz Marszałka Piłsudskiego do Dywizji Syberyjskiej*<sup>15</sup> podejmuje temat depešy-rozkazu Naczelnego Wodza J. Piłsudskiego do płk. Czumy. J. Birkenmajer był redaktor „Żołnierza polskiego we Wschodniej Rosji” nie przypisuje większego znaczenia różnicy w datach opublikowania depešy i rozkazu. Uważa, że „... rozkaz sam został wydany i doszedł na Syberię, ale gdy przechodził przez cudze (francuskie) ręce, zanim dotarł do płk. Czumy nieco zmienił swoją treść...”. Autor ten uznaje, że wszystkie niejasności i wątpliwości dotyczące okoliczności wydania rozkazu i zmiany jego treści zostały przez niego całkowicie wyjaśnio-

<sup>15</sup> J. Birkenmajer, *Rozkaz Marszałka Piłsudskiego do Dywizji Syberyjskiej*, „Sybirak” nr 15, 1938 r.

ne. W zakończeniu artykułu przedstawia jednoznaczne i bardzo poważne zarzuty pod adresem dowództwa wojsk koalicyjnych na Syberii, a imiennie do gen. Janin, konsekwencją których była kapitulacja V Dywizji pod Klukwienną. Uważa, że w wyniku zmiany treści rozkazu „...Dywizja Syberyjska strzelców polskich stanowiąca wedle rozkazu Naczelnego Wodza część Armii Polskiej nie została oddana do użytku, do jakiego ją rozkaz ten przeznaczał. Ta silna i zaprawiona w bojach jednostka, mogąca Polsce oddać olbrzymie usługi, została użyta do osłony cudzoziemskiego autoramentu, mogącego pod tą osłoną bezpiecznie wywozić z Syberii swoje dobra i nieruchomości...”. Winny zmiany treści i usunięciu części rozkazu został więc wskazany, zarzuty postawione, a jego wina nie może budzić wątpliwości.

Artykuł ten J. Birkenmajer pisał w Stanach Zjednoczonych, gdzie wykładał na uniwersytecie w Madison. Utrzymywał on jednak stałe kontakty z Sybirakami w kraju. Dlatego pewnym zaskoczeniem może być fakt, że w artykule pisanym w 1938 r. nie uwzględnił on wiedzy zawartej w przemówieniach marszałka J. Piłsudskiego, wygłoszonych na Zjeździe Wojskowych byłych Korpusów Wschodnich w 1921 r. oraz w czasie Święta Dywizji Syberyjskiej w 1922 r., a także uwag K. Świtalskiego zawartych we wstępie i przypisach w „Pismach zbiorowych” J. Piłsudskiego, wydanych w 1937 r. Dokumenty te z pewnością znał i winien je wykorzystać, jeżeli chciał wskazać odpowiedzialnych za tragedię V Dywizji. Tak się jednak nie stało i przez kolejnych siedemdziesiąt lat sprawa depeszy-rozkazu J. Piłsudskiego do płk. Czumy uznana była za wyjaśnioną i zakończoną. Wątpliwości jednak pozostały i w związku z szeregiem publikacji w ostatnich latach<sup>16</sup> oraz dotarciu do wielu nieznanych wcześniej dokumentów źródłowych, uzasadniony wydaje się powrót do tego fragmentu historii V Dywizji Strzelców Polskich. Dodajmy, że J. Birkenmajer pisał artykuł w okresie narastającego zagrożenia niepodległości Polski ze strony dwóch niedawnych zaborców. Było wówczas społeczne zapotrzebowanie na publikacje, że do tragedii V Dywizji pod Klukwienną doprowadzili inni. Nie był to czas, aby przekazywać wiedzę, że rozkaz (depesza) Wodza Naczelnego J. Piłsudskiego do płk. Czumy z 6 września 1919 r., niezależnie od jego treści, miał wówczas znaczenie wyłącznie moralne. Poprawiły się bowiem nastroje w wojsku, uwierzono, że Polska pamięta o wojskach na Syberii i że wrócą wkrótce do kraju. Rozkaz ten nie zmieniał jednak w niczym sytuacji militarnej Dywizji, bo nie mógł jej zmienić. Nie był to czas,

<sup>16</sup> J. Nałęcz-Koniuszewski, *Historia V Dywizji Syberyjskiej Wojska Polskiego*, „Zesłaniec” nr 25, 2006 r. publikacja napisana w 1939 r. J.P. Wiśniewski, *Ewakuacja Oddziałów Polskich z Dalekiego Wschodu w 1920 r.* „Zesłaniec” nr 16, 2004 r. Tamże, *Działalność wojskowa Jana Skorobohatego-Jakubowskiego na Syberii 1918–1920.* „Zesłaniec” nr 37. 2008 r.

by wskazywać i uzasadniać, że istniejące w latach 1918 – 1921 polskie ośrodki władzy w kraju i za granicą swoimi działaniami, a także zaniechaniem podjęcia niezbędnych decyzji, doprowadziły do sytuacji, której osamotniona w głębi Syberii V Dywizja nie była w stanie sprostać.

W 1938 r. priorytetem władz państwowych było przekonanie społeczeństwa, że wojsko polskie jest „silne, zwarte i gotowe”. Świadomość tego musiał mieć również prof. Birkenmajer, jeden z żołnierzy Dywizji, będący w 1919 r. w centrum zawirowań wojskowych i politycznych wokół V Dywizji. Obecnie z perspektywy minionych lat, można jedynie rozważać czy ten artykuł powinien zostać opublikowany. Znacznie wcześniej, bo już w 1920 r. z inicjatywy Oddziału II Sztabu Generalnego powołana została komisja, która zajęła się oceną przyczyn klęski oddziałów polskich na Syberii. Z wniosków tej komisji wynikało, że „...*dywizja* (chodzi o dowództwo wojsk polskich na Syberii – przyp. autora) *nie jest winna temu, że dzięki opóźnieniu ewakuacji, zbyt szybkiemu rozkładowi wojska kolczakowskiego i brakowi współdziałania wojsk sprzymierzonych, znalazła się w sytuacji bez wyjścia...*”. W związku z zarzutami stawianymi płk. K. Rumszy, jako dowódcy V Dywizji, stanął on w sierpniu 1921 r. przed Oficerskim Trybunałem Orzekającym. Trybunał wydał wówczas orzeczenie, że może on być oficerem Wojska Polskiego. Te ustalenia nie mogły być inne, aby zakończyć spór między dwoma grupami byłych wojskowych, skupionych wokół płk. Czumy i płk. Rumszy, o błędne postępowanie dowództwa na Syberii.

Roman Dyboski, żołnierz V Dywizji, który w tym czasie był blisko centrum wydarzeń, w swoich wspomnieniach z pobytu na Syberii<sup>17</sup> wydaje się, że zgodnie z ówczesnymi odczuciami najtrafniej podsumował przyczyny tragedii, obrazem zaczerpniętym ze szlacheckiego folkloru pisząc „... *Czesi rzucili na pastwę, wraz z Kolczakiem i nas, tak jak rzuca się na polowaniu wilkom wiezione na saniach prosię, by się wokół tej tłustej zdobyczy zebrały i zatrzymały...*”. Trudno o celniejsze i smutniejsze porównanie.

Gdy Związek Sybiraków w 1933 r. rozważał możliwość wydawania własnego kwartalnika „Sybirak”, marszałek Józef Piłsudski poparł tę inicjatywę mówiąc „...*piszcie, niech inni nie fałszują naszej historii*”. Marszałek nie przewidział, że **to nie muszą być inni**.

<sup>17</sup> R. Dyboski, *7 lat w Rosji i na Syberii*, Warszawa 1922 r.



CENA NUMERU 75 kopiejek

## WARUNKI PRENUMERATY:

Dla miejscowych i zamiejscowych (z przesyłką pocztową) miesięcznie 5 rubli. Kwartalnie 15 rubli.

Adres Redakcji i Administracji:

NOWO-NIKOLAJEWSK,  
ULICA ALEKSANDROWSKA

Rok I.

Niedziela 21 września 1919 r.

№ 45

NOWO-NIKOLAJEWSK dnia 18 września 1919 r.

## Depesza jen. Piłsudskiego

z dnia 6 września 1919.

Za pośrednictwem Misji francuskiej otrzymał dowódca Wojsk Polskich następującą depeszę od generała Piłsudskiego:

## Do pułkownika CZUMY

PARYŻ, 6 września 1919 r.

Wola stworzenia silnej Armii Polskiej sprawiła, iż walczyście, gdzie nie złączyła się siły polskich, tworzyły się polskie oddziały wojskowe. Rozpędzone po krajach świata, zmuszone czasem żyć długie lata zdala od kraju, te bułce żołnierzy-walczy stopniowo uzyskiwały możność powrotu do Ojczyzny i stawienia się na Jej wezwaniu w szeregach Armii Polskiej.

Dola niebłogosna czyniła z was żołnierzy oddalonych od Ojczyzny o mil tyście i wyznaczyła wam miejsce w kraju obfitym w ślady męczeństwa tych, co cierpieli za sprawę polską.

Generał Haller, do którego Armii jeszcze należycie, zaraz po swym powrocie z Paryża poddał wszystkie swe wojska moim rozkazom i prawom wojskowym polskim.

Przyjmując jako Wódz Naczelny Wojsk Polskich, pięta dzisiaj strażnic pod moją władzę, poddawiam was w imieniu Ojczyzny, dziękując wam za waszą cieżką służbę za wysiłki, których dożytyście dla odzyskania Polski. Wiem i pojmuję jak bardzo ciężko musieliście za tę Ojczyznę Waszą, jak za nią testnie szczerze walczyliście, gdy walcie o niej, że jest wolna i potężna.

Mimo wszystkich trudności czynię się kroki potrzebne, by zapewnić wam powrót do kraju, żeby wam dane było stanąć znowu pośród swoich po tylu miesiącach ciężkiego wygnania.

Piłsudski w. r.

Podana przez nas w treści urzędowej depeszy Naczelnego Wodza jen. Piłsudskiego zawieszona przyjęcie przez 5-lej dywizji pod swoje bezpośrednie rozkazy. Taktycznie jednak poradziliśmy nadać skądś częścią armii jen. Hallera.

Akt ten, choć z takim opóźnieniem doręczony, wyrwał nas ostatecznie z naszego niewolstwa i jed. eskarżowaniem na przysięgę. Opowiadanie słowa, bliższe z treści depeszy, uświadomienie za serce i są siłnym wyrazem serce, jakie żywi do nas walczy: Najjaśniejsza Rzeczpospolita, „daj wolna i potężna” jak brzmiały słowa Naczelnego Wodza.

Podrobie Naczelnego Wodza, odczytane wobec zgromadzonego Sztabu Wojsk polskich, wywołało gorący entuzjazm, który wyrwał się w silnych okrzykach: niech żyje Naczelny Wódz general Piłsudski!

Tem depeszy ujawnia troskę i pieczołowitą Rządu Krajowego o nasz los.

Mimo wszystkich trudności zapewniamy nam powrót na Ojczyznę naszą, byśmy mogli stanąć znowu pośród swoich po tylu miesiącach ciężkiego wygnania.

Dziś, gdy z ust prezydenta Rzeczypospolitej, a zarazem naczelnego Wodza sił zbrojnych polskich słyszamy, że „wolna i potężna” jest Ojczyzna nasza, zapominamy o wszystkich ciężkich przeżyciach naszych i nigdy przeszłej niewoli i z głębi serca i duszy wznosimy okrzyk: Niech żyje Najjaśniejsza Rzeczpospolita! Niech żyje nasz Naczelny Wódz, general Piłsudski!

Niech od okrzyku tego zadrga każda syberyjka i niech zadrgi wróg!

Synowie wolnej i potężnej Polski odpowiedź godnie na przesłane przez Nę podrobie.

Cześć potężnym za Jej honor, cześć tym, którzy brnią swoją budują potęgę tej kłóty wódz ciemności i uciska nie zgłoszą i dzień odkupiona zastąpi znow w gronie podstów świata!

REDAKCJA

Załącznik 2: Strona tytułowa gazety „Żołnierz Polski we Wschodniej Rosji” z 21 września 1919 r. z depeszą J. Piłsudskiego do plk. Czumy.

## ROZKAZ DO 5 DYWIZJI STRZELCÓW SYBERYJSKICH (19 listopada 1919 r.)

*5 Dywizja Strzelców sformowana została na Syberii w ciągu roku 1918 i 1919. Wchodziła ona nominalnie w skład armii gen. Hallera. Po wcieleniu armii gen. Hallera do wojska polskiego, przeszedł i ten oddział pod bezpośrednie rozkazy Naczelnego Wodza.*

*Stąd potrzeba wydania niżej przytoczonego rozkazu, który podajemy według «Kuriera Porannego» z 20 listopada 1919 r.*

**Żołnierze!**

Pragnienie stworzenia polskiej siły zbrojnej sprawiło, że wszędzie tam, gdzie tylko los skupił garść Polaków, powstały oddziały polskie. Rozproszone po wszystkich niemal krańcach świata, zmuszone nieraz żyć daleko od kraju, tułacze te oddziały mogły być powoli przywracane Ojczyźnie i mogły stanąć do apelu i w szeregach armii polskiej.

Twardy los kazał wam być żołnierzami polskimi, oderwanymi od Ojczyzny o tysiące mil, w krainie, znaczonej tyłu cierpieniami męczeńskimi za sprawę polską.

Generał Haller, do którego armii należeliście dotąd, wraz z powrotem swoim do kraju, oddał wszystkie wojska pod rozkazy moje i pod ustawodawstwo polskie.

Obejmując, jako Naczelnny Wódz wojsk polskich, rozkazy nad 5 Dywizją Strzelców Polskich, przesyłam wam w imieniu Ojczyzny pozdrowienie i podziękowanie za dotychczasową służbę i usiłowanie stworzenia polskiej siły zbrojnej.

Chcę, żebyście pamiętali, że w cudzych krajach i wśród obcych ludzi<sup>1)</sup> jesteście przedstawicielami żołnierstwa polskiego, że stanowicie część wojska polskiego i że we wszystkich najcięższych nawet chwilach macie dbać o honor armii polskiej.

Wiem i rozumiem, jak głęboko musicie tęsknić do Ojczyzny z chwilą, gdy wiecie, że jest ona wyzwoloną i potężną. Dokładam wszelkich starań, by pomimo przeszkód zapewnić wam powrót do kraju, byście mogli jak najprędzej po waszych ciężkich chwilach tułaczki znaleźć się wśród swoich<sup>2)</sup>.

J. Piłsudski.

<sup>1)</sup> Dywizja walczyła z bolszewikami obok oddziałów ekspedycyjnych państw sprzymierzonych i oddziałów czeskich, rumuńskich i kroackich, sformowanych z jeńców austriackich.

<sup>2)</sup> Dywizja musiała z powodu trudnych bardzo warunków złożyć broń 10 stycznia 1920 r. Część żołnierzy tej dywizji przez Charbin, port Dajrem i drogą morską powróciła do Polski w lipcu 1920 r.



---

**HENRYK SKIRGAJŁO**

## **MOJE SYBERYJSKIE ZIELONE LATA**

### **Przed deportacją**

Urodziłem się 7 kwietnia 1935 roku w Augustowie w województwie białostockim, w rodzinie robotniczej. Ojciec mój Klemens był robotnikiem, pracownikiem w przemyśle leśnym. Pracował w dostarczaniu materiału drzewnego z puszczy augustowskiej do tartaków w Augustowie. Przed założeniem rodziny, jako żołnierz brał udział w wojnie Polski z bolszewikami w latach 1918-1920. Matka Władysława zajmowała się wychowywaniem pięciu synów. Ja byłem przedostatnim. Najstarszym był Witold, po nim Hipolit, następnie Szczepan, ja Henryk i o trzy lata ode mnie młodszy Apolinary. Mieszkała z nami babcia Katarzyna, matka mojego ojca. Wszyscy mieściliśmy się w dwuizbowym, drewnianym domu w osadzie, będącej południową częścią miasta, położoną między zalewem rzeki Netty, powstałym przez wybudowanie śluzy i jazu od północy osady, a od zachodu kanałem augustowskim, od wschodu kanałem bystrym. Od południa osadę oddzielała szosa grodzieńska, przebiegająca przez mosty na obu tych kanałach. Była to droga, prowadząca z Warszawy do Grodna. Dalej, na południe za tą drogą rozciągał się las, będący częścią puszczy. Za lasem rozciąga się jedno z większych jezior pojezierza, jezioro Sajno. Ten kompleks urbanistyczno przyrodniczy stanowi coś w rodzaju wyspy. Tej osadzie nadano nazwę dzielnica Bolesława Limanowskiego. Było w niej dużo zabudowań jednorodzinnych i różnej wielkości bezimiennych uliczek, zatem i numery domostw miały duże liczby. W Augustowie w okresie międzywojennym nie było rozbudowanej infrastruktury przemysłowej. Oprócz przemysłu drzewnego i rolnictwa na ubogich glebach po ostatnim zlodowaceniu przeważają piaski, żwiry, gliny itp. ubogie gleby. Do roku 1939 stacjonował tu 1-szy Pułk Ułanów Krechowieckich, który w życiu społeczeństwa odgrywał ważną rolę. W odległych o 30 km Suwałkach stacjonowała Brygada Kawalerii i inne rodzaje wojska.

Najstarszy brat Witold, po skończeniu szkoły powszechnej wstąpił jako młodociany do wojska w Suwałkach i służył w orkiestrze wojskowej. Do dnia deportacji mojej rodziny w czerwcu 1941 roku, mając sześć lat, niewiele zapamiętałem szczegółów z tego, co się działo po zajęciu po 17 września 1939 roku ziem Kresów Wschodnich, w tym i województwa białostockiego wraz z Augustowem. Ważniejsze wydarzenia jednak pozostały w mojej pamięci. Pamiętam niepokój u moich rodziców i w rodzinach sąsiadów. Widziałem żołnierzy armii czerwonej ze spiczastymi czapkami z czerwoną gwiazdą i długimi karabinami tu i ówdzie w grupach przemieszczających się w mieście i po ulicach naszej osady. Rozmowy starszych o objęciu urzędów w administracji i wymianach nauczycieli w szkołach. Rozmowy o tym, że wiele rodzin zabierają z domów i wywożą. Najbardziej utkwiał mi w pamięci obraz ze zdarzenia w naszym domu, a było to tak, że na początku roku 1940, kiedy cała rodzina spała w pokoju, w kuchni na ławie dyżurował i sypiał jeden żołnierz radziecki, a drugi stał przed domem. Jako dziecko nie znałem wówczas przyczyny. Potem dowiedziałem się, że armia czerwona wychwytywała wszystkich żołnierzy bez względu na stopień wojskowy.

Brat Witold z kolegami po ucieczce z internowanego wojska we wrześniu 1939 roku ukrywał się po sąsiedzkich stodołach, oborach itp. miejscach. Zatem robiono zasadzki. W późniejszych latach mama opowiadała, że brat jeszcze w czerwcu 1940 roku, kiedy w ogrodzie ziemniaki już podrosły, nocą czołgając się w bruzdach, podczołgiwał się pod okno, pukając, a mama podawała chleb i inne produkty, nie bacząc na żołnierza śpiącego w kuchni. W czerwcu tegoż roku brat wraz z innymi kolegami został schwytyany w jakimś ukryciu, aresztowany, skazany na więzienie, następnie osadzony w kolejnych obozach i dopiero po amnestii 1941 roku zwolniony. Na Syberii w Omsku pozostawał do wiosny 1946, skąd wrócił do Polski by spotkać się z pozostałą częścią rodziny, która bez ojca i babci także wróciła do ojczyzny.

### **Deportacja i transport**

O wcześniejszych deportacjach z augustowszczyzny dowiedziałem się dopiero w wieku dorosłym. Pierwszą przeprowadzono w lutym 1940 roku. Wywożono wówczas rodziny wojskowych, policjantów, leśników, niektórych urzędników administracji państwowej, rodzin osób wcześniej aresztowanych. Tragizmem tego zdarzenia potęgowało to, że było z zaskoczenia, w środku zimy, przy mrozie poniżej – 30 stopni. Inne rodziny, w których był ktoś wcześniej aresztowany np. nauczyciele, lekarze, prawnicy również spodziewały się wywózki w każdej chwili. Wywiezionych w lutym w większości rozmieszczono na północy Rosji w obwodzie archangielskim i wykorzystywano do ciężkich prac przy wyrębie tajgi, a za mieszkania służyły im prymitywne baraki. Druga deportacja z augustowszczyzny odbyła się w kwietniu tegoż 1940 roku, kiedy to wywie-

ziono między innymi rodzinę wcześniej aresztowanego nauczyciela, działacza Związku Nauczycielstwa Polskiego, Hieronima Jonkajtysa. Wywieziono żonę z pięciorgiem dzieci, w tym i dziewięcioletniego Mariana. Dziś znanego, ale nieżyjącego już niestety autora Marszu Sybiraków i tomików wierszy z życia własnej rodziny i innych zesłańców w stepach Kazachstanu. Marsz ten stał się hymnem Związku Sybiraków.

Jak z powyższego wynika większość wywiezionych w kwietniowej deportacji rozmieszczono w stepach Kazachstanu. Inni mieszkańcy już w pełni zorganizowanej administracji radzieckiej, bo i dzielnicę Bolesława Limanowskiego nazwano Posiołkiem Stalina oczekiwali swojej kolejki, nie wiedząc na kogo wypadnie. Doczekali się dni 20, 21 czerwca 1941 roku, kiedy to z pośród setek rodzin znalazła się i moja rodzina wraz z kilkoma rodzinami z tego Posiołka imieniem Stalina. Aresztowania, deportacje i transport we wszystkich przypadkach odbywały się w podobny sposób. Do domów, z których przewidziano zabrać rodziny przychodziło: zwykle jeden oficer i dwóch żołnierzy, przedstawiano nakaz skazujący na wysiedlenie, robiono rewizję, polegającą na zabranii dokumentów, przeszperaniu we wszelkiego rodzaju szkatułkach, szafach, zabranii co kosztowniejszych rzeczy, wyznaczano termin załadunku na podstawiony transport. Tak było w przypadku mojej rodziny. Z tego co mi wiadomo, było to łagodniejsze potraktowanie w stosunku do deportacji przeprowadzanych w lutym i w kwietniu 1940 roku. W przypadku deportowania naszych rodzin, co już osobiście byłem obserwatorem, pozwolono zabrać, co było możliwe do spakowania w walizki, w skrzynki itp. bagaż podręczny. Po upływie wyznaczonego terminu załadunek pod strażą żołnierzy na podstawiony środek transportu. W przypadku naszej rodziny był to samochód ciężarowy, na który załadowano naszą rodzinę, a po drodze z tejże ulicy kolejne rodziny i dowieziono do wagonów towarowych na stację w Augustowie. Z innych miejscowości, w poprzednich deportacjach zimą do najbliższych stacji kolejowych dowożono saniami, wiosną furmankami i samochodami. Po prostu TERROR. Na stacji kolejowej kazano zajmować miejsca w wyznaczonym wagonie z zakratowanymi okienkami. Wewnątrz wagonu po obu stronach były drewniane prycze, na środku piecyk, za piecykiem w podłodze był otwór do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Po wypełnieniu wagonu i rozłokowaniu na pryczach drzwi były ryglowane na zewnątrz i pilnowane przez żołnierzy NKWD czyli Ludowego Komisariatu Spraw Wewnętrznych.

Zdarzenie, które osobiście przeżyłem, nie będąc jeszcze obznajmionym co do czego w wagonie służy, zgłosiłem żołnierzowi, że chcę załatwić się. Pozwolił mi pójść za ułożone w słupek podkłady kolejowe, kucnąc, a on mnie pilnował z karabinem w ręku. Czy można czegoś takiego zapamiętać? Po załadowaniu kilkunastu wagonów, rodzinami przywiezionymi z miasta Augustowa i z okolicznych wsi, transport ruszył do Grodna. W Grodnie doczepiano następne wagony i dowożono okoliczną

ludność. Transport stał po zachodniej stronie rzeki Niemen. Było to już 21 lub 22 czerwca, kiedy w godzinach południowych nad pociąg nadleciał niemiecki samolot zwiadowczy, dokonując rozpoznania. Ludzie, w obawie przed ostrzeliwaniem wagonów przez kraty okien i szpary uchylonych drzwi lub częściowo otwartych, wystawiali białe szmaty, prześcieradła, chustki. Samolot odleciał, nie czyniąc szkody. Po pewnym czasie nadleciał samolot bombowy i w rejonie mostu zrzucił jedną czy dwie bomby. Bomby nie zniszczyły mostu całkowicie. Po tym zdarzeniu docepiono do transportu prawdopodobnie dwie lokomotywy i przetransportowano pociąg o składzie sześćdziesięciu załadowanych wagonów na wschodnią stronę rzeki. Nocą transport ruszył na wschód. W czasie jazdy widoczne były różnego rodzaju pojazdy drogami polnymi, szosami chaotycznie uciekających ludzi cywilnych i wojskowych, gdyż Grodno i dalej na wschód położone miasta były bombardowane. Zdradziecka napaść Niemiec hitlerowskich na swego sprzymierzeńca w podpisanej 23 sierpnia 1939 roku o rozbiórce Polski umowie między Niemcami i Rosją, doprowadziła do drugiej wojny światowej.

Z chwilą usłyszenia szumu nadlatujących samolotów, a nadlatywały w większych ugrupowaniach, ludzie w wagonach kryli się z wyższych przycz pod najniższe, przy samej podłodze, pozostawiając poduszki, pierzyny i inną grubszą pościel w nadziei, że choć trochę osłabią skutki uderzeń. Taki stan rzeczy, takie zachowanie trwało przez kolejne dni podróży na wschód. Ludzie byli tak zastraszeni, że na usłyszenie szumu nadlatujących samolotów każda matka ze swoimi dziećmi miała już swoje miejsce na najniższym poziomie wagonu. Często słychać było uderzenia pocisków po dachach i bokach wagonów, które uderzając pod kątem nie przebijały grubych desek i blach dachów. W niektórych wagonach jednak byli zabici i ranni. Czasami dochodziło do dłuższych postojów w polu, gdyż były uszkodzone tory. Po ich naprawieniu wieziono nas dalej na wschód. To, co działo się w wagonach, zachowanie się ludzi w strachu przed niechybną śmiercią, płacz dzieci i kobiet, bezradność mężczyzn, przy zamkniętych na zasuwę drzwiach wagonów, do tego atmosfera czerwcowych gorących dni i nocy, nie potrafi przelać na papier żaden świadek tamtych dni. Jedno, co zapamiętało sześćoiletnie wówczas dziecko, pozostanie mu w pamięci do końca życia.

Dziś wiem, że dalsza droga prowadziła przez kolejne większe miasta, takie, jak Mińsk, Smoleńsk, a po dojeździe i przymusowym postoju znów dantejskie sceny, będące skutkiem bombardowań i ostrzeliwań. Własnymi oczyma widziałem, a było to w dzień w Smoleńsku, jak z płonącego domu w pobliżu stacji kolejowej ludzie z wyższego piętra zrzucali pierzyny i poduszki i skakali przez okna na tę pościel, ratując się. W miarę oddalania się na wschód, naloty niemieckich samolotów słabły. Ludzie z dnia na dzień lepiej się poznawali i jednakowo znosili cierpienia i niewygody wagonowego życia. Na większych stacjach, na europejskiej części Rosji

spotykaliśmy pociągi, wiozące jeńców w wypełnionych wagonach, także z zakratowanymi oknami i silnie strzeżonych. Pamiętam jak ludzie z naszych wagonów i moi rodzice mając wypisane nazwiska oraz imiona swoich bliskich na kartkach, wystawiali przez okna te kartki i pytali, czy w ich wagonach nie ma takich osób. Tamci rozpytywali i kiwali głowami, że nie ma. Powtarzało się to w kilku miejscowościach. W innych miejscach, w pobliżu torów spotykaliśmy obozy pod gołym niebem, czasami z kilkoma barakami, w narożnikach strażnice z wartownikami, strzegącymi więźniów, którzy machali do nas rękami. Ludzie zadawali pytanie, skąd tyłu więźniów i za co oni w tych obozach osadzeni. Potęgowało się jeszcze większe zastraszenie i złorzeczenie na to, co nas czeka.

Ojciec Klemens Skirgajło, mama Władysława, babcia Katarzyna – matka ojca i syn pierworodny Witold (początek lat 20. XX wieku). Ze zbiorów autora.

Orientując się z położenia słońca ludzie wnioskowali, że kierunek jazdy wiedzie na południowy wschód. Ci, co znali się na geografii widzieli w tym dobry znak. Mówili, że gorzej by było, gdyby wieźli nas na północny wschód. Jechaliśmy na południe od Moskwy. Z mijanych więk-

szych miast, oprócz wcześniej wymienionych były takie jak się później dowiedziałem śledząc na mapie, jak: Miczurińsk, Penza, chyba Kujbyszew, a za Uralem – Czelabińsk, Pietropawłowsk, Omsk, Nowosybirsk, Tomsk, Aczińsk. Ostatnią stacją w tym kierunku była stacja ABAKAN. Nad wielką syberyjską rzeką Jenisiej i jej lewym dopływem rzeką Abakan w Krasnojarskim Kraju Chakaskiej Obłosti. Po sposobie traktowania nas w podróży, niektórzy starsi przewidywali, że wiozą nas na zatracenie. Jak się później okazało wiele się nie mylili. Czerwcowo - lipcowa pogoda, w dniu upalna, przy zamkniętych drzwiach i zakratowanych oknach wagonów, przy dużej liczbie ludzi w różnych wieku, bez dostatecznej ilości wody i pożywienia, braku jakichkolwiek warunków sanitarnych powodowała zaduch trudny do wytrzymania. Do tego dochodziło zniecierpliwienie przedłużającym się czasem podróży.

Mijały tygodnie, a końca podróży nie było widać. Według czasu na zegarku u tego, kto posiadał, powinno być dopiero południe, a okazuje się, że już ciemnieje i odwrotnie. Na niektórych stacjach nocą pociągi stały dłużej, ludzie śpią a tu nagle szarpnięcie pociągiem tak, że niektórzy spadali z prycz. W naszym wagonie w ciągu dnia zdarzyło się, że jeden z mężczyzn stojąc na skraju pryczy przy takim szarpnięciu przewrócił się na stojący piecyk i doznał złamań żeber. Z braku wody do picia, ludzie w godzinach południowych mdleli. Na każdym postoju wyciągali ręce do stojących przy torach miejscowych ludzi wołali: „towarysz, wody, wody!” Na niektórych stacjach, szczególnie w dalszej części podróży, pozwalano pod konwojem wychodzić z wiadrami po wodę pod pompy do napełniania parowozów i zaopatrywać się w wodę. Pomimo tego, że można było zabrać na drogę produktów żywnościowych, żywność ta się kończyła i dokuczał głód. Na większych stacjach pozwalano wychodzić po dwie osoby z wagonu z wiadrami pod konwojem do kuchni przydworcowych. Do wiader nalewano byle jakiej zupy, by choć skromnie zaspokoić głód. Niektóre odcinki drogi dłużyły się od jednej do drugiej stacji kolejowej. Monotonny stukot kół, od czasu do czasu gwizd, czasami ryk lokomotyw stawał się tak dokuczliwy, że niektórzy określali to słowami: „Diabeł wiezie swoją babkę”. Oprócz większych miast na których starsi wychodzili po wodę lub po zupę, potem opowiadali co widzieli, które to miejscowości można było nazwać miastem, resztę co obserwowano się po trasie było bardzo ubogie tak, jak i ludzie spotykani na tych stacyjkach. Jakieś osady, oddalone znacznie od siebie, z niektórych domostw kominy wystawały wprost z ziemi. Trudne do zniesienia były przejazdy przez kilkusetmetrowe tunele górskie w górach Uralu i dalej. Pociąg wjeżdżał w tunel, a dym z parowozu dostawał się do wnętrza wagonów. Było to wprost niemożliwe do wytrzymania. Przejeżdżając przez przełęcze górskie ludzie dziwili się wysokością ścian przełęczy i wysokością gór. Trzeba wiedzieć, że wielu ani morza ani gór w życiu nie widzieli, toteż i zdziwienie było wielkie.

W takich warunkach, po ponad trzytygodniowej podróży koleją dowieziono nas, jak się okazało na razie do ostatniej stacji kolejowej w kierunku południowo wschodnim Rosji do stacji Abakan w Krasnojarskim Kraju, największego miasta byłego państwa Chakasów, które stało się obłastią, czyli województwem Związku Radzieckiego. Tu kazano nam wyładować się i z bagażami przemieścić w rejon szkoły. Ludzie myśleli, że to koniec podróży, ale mylili się. Na razie skończyła się podróż pociągiem pod konwojem żołnierzy NKWD. Po przenocowaniu na swoich bagażach i ogarnięciu się po nocy, po obmyciu się ludzie zaczęli się spotykać, rozmawiać i rozważać nad tym, co dalej z nami będzie. Okazało się, że już od godzin rannych zaczęły podjeżdżać po nas różne podwozy; platformy traktorowe, furmanki o zaprzęgach konnych. Jak się dowiedziałem po latach w Polsce, że niektóre rodziny były rozwożone barkami po Jenisieju. Dziś obraz ten kojarzy mi się z losem murzynów z wieku XVIII i XIX, których chwymano w Afryce, a sprzedawano plantatorom w Ameryce. Nas nie sprzedawano. Nas przydzielano do poszczególnych przedsiębiorstw, kopalń, kolchozów, sowchozów i innych miejsc odosobnienia jako bezpłatną siłę roboczą.

### **Chakasja, ludzie, życie i praca**

Wieziono nas, kilka rodzin augustowiaków do miejsc przeznaczenia, w kierunku południowo zachodnim od Abakanu, furmankami po bezdrożach i drogach Chakasji znanych tylko tubylcom. Żeby trafić do celu, nie zabłądzić w dzień czy w nocy naprawdę trzeba być mieszkańcem tej krainy, trzeba być Chakasem. Cóż to za kraina ta Chakasja, coż to za ludzie ci Chakasi? Mieliliśmy możliwość poznać to wszystko przez najbliższe pięć lat. Studium geograficzno – historyczne tej krainy i ludzi w niej zamieszkujących pozwoliło mi bliżej poznać tego szlachetnego i przychylnego nam, Polakom narodu, z którym przyszło związać nasz los. Do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia kraina ta była obwodem wchodzącym w skład Krasnojarskiego Kraju byłego Związku Radzieckiego. Obecnie republika Chakasja ze stolicą miastem Abakan. Położona jest w centralnej części kontynentu azjatyckiego, w Kotlinie Minusińskiej od nazwy miasta Minusińsk. Samo miasto Minusińsk nie leży w granicach Chakasji, leży na prawym brzegu rzeki granicznej Jenisieju. Na stosunkowo niewielkim obszarze, zaledwie 61,9 tyś. km<sup>2</sup> zalegają malownicze pod względem przyrodniczym kompleksy obejmujące ekosystemy od półpustyń, stepów, lasostepów, do wysokogórskich alpejskich łąk i tundr. Góry pokrywają 2/3 obszaru Chakasji. W części zachodniej Republiki rozciągają się góry Ałtaju Kuźnieckiego, którego szczyty osiągają 1700-2000 m.n.p.m. Najwyższy szczyt, góra Wysoki Ząb ma wysokość 2178 m. Południową część obramowują góry Sajanu Zachodniego, którego oś grzbietowa znajduje się na wysokości powyżej 2500 m.n.p.m. Nawet w środku lata widoczne są miejscami białe śniegowe czapy. Między górami

znajdują się obszerne kotliny z urodzajnymi glebami, dobrymi pastwiskami i sianokosnymi łąkami. W takich właśnie kotlinach zostały rozmieszczone owe gospodarstwa rolne Kołchozy i Sowchozy, do których były kierowane nasze rodziny. Ostry kontynentalny klimat z małośnieżną zimą i gorącym latem pozwala na zasiew różnych gatunków zbóż i upraw hodowlanych.

W stepowej części Chakasji, miejscami prawie półpustynnej znajduje się wiele luźno rozrzuconych jezior. Wśród nich szereg jezior słonych. Kotlinowe położenie Chakasji pozwala na zasilanie jezior wodą z otaczających gór. Płytkie słone jeziora są wynikiem dużego parowania wody z ich powierzchni co jest charakterystyczne dla klimatu kontynentalnego. Duża liczba rzek i jezior jest zasobna w wiele gatunków ryb. Największe rzeki to Jenisiej, Abakan, Czującym, Tom. 40% terytorium Chakasji pokryte jest lasem zwanym tajgą. Tajga od wielu wieków była karmicielką tak dla człowieka jak i wszelkiej fauny w niej żyjącej. Tajga obfituje w wiele gatunków roślin. Wśród roślinności kwiecistej szczególnie wyróżnia się w okresie wiosennym jaskrawy ognik zwany „żarok”. Kwiat ten stał się emblematem Chakasji. Wiosną łąka wygląda jak dywan utkany z czerwonej tkaniny. Tajgę zamieszkuje bogactwo wszelkiej zwierzyny, od niedźwiedzi poprzez łosie, jelenie, sobole, lisy, gronostaje, rysie, wilki, bobry, zające, wiewiórki, chomiki, susły oraz charakterystyczne małe pasiaste zwierzątko burunduk. Występuje mnóstwo węży, żmij i innych gadów oraz wielka różnorodność ptactwa. Do życia w warunkach tajgi przez wieki przystosowywali się ludzie tego obszaru. Wygląd, odzież, zakwaterowanie, sprzęt gospodarstwa, sprzęt rybacki, myśliwski, sposoby połowów i polowań, życie z koniem od dziecka i samoobrona w tych surowych warunkach przyrodniczych to cechy rdzennego Chakasa.

Przeszość historyczna tego narodu jest również zadziwiająca. Naród ten przeżywał wzrosty i upadki. Ludność chakaska żyjąca na obszarach stepowych zajmowała się hodowlą zwierząt domowych, uprawą różnych gatunków zbóż. Żyli w gospodarstwach rodzinnych. Ludność zamieszkująca górskie rejony tajgi zajmowała się myślistwem i rybołówstwem. Zamieszkiwali w prymitywnych domostwach zwanych jurtami. W klimacie tego obszaru jurty w tajdze były budowane z drewna. Takie jurty już jako relikty spotykaliśmy po osiedleniu nas w tym terenie. Były to domostwa jednoizbowe o sześciu ścianach z bali drewnianych, łączonych na tzw. „jaskółczy ogon”. Bale były uszczelniane mchem. Jurty były bez okien. Miały drzwi wejściowe, dach ze ściętym stożkiem. Przez ten otwór wpadało światło, a z wnętrza wydostawał się dym z paleniska usytuowanego na środku izby. Podłoga to zwykle klepisko czasami pokryte skórą zwierząt. W ścianach były umieszczone drewniane kołki lub metalowe haki do zawieszania uprzęży końskich, strzelb myśliwskich, kozuchów itp. sprzętów. Rodziny myśliwskie budowały takie do-



mostwa po kilka obok siebie tworząc coś w rodzaju małej wioszczki zwanej aulem. Takie skupiska oddalone były od siebie zwykle nie więcej niż kilkanaście kilometrów. Żyjące w stepach rodziny pasterskie podobnie były rozmieszczane prowadząc gospodarkę hodowlaną bezzagrodową. W dalekiej przeszłości terytorium chakaskie było najeżdżane przez inne silniejsze plemiona azjatyckie. Dochodziło do wojen. Chakasi przez długie lata byli zawojowani przez Kirgizów. Przez przybywających w te strony obcokrajowców często byli nazywani Kirgizami. W czasach wielkiej ekspansji tureckiej na wschód, byli zawojowani przez Turków. Pod ich panowaniem znajdowali się około dziewięćdziesięciu lat.

Po rozpadzie Chanatu tureckiego w VI wieku pojawiła się możliwość usamodzielnienia się Chakasów i utworzenia samodzielnego państwa, którego największy rozwój nastąpił między VIII a XII wiekiem. Jako państwo feudalne rozwijało się przede wszystkim na gospodarce rolnohodowlanej, która z ekstensywnej rozwinęła się do gospodarki intensywnej. Wspecjalizowały się grupy Chakasów zajmujących się rzemiosłem. Rzemiosło oddzieliło się od rolnictwa. Powstawały osady rzemieślnicze, które z czasem zamieniły się na miasta. Zaczął rozwijać się handel wewnętrzny i zewnętrzny, własna kultura i piśmiennictwo. Chakasi zaczęli prowadzić handel z innymi krajami środkowej Azji, nawet z Chinami. W okresie między IX a X wiekiem doszło do największego rozwoju tego feudalnego państwa mającego od 1,5 do 2mln ludności. Pod koniec XII wieku zapoczątkowany proces feudalnego rozdrobnienia powodował osłabienie państwa chakaskiego, a w roku 1207 wielka armia mongolska zawładnęła Chakasją i spustoszyła młode państwo chakaskie. Znaczna część ludności została wysiedlona do Mongolii i Mandżurii i innych rejonów Azji. Państwo chakaskie przestało istnieć, a przesiedlana tu ludność innojęzyczna spowodowała znaczne mieszanie narodowościowe. Na początku XVIII wieku obszar Chakasji wszedł we władanie carskiej Rosji. Do już wymieszanego pod względem narodowościowym, językowym, kulturowym, rasowym, obyczajowym narodu zamieszkiwanego w Kotlinie Chakasko-Minuskiej do czasów carskich, dołączyli uciekinierzy chłopci pańszczyźniani szukający schronienia przed swoimi feudałami, zesłania okresu carskiego w ten rejon, a w czasie II wojny światowej zsyłki okresu stalinowskiego, w tej grupie setki rodzin polskich.

W takich warunkach geograficzno przyrodniczych i z taką przeszłością historyczną narodu chakaskiego mieliśmy spędzić jak się okazało najbliższe pięć lat. Tymczasem wiozą nas w nieznaną dla nas miejsca osiedlenia. Jest druga połowa lipca 1941 roku. Wtedy miałem siódmy rok życia, szczegółów z tego okresu nie sposób przypomnieć. Opisuję tylko to co zostanie mi w pamięci z tych lat prawdopodobnie do końca życia. Oddalając się od Abakanu nasz transport kołowy o zaprzęgach konnych kierując się na południowy zachód wjechał w obszar stepu. Dookoła pustka. Ziemia spalona słońcem, gdzie nigdzie niskie żółkłe trawy.

Droga, którą nas wiozła Chakasi to zwykły piaszczysty trakt to też i jazda jest monotonna. Konie idą powoli. Być może woźnicy wiedzą jaka jest odległość od jednego do drugiego postoju i wiedzą kiedy i gdzie będzie najbliższy odpoczynek koniom i ludziom. Nasi rodzice uznawali, że woźnicy nie oceniali odległości w kilometrach lecz według położenia słońca nad horyzontem, tzn. od najniższego rano, najwyższego w południe i znowu do najniższego wieczorem. Tak było rzeczywiście, mniej więcej w takich odcinkach czasowych dojeżdżaliśmy do miejsc zasiedlonych w stepie. Czasami były to prymitywne osady pasterskie, położone w pobliżu jeziora z bujniejszą roślinnością gdzie odbywał się wypas bydła w okresie letnim. Zatem i chaty były prymitywne, służące za schronienie dla rodzin pasterskich. Przy takich osadach woźnicy zatrzymywali konie pozwalając nam rozprostować członki a koniom na popas.

W takich warunkach rozpoczęły się nasze pierwsze kontakty z tubylczą ludnością. Byli to bądź rodowici Chakasi, bądź innego pochodzenia azjatyckiego zasymilowani z Chakasami. Ponieważ każdego z nas dręczyło pragnienie picia, każdy biegł w stronę wody by się napić, umyć, ochłodzić, a korzystając z ognia u pasterzy sporządzić posiłek. Zdarzało się, że takie pasterskie osady znajdowały się przy jezioru ale woda była ku naszemu zdziwieniu słona co wywoływało u tubylców śmiech kiedy widzieli nasze zdziwione oblicza. Wodę dla swoich potrzeb i pojenia bydła czerpali z prowizorycznych kopanych studni. Chętnie zapraszali nas do wnętrza swoich jurt (w tym przypadku z filcu), gdzie naszym oczom ukazywały się sprzęty gospodarstwa domowego najczęściej własnego wyrobu. Z drewna, kory, z łyka. Drewniane ładnie zdobione miski, łyżki, kubki, z kory pojemniki, z łyka kapcie. Części odzieży ze skór, a częściowo z tkanin. Uprząż dla koni ze sznurków, siodła ze skór, filcu itp. prymitywnych dostępnych w terenie materiałów. Często w kącie takiej izby stał skórzany worek napełniony kobyliim mlekiem zwanym kumysem, którym częstowano ciekawych przybyszów. Porozumiewano się przede wszystkim w języku rosyjskim, często na migi. Nasi rodzice odnosili wrażenie, że poza obszarem ich urodzenia i zamieszkania o innych krajach oprócz Rosji niewiele wiedzieli. Próbowali dowiedzieć się co my za jedni, skąd przybywamy, ale nasze zwierzenia niewiele im dawały. Nasz wygląd, ubrania, mowa i sposób bycia budził w nich zdziwienie i ciekawość.

Takich i większych osad spotykaliśmy więcej po kilkugodzinnej jeździe od jednego do drugiego postoju po tej stepowej „patelni”. Jadąc wciąż w kierunku południowo zachodnim w oddali widoczne były masywy górskie, do których powoli zbliżały się nasze wozy. W miarę upływu czasu naszej podróży krajobraz się zmieniał. Z typowo stepowego przechodził w lasostep, a dalej lasy podgórskie i góry pokryte bujnym drzewostanem. Droga wiodła wzdłuż podnóża gór widocznych z lewej strony. Mieszkając w Polsce na obszarze, gdzie w krajobrazie dominowały jeziora, rzeki i lasy góry te robiły na nas ogromne wrażenie. W niektórych miejscach były to

wysokie skaliste ściany, w innych ich wierzchołki ukazywały się jakby pojedyncze wieże w znacznych odstępach jedna od drugiej. Jeszcze w innych stały jakby posągi lub skalne maczugi. Całość tych cudów natury w większości pokryta była bujnym drzewostanem. Niektórzy, pomimo trudów podróży zdobyli się na dowcip mówiąc, że wiozą nas tam, gdzie „diabeł mówi dobranoc”. Z daleka, w tym ogromie górskim nie sposób było dopatrywać się obszernych kotlin, o płaskich dnach. Nikomu z naszych rodzin nie przychodziło do głowy, że takie twory natury wśród tych gór mogą się znajdować, a w nich mogą być rozmieszczone gospodarstwa rolne zwane kołchozami i sowchozami. Jak się okazało były to miejsca naszego osiedlenia. Do jednego z takich kołchozów dowieziono nasze augustowskie rodziny. Był to kołchoz o nazwie „Arges Stalin” w Askizkim Rejonie Chakaskiej Obłosti Krasnojarskiego Kraju.

W tym kołchozie osiedlono osiem rodzin deportowanych z Augustowa. Były to rodziny; Harasimów, Kotarskich, Kozucharów, Dmochowskich, Magierów, Godlewskich, Strzałkowskich oraz moja siedmioosobowa Skirgajłów. Był to kołchoz specjalizujący się w uprawie zbóż, czyli kołchoz „ziarnowod”. Miał on wygląd dobrze zorganizowanej wsi. Kołchoz to odpowiednik spółdzielni produkcyjnej w Polsce ludowej. Widocznie byłych gospodarzy indywidualnych zrzeszono w kołchoz i musieli produkować przede wszystkim dla państwa i na swoje utrzymanie. W tym kołchozie wszystkie domostwa były zamieszkałe przez tubylców toteż przyjęcie do zakwaterowania ośmiu wielodzietnych rodzin stanowiło poważny problem. Tymczasowo zakwaterowano nas tam gdzie to było możliwe. Ponieważ była to pora letnia mężczyźni i starsza młodzież za pomocą kołchozowych narzędzi takich jak piły, siekiery, strugi itp. spręcnie ciesielskim postanowili dobudować znanym swoim sposobem, na wzór tutejszy domostwa żeby móc mieszkać samodzielnie. Budulca w tajdze nie brakowało, szybko dogadali się z władzami kołchozu i rozpoczęli pracę przy przygotowywaniu materiału do budowy. Praca w kołchozie przebiegała na dwóch frontach tzn. w polu przy zbiorze zbóż i innych płodów rolnych oraz przy budowie domostw.

Z końcem lata i na początku jesieni dorastający chłopcy szykowali sobie ziemianki do zamieszkania zimą. Kołchoz zaopatrywał w podstawowe środki do życia, a był to dopiero rok 1941, jeszcze gospodarka państwowa nie była tak bardzo obciążona dostawami dla armii jak to miało miejsce w następnych latach. Jeszcze w tym czasie niedziele były wolne od pracy w tych działach, gdzie nie musiano pracować. Jak na większości obszaru Rosji radzieckiej tak i tutaj nie było czynnych kościołów ani kaplic więc mężczyźni uzbrajali się w pałki i szli w góry na spotkanie z gadami. Po powrocie chwalili się tym kto ile zabił żmij i węży. My dzieci bawiliśmy się szmacianą piłką lub organizowaliśmy inne zabawy. Pamiętam, że w dniach pracy kiedy rodzice i starsza młodzież szła do pracy dzieci były oddawane pod opiekę dorosłych. Otrzy-

mywały posiłek i pozostawały do czasu powrotu rodziców z pola. Po zbiorach pamiętam, że kierownictwo kolchozu dawało tzw. przydział poszczególnym rodzinom w zależności od wypracowanych dni. Był to przydział w zbożu, ziemniakach, naliczano mleko, mięso itp. dobra kolchozowe. Pamiętam, że przy jednej z zagród przy bramie stało kilka pni z pszczołami. Dosłownie pni. Były to ucięte na pewnej wysokości drzewa w których znajdowały się pszczoły dziko żyjące. Przejeżdżający wozak, który odbierał mleko od gospodarzy zawadził wystającą osiową drewnianych kół o jeden z pni i wywrócił go. Wylatujący rój z pnia obsiadł konia. Wozak uciekł. Od pożądeń pszczoł koń upadł i w krótkim czasie zdechł. Ludzie oganiając się kto czym mógł pozamykali się w domostwach i nie wychodzili do wieczora. Dopiero pod osłoną nocy uporano się z pszczołami.

Chociaż był to obwód chakaski, jak wiadomo z przyczyn historycznych zamieszkiwała różna narodowość, a władzę stanowili Rosjanie. Tak było i w tym kolchozie. Ciężkie prace polowe, nakładane duże normy, mała ilość rąk do pracy, prymitywny sprzęt rolniczy, brak nawyków do prac rolnych i trudne warunki mieszkaniowe spowodowały, że z początkiem zimy, kiedy dotarła wiadomość, że potrzebni są robotnicy do pracy w kopalni, niektóre rodziny w tym i moja zdecydowały się na wyjazd. Zima z roku 1941 na 1942 była śnieżna i mroźna. Przydzielono sanie zaprzężone w konie i ruszyliśmy w drogę. Tej karkołomnej podróży także nie sposób zapomnieć. Żeby dojechać do miejsca przeznaczenia w warunkach zimowych tak człowiek jak i koń tylko tak zżyty z przyrodą tego regionu geograficznego może dokonać. Nie drogi wiodły do celu bo ich nie było. Wszystko było równo zasypane śniegiem. Znana była tylko strona świata, wyczucie woźnicy i przystosowanie konia do poruszania się w takich warunkach. Sanie były niskie, rozłożyste. W miarę, na jedne sanie lokowała się jedna rodzina. Część członków jednej większej rodziny sadowiła się z rodziną mniejszą. Rozpoczęła się podróż łądem i wodą tzn. po śniegu, pod którym miała być droga i zamrożniętymi rzekami, których bieg był zgodny z kierunkiem jazdy. Jadąc łądem konie grzęzły w śniegu, to znów kiedy wydostawały się na bardziej twardy teren i przyspieszały biegu sanie trafiały na ukryty pod śniegiem pień lub głaz, przewracały się. Wszyscy z całym bagażem wysypywali się.

Innym razem to samo gdy koń i sanie wpadały w wypełniony śniegiem dół. Ile razy takie sceny powtarzały się w ciągu całej podróży nie sposób spamiętać. Lepiej się jechało gdy woźnica trafiał na rzekę której koryto było zgodne z kierunkiem jazdy. Po lodzie była łatwiejsza podróż. Dotarliśmy do rejonu kopalń. Prawdopodobnie były to kopalnie złota. Przyspieszone jego wydobywanie miało służyć splotom za dostawę sprzętu wojennego. Kiedy wyładowaliśmy się z sań zziębnięci i przerażeni podróżą byliśmy zadowoleni, że dotarliśmy do celu. Po wejściu do baraku ujrzałem rozlokowanych na podłodze po kątach leżących, śpiących w różnym

wieku mężczyzn. Na środku pałacy się piec o długiej rurze rozgrzany do czerwoności, od której ciepło rozchodziło się po całej sali baraku z nieuszczelnymi oknami. Przy jednej ze ścian rozlokowały się nasze rodziny. Naprędce zagotowało się wodę do picia i rozgrzania, przygotowało się coś do jedzenia. Ponieważ było już późno wieczorem przespaliśmy się na tobołkach rozłożonych na podłodze. Rano mężczyźni zrobili rozeznanie. Okazało się, że owszem przyjmą do pracy ale tylko samych mężczyzn, bez rodzin gdyż kobiety i dzieci w kopalni nie są potrzebne i nie ma miejsc do zakwaterowania. Kierownictwo zdecydowało, że trzeba wracać ale nie do tego samego kołchozu lecz do pobliskiego sowchozu Sowchoz to odpowiednik PGR-u czyli państwowe gospodarstwo rolne. Po dwóch dniach pobytu w baraku przydzielono konie i zawieziono do bliżej położonego sowchozu o specjalności w hodowli bydła rogatego, „skotowodu”, jego filii czwartej farmy, w tym samym askizkim rejonie czyli powiecie.

Centrala tego kompleksu hodowlanego znajdowała się o kilkanaście kilometrów od miejsca naszego nowego osiedlenia trzech polskich rodzin. Oprócz naszej siedmioosobowej rodziny była rodzina ośmioosobowa Falickich i trzyosobowa, matka z córką i synem Organistów. Był to początek roku 1942. Początkowo zostaliśmy rozlokowani po różnych domach przy rodzinach tubylców, z których mężczyźni poszli na wojnę. W późniejszym okresie pobytu w tym sowchozie zamieszkaliśmy w jednym domu przy czym większa rodzina Falickich w jednej izbie, a nasze dwie rodziny razem w innej izbie tegoż domu. Inne farmy tego sowchozu były rozlokowane wokół centrali w odległości kilkunastu do kilkudziesięciu kilometrów. W centrali, jak i w jej pozostałych farmach było osiedlonych po kilka polskich rodzin z powiatu augustowskiego. O ile w krajobrazie kołchozu wokół wsi widoczne były pola uprawne o dużym areale, a góry pokryte tajgą widoczne były w oddali, w miejscu położenia tej farmy sowchozowej góry i lasy dość ciasno opasywały gospodarstwo. U podnóża gór nad rzeczką pobudowanych było kilkanaście drewnianych domostw z bali poprzetykanych mchem. Wewnątrz wprawdzie ściany i sufity były pobielane ale bez tynków. Widać było, że rejon ten został zagospodarowany niedawno, gdyż tu i ówdzie spotykane były jeszcze chakaskie jurty, jako relikty niedawnej przeszłości tego regionu. Były one wykorzystywane w porze letniej. Osiedlona tu mieszanina narodowościowa, przede wszystkim Chakasi, Białorusini, Ukraińcy, Rosjanie, nasze trzy polskie rodziny, jedna samotnie już mieszkająca Polka z zesłania okresu carskiego oraz jedno małżeństwo pochodzenia czerkieskiego. Cała liczebność ludzka tej farmy nie przekraczała czterdziestu do pięćdziesięciu osób. Mężczyźni i młodzież męska w wieku poborowym odeszła do wojska na wojnę z Niemcami. Do utrzymania dość licznego stada bydła rogatego w liczbie około trzystu sztuk i wszystkich prac z tym związanych, a także cieląt, przygotowania paszy, bydłu i koniom przeznaczonym do obsługi farmy pozostała siła robocza w osobach starszych, kobietach i

dzieciach, zamieszkujących w skrajnie urągających warunkach bytowych. Zimą Chakasi podobnie jak i inni osiedleńcy mieszkali w domach sowchozowych. W mieszkaniach oprócz pieców, w niektórych prowizorycznych prycz służących za łóżka, ław z niewygładzonych desek, innych mebli nie było. Spało się na tych łózkach – pryczach lub bezpośrednio na podłodze na sienniku lub na wiązce rozłożonej słomy przykrytej jakąś derą lub kocem, u niektórych rodzin szczególnie chakaskich skórami pochodzącymi z polowań.

Mieszkający tutaj Chakasi zajmowali się myślistwem zanim władza radziecka nie zmieniła im zawodu. Domy mieszkalne były pobudowane wzdłuż piaszczystej drogi po jednej stronie, a po drugiej budynki gospodarskie szczytami ustawione do drogi. Były to kilkudziesięciometrowej długości obory. Rozmieszczone były w odległości kilkunastu metrów jedna od drugiej. Przestrzenie je dzielące były ogrodzone żerdziami. Od jesieni do wiosny przetrzymywano w nich bydło, konie i inny inwentarz żywy. Osobno starsze osobniki, osobno cielęta w tzw. cielętnikach. Mniejsze budowle służyły za chlewnię, magazyny na zapasy zimowe dla zwierząt i ludzi. Był też młyn wodny, piekarnia, sklep, kuźnia. W pobliżu rzeki znajdowała się łaźnia zwana banią. Było też pomieszczenie przeznaczone na świetlicę oraz budynek administracyjny w którym mieściła się kancelaria zwana kantorą. W pobliżu domów znajdowały się wychodki z wykopanymi dołami ogrodzone deskami. Nad całością życia i pracy tej niewielkiej wspólnoty i inwentarza żywego czuwały przysyłane z centrali osoby funkcyjne. Byli to: „predsedaciel”, czyli przewodniczący farmy, „polewod” czyli brygadzysta, weterynarz, księgowy i obowiązkowo politruk. Była to zwykle pięcio- lub sześćosobowa załoga. Co pewien czas z rejonu czyli z powiatu przyjeżdżały osobistości ze specjalnymi instrukcjami lub by przeprowadzić wywiad o nastrojach politycznych panujących w tym różnonarodowościowym środowisku. Na początku roku 1942 do pracy na farmie było więcej rąk zdolnych do pracy w tym znaczna ilość mężczyzn. W kolejnych miesiącach ubywało mężczyzn z powodu poboru do wojska i na wojnę. Pozostawali najstarsi mężczyźni, kobiety, młodzież i dzieci. Na nich spływał obowiązek wykonywania norm produkcyjnych.

Z miesiąca na miesiąc żyło się gorzej. Trzeba było sprostać wszystkim obowiązkom. Początkowo każda zdolna do pracy osoba miała przydzieloną funkcję. Były dojarki, pastusi, wozacy, koniusi, świniarze, oborowi i inne specjalności. Mój ojciec należał do grupy cieśli a mama była odpowiedzialna za hodowlę cieląt. Praca była ciężka, od świtu do nocy. Wykonywane normy były przeliczane na pieniądze, za które czasami można było coś kupić w sklepiku ale w następnych latach to przeliczanie nie miało żadnego znaczenia, gdyż nic nie można było kupić. Nie dostarczano żadnego towaru a chleb, na który nie raz trzeba było czekać po dwa, trzy dni otrzymywano w sklepiku według wykonywanej normy i w zależności od liczby osób w rodzinie. Zapisywano na papierku pobierano bez pieni-

dzy, za pracę. Początkowo dzienna norma chleba na pracującego wynosiła 600g, a na niepracujących 300g. Później po 500 do 300g na pracującego i 150g dla niepracujących. W końcowych latach naszego pobytu zdarzało się, że zimą trzeba było na ten przydział czekać po kilka dni przymierając głodem. Gospodarka radziecka charakteryzowała się specjalnością gospodarstw, a polegało to na tym, że jedne gospodarstwa produkowały np. zboża „ziernowody”, inne hodowały bydło „skotowody”, jeszcze inne owce „owcowody” itd. Toteż następował przydział, wymiana. Jednym przysyłało się ziarno na chleb, innym mięso i przetwory mleczne itd. Najwięcej szło w głąb Rosji, do miast i na front, a ludność kolchozów i sowchozów musiała obejść się resztkami. Wszystko było pod ścisłą kontrolą władzy. Zawiadamiano z centrali, że przydzielono dla danej farmy zboże. Wysyłano sianie o zaprzęgu konnym po zaśnieżonych drogach. Przywożono worek pszenicy, worek lub dwa jęczmienia, żyta, tyleż owsa. Żeby upiec potrzebną ilość chleba wszystkie zboża zmielano razem na mąkę. Piekarz z młynarzem nie raczyli nawet przesiać tej mąki, żeby waga była wyższa, bo częściej zatrzymywali sobie i dla władzy.

Z takiej masy towarowej pieczono chleb. Chleb jeszcze w piecu a matki już w kolejce przed sklepem bo dzieci od kilku dni bez kawałka chleba. Kiedy chleb dostarczono do sklepu jeszcze ciepły, jeśli którejś rodzinie przypadł cały bochenek to kobieta mogła donieść do domu w całości wychładzając po drodze. Jeśli którejś wypadło, że trzeba było w sklepie przekroić wówczas w ręce pozostawała skóra a zawartość z wnętrza się wylewała. Po prostu poszczególne rodzaje mąki i to nieprzesianej nie stanowiły zwartej konsystencji. W domu bochenka chleba nie można było pokroić na cieńsze kromki tylko na grube kawały. Z tych pająd wystawały plewy jakby ktoś trzymał w ręku jeża. Jadło się łapczywie popijając przegotowaną wodą z przerębli rzeki lub roztopionego śniegu. Podobnie przedstawiała się sprawa z wszelkiego rodzaju zaopatrzeniem. Żle zakopcowane jesienią ziemniaki przemarzały w kopcach. Po rozkopcowaniu w środku zimy przydzielano zmarznięte w kilogramach w zależności od wielkości rodziny. Po rozmarznieniu w domu wyglądały jak kwacze, jak zmoczone niewyciśnięte ścierki. Trzeba było je ugotować i spróbować zjeść bo żołądek się domagał. Sytuację pogarszał brak soli. Pamiętam, jak pewnego razu po ugotowaniu takich ziemniaków, przy braku soli nie można było ich przełknąć. Po prostu chciało się wymiotować ale nie było czym. Mama znalazła jedną małą cebulę, którą pokroiła na drobno i włożyła do miski z przegotowaną wodą i wówczas popijając tę wodę z cebulką przełykało się ugotowane ziemniaki. Sztuki bydła lub trzody chlewnej zabierano żywcem do centrali. Pracownikom farmy nie wolno było przeznaczyć do podziału. Pewnej zimy wozacy wieźli siano przydzielone z innej farmy, dwoma saniami o zaprzęgach konnych. Konia z drugich saní woźnica przywiązał do pierwszych a sam przesiadł się na przednie prowadząc rozmowę z kolegą. Na pewnym odcinku droga wio-

dła po pochyłości zbrocza górzystego. Tylne sanie zsunęły się pociągając konia w przepaść. Koń zabił się. Jaka była radość z podzielonego wśród mieszkańców mięsa. Nam przypadło dwa kilogramy. Opiekaliśmy na płycie kuchennej, a mama dzieląc na drobne kawałki przechowywała na mrozie na kolejne dni. Z niedożywienia szerzyły się choroby, ludzie umierali. Podobny los spotykał zwierzęta hodowlane, bydło, konie. Zdarzało się, że każdego tygodnia zimową porą wywożono jedną lub dwie sztuki padłe z obory. Uznawane za chore nie nadawały się do spożycia. Wywożono je i wrzucano do wąwozu w górach na pożarcie wilkom, które nocą podchodziły pod same domostwa.

Z takich okazji korzystali Chakasi. Zabierali polana drew, szli do wąwozu, rozpalali ognisko, wycinali najlepsze części i ucztowali. Wierzyli, że padłe zwierzęta są wartościowsze od zabitych przez człowieka. Takie sceny z życia zwierząt i ludzi powtarzały się każdej zimy. Opisując powyższe wybiegłem nieco do przodu. Tymczasem nadeszła wiosna 1942 roku. Nasze rodziny zastanawiały się jak nam przyjdzie przeżyć następne pory tego roku i być może następnych lat. Ile ich będzie? Te trudne warunki życia skromnej sowchozowej społeczności powodowały, że stawała się ona jedną wielką rodziną. Nasze polskie rodziny co prawda na początku się wyróżniały. Pochodziliśmy z Zachodu, byliśmy lepiej ubrani i jeszcze mieliśmy coś z tego co przywieźliśmy w podręcznym bagażu. Kusilo to tubylców, a przede wszystkim chakaskie kobiety. Pamiętam jak na widok jakiegokolwiek części damskiej odzieży, sukienki, spódnicy, bluzki czy chusty w kwiaty czy groszki jak im te skośne oczy i płaskie twarze uśmiechały. Przychodziły, oglądały i prosiły żeby im sprzedać. Mówiły w języku rosyjskim „chazajka prodajcie, skolko wiedziorok kartoszki za etu jubku chotitie?”. Po polsku to: „gospodyni sprzedajcie, ile wiaderek kartofli za tę spódnicę chcecie?”. Gotowe były oddać ostatnie kartofle za część damskiej garderoby żeby wyglądać po europejsku. Dzieliliśmy się z nimi tym co mieliśmy. Zawiazywały się przyjaźnie. Widząc taki stan rzeczy odpowiedni „funkcyjni” musieli przekazać to do centrali. Z centrali przyjechali przedstawiciele władzy. Zebrali miejscową ludność w świetlicy i uświadamiali ich, ostrzegali przed kumanieniem się z Polakami, tłumacząc im, że jesteśmy burżujami i odwiecznymi wrogami ich ojczyzny. Te ich wywody nie przyniosły pożądanego skutku. W następnych latach staliśmy się takimi samymi nędzarami jak tubylcy z tą tylko różnicą, że oni byli bardziej zżyci z przyrodą i łatwiej im było wydrzeć przyrodnicze środki do życia. Myśmy się dopiero od nich uczyli.

Jednym z przykładów niech będzie fakt, kiedy jeszcze przejściowo mieszkaliśmy osobno w chacie na skraju sowchozu, w środku mroźnej zimy, w południe do chaty zbliżyła się chakaska kobieta. Lat może około czterdziestu, niedużego wzrostu o czarnych, długich włosach zaplecionych w kilka cienkie warkocze zakończone wplecionymi carskimi mone-



tami. Miała na sobie kozuch w ładne wzory i o dość dużym dekolcie co uwydatniało śniade ciało. Uzbrojona była w strzelbę myśliwską przewieszoną przez plecy, w ręku długi drążek zakończony metalowym grotem. Na nogach miała buty uszyte ze skóry zwierzęcia sierścią do środka po chakasku nazywane „sagiry”. Miała krótkie, szerokie narty podbite skórą kozicy, sierścią skierowaną do tyłu. Pozwalało to gładko zjeżdżać z góry i ułatwiało podchodzenie pod górę bez kijów. Na długich linkach ciągnęła za sobą sanki. Przed chatą zdjęła cały ten ekwipunek. Po wejściu do wnętrza pozdrowiła nas i poprosiła o „kipiatok”, czyli gorącą wodę do napicia się. O herbatę nikt nie pytał bo jej nie było. Zdumiał nas taki strój w środku zimy, a jeszcze bardziej ten ekwipunek. Na pytanie dokąd i po co zmierza odpowiedziała wprost „w tajgu na niedzwiedzia”. Na pytanie po co ten drążek zakończony grotem odrzekła „gdybym strzałem zraniła niedzwiedzia i nie zdążyła przeładować strzelby wówczas tym grotem musiałabym go dobić”.

Takich i podobnych przykładów borykania się człowieka z przyrodą przeżyliśmy wiele i sami musieliśmy się nauczyć by przeżyć następnych kilka zim. Od samego początku zamieszkania w tym rejonie zauważyliśmy, że mieszkańcy całymi dniami coś żują. Okazało się, że w tym bogatym drzewostanie porastającym góry jest dużo modrzewia. Wypreparowana z wnek po sękach żywica, oczyszczona i rozgrzana w jamie ustnej staje się miękka i elastyczna, upodabnia się do gumy. Takie przeżuwanie i uelastycznianie pozwala rozciągnąć ją na kilkanaście centymetrów od jamy ustnej. Żującemu daje fizjologiczne zadowolenie, oczyszcza zęby, pobudza ślinotok itp. Wypreparowywanie żywicy z kory przy pomocy pary w naczyniu dokonywano na większą skalę. Formowano na kształt kostek czekoladowych i handlowano w stepie, gdzie brakowało drzewostanu. W klimacie tego azjatyckiego regionu dość szybko następują po sobie pory roku. Z początkiem wiosny, kiedy słońce pozornie zaczyna podnosić się ponad góry, oświetlać i ogrzewać ich zbocza, wzrastająca temperatura powietrza powoduje szybkie topnienie śniegu i spływ wody do górskich potoków. Te do niżej położonych rzeczek. One przekazują wodę do rzeki Askiz, ta do rzeki Abakan, a ta do rzeki matki wielkiego Jenisiej. Szybko odstaniają się zbocza górskie i ożywia roślinność. Wśród tej najwcześniejszej roślinności tubylcy znajdują roślinkę o białym kwiatuszku, a w ziemi bulwę nieco większą od grochu. Nazywają ją „chlebinką”. Wykopują jakimkolwiek ostrym narzędziem z tej skalistej gleby, oddzielają od łodyżki, oczyszczają i zjadają na surowo. Jest to pierwszy poczęstunek wiosny.

W następnych tygodniach wiosny i latem oraz jesienią przyroda staje się gościnniejsza i umożliwia korzystanie z jej bogatych dóbr. W końcu kwietnia i w maju rośnie kandyk. Ma wyższą, kilkunastocentymetrową łodyżkę, a w glebie bulwę długości palca dorosłego człowieka. Zjada się ją na surowo, pieczoną w ogniu bądź gotowaną. Później, w le-

cie i jesienią, powszechnie występującą na łąkach rośliną o wysokiej, ładnie kwitnącej łodyżce i dość dużej bulwie w glebie jest saranka. Można ją spożywać na surowo, ale lepiej gotowaną. Wiosna obfituje też na podmokłych terenach w szereg innych roślin jadalnych. Wśród nich czeremcha, często zwana czosnkiem niedźwiedzim, przypominająca por. Łodyżki ucina się przy ziemi i jako chrupiące soczyste zjada. Wiązane w pęczki, występuje jako towar handlowy. Występuje szereg innych roślin jadalnych, takich, jak slizun, puczka i inne. Osobną rośliną spożywaną, rosnącą dziko jest czeremcha syberyjska. Jest to wysoko rosnący krzew w wilgotnej, wiosenno letniej glebie. Po przekwitnieniu daje owoce nieco większe od owocu porzeczki. Tymi owocami zajadaliśmy się do syta. Można je było suszyć, a zimą zemleć na mąkę i piec placki.

Wielką przyjemnością i pożytkiem było zrywanie z drzew cedrowych szyszek z orzechami. Rosły rozłożyste drzewa u podnóża gór, o długich, kiściastych igłach. Wśród nich szyszki wypełnione orzeszkami. Właziliśmy na te drzewa, napełnialiśmy torby szyszkami. Przynosząc w pobliże domostw, wkładając w żar rozpalonego ognista, łuski się rozchylały, umożliwiając wydobycie orzechów. Zjadało się na bieżąco i robiło zapasy na zimę. Można by wymieniać szereg innych roślin wyszukiwanych szczególnie jesienią, kiedy jeszcze nie było śniegu, a głód zmuszał do szukania wszelkiego pożywienia. Innym, obfitym darem przyrody były ryby potoków i rzeczek górskich. Łowiona na prymitywną wędkę ryba, zwana charjuz, odpowiednik lipienia, smażona na patelni, początkowo w małej ilości wody, szybko oddawała swój tłuszcz, w którym się dosmażała. Tubylcy wszelką rybę łowili w potokach górskich przy pomocy zmyślnie uplatanych z wikliny wężerzy, zwanych mordami. Były to wyplatane na kształt długiego worka zwężonego w tylnej części aż do zawiązania końców wikliny. W przedniej części wlot był zrobiony z grubych wręgów, do których ten niby worek był mocowany. Wewnątrz znajdował się mniejszy z wlotem, czyli mały w dużym. Potok się przegradzało wikliną, zostawiając wolne miejsce do wstawienia tego urządzenia otworem w dół potoku. Ryby przemieszczając się pod prąd wody napotykały na przegrodę, a szukając przepływu, trafiały do tego urządzenia, z którego nie mogły się wydostać. Takie urządzenie wstawiało się wieczorem, a rano wyjmowało, rozwiązywało się w tylnej części, ryby wysypywało do pojemnika. Często, szczególnie podczas tarła danego gatunku były obfite połowy. Wiosna i lato w tajdze dostarczały oprócz roślin jadalnych, różnych grzybów, jagód, również jaj ptasich i piskląt, po które sięgało się do dziupli i gniazd w pniach drzew. Zwierzyna leśna i ptactwo było domeną myśliwych. W tej dziedzinie żyjący w rejonie tajgi Chakasi specjalizowali się od wieków. Za skóry i mięso upolowanych zwierząt otrzymywali broń myśliwską, proch, śrut, kule. Z otrzymywanego ołowiu niektóre materiały wyrabiali sami. Na niektóre gatunki zwierząt, m.in. jelenie, sarny, sprytnie urządzali zasadzki. Polegało to na tym, że w pobli-

zu zagajników robili wysokie ogrodzenia z gęstego płotu, zostawiając otwarte wejście. Wewnątrz w ziemi robili dołki i wypełniali solą przeznaczoną dla bydła. Zwierzęta wchodziły do tego ogrodzenia zwabione zapachem i smakiem soli, a w pobliżu czatujący myśliwi zbliżali się do wejścia w ogrodzeniu i dokonywali odstrzału znajdujące się tam osobniki. Dla zaspokojenia podstawowych potrzeb życiowych ludność tubylcza miała się różnych sposobów, by jak najwięcej wydrzeć z przyrody, dzięki czemu łatwiej było przetrwać, a nieraz uratować życie własne i bliźnich.

Ta farma sowchozowa oprócz stałej bazy gospodarczej miała odległy około 10 km rejon letniego wypasu i gospodarowania. Położony był w wydłużonej dolinie o płaskim dnie, gdzie w najniższym położeniu płynęła rzeka, mające swoje źródła w górach. Po obu stronach rozległej doliny znajdowały się łąki i pola uprawne. Łąki wykorzystywano do zbioru siana i przygotowywano z zielonych traw silosy na zimę dla bydła. Za tymi obszarami znajdowała się tajga. W niej odbywał się wypas bydła. W oddali po obu stronach doliny rozciągały się pasma wysokich gór z wyraźnie zaznaczającymi się stromymi zboczami i wierzchołkami. Wysoko w kotłach nawet w lipcu i sierpniu zalegał ziarnisty śnieg. Dla obsługi inwentarza żywego pobudowano odpowiednie zagrody, szopy, cieleńniki, mleczarnie i kilka prowizorycznych domków dla pracowników. Nie wszyscy pracownicy mogli w tych domkach się pomieścić. Wielu musiało koczować na strychach cieleńników, w szopach. Miejscem zaspokajania potrzeb higienicznych była rzeczka ze swoją górską, zimną wodą. Ponieważ na wypas wypędzano wszystek żywy inwentarz, toteż zmuszona była wybyć cała obsługująca załoga. Do uprawy pól i zbiorów z łąk każdy, kto był zdolny do jakiegokolwiek pracy, w tym starcy i dzieci. Na miejscu pozostawali tylko chorzy i niedołęźni.

Przy pracach polowych, zasiewach, sadzeniu ziemniaków, koszeniu łąk, przygotowywaniu siana i silosów itp. organizowano tzw. brygady polowe. Ludzie w tych brygadach, podobnie jak i przy obsłudze inwentarza żywego pozostawali poza domem przez cały sezon. Do domów zaglądali czasami, aby obsłużyć pozostawionych chorych i niedołęźnych. W sezonie letnim, żeby obsłużyć tak wielkie stado i wykonać pozostałe prace tych kilkudziesięciu rodzin większości osób starszych, kobiet i dzieci nie wystarczało. Wszyscy pracowali od wczesnych godzin rannych do nocy. Wielu nawet w nocy. Każdy pracował przy wszystkim, żeby przygotować zapasy na zimę. Udój krów odbywał się trzy razy dziennie. Rano, w południe i wieczorem. Po rannym udoju pastusi na koniach pędzili bydło w tajgę na soczyste trawy, w południe przypędzali do zagród w pobliże domków i zlewni mleka na udój południowy i znowu na wypas. Po czym na udój wieczorny, a po wieczornym na wypas nocny. Zdarzało się często, że nocą wilki dopadały stado i zagryzały sztukę lub w wyniku interwencji pastucha, tylko okaleczały. Przypędzone stado na ranny udój miało kilka, przynajmniej jedną sztukę okaleczoną. Wetery-

narz miał pełne ręce roboty. Przy cielętach nocujących w zagrodach, na narożnikach zagród całe noce paliły się ogniska, a osoby odpowiedzialne, w tym moja mama lub starsi bracia co jakiś czas dokładali przygotowane za dnia bierwiona, żeby ogień nie wygasł do rana. Ognie nie pozwalały wilkom zbliżyć się do cieląt.

Pamiętam, jak pewnej nocy, kiedy pod podłogą domku, w którym na podłodze i na stryszku nocowało kilkanaście osób, w tym ja z mamą, gnieździła się sowchozowa świnia z prosiętami, przed północą usłyszeliśmy przeraźliwy kwik prosięcia. Kiedy rozespani ludzie wybiegli, ujrzeli uciekającą wilczycę z prosięciem na grzbiecie. Po raz drugi po północy obudził nas kwik prosięcia. Po raz trzeci nad ranem to samo. Kiedy pastuch przygonił bydło na poranny udój, powiedział, że widząc biegnącą wilczycę z prosięciem, zajechał jej drogę. Wilczyca skręciła w stronę rzeczki, przepłynęła na drugi brzeg i zbiegła do lasu, nie porzucając zdobyczy. Tej feralnej nocy farma straciła trzy prosięcia. Szkody w stadzie była zdarzały się każdego lata.

Mleko z udojów dostarczane do zlewni w większej masie było przerabiane, to znaczy przepuszczane przez urządzenie zwane centrifugą, gdzie oddzielano od mleka śmietanę. Śmietanę i część mleka w bańkach w latach 1944-1945 odwoził do centrali, czyli głównego sowchozu, pod który podlegała nasza farma numer 4 mój trzynastoletni brat Szczepan. Wyjeżdżał furmanką rano, a wracał wieczorem. Pozostałą część mleka i mleko przerobione przeznaczano do karmienia cieląt, którymi opiekowała się nasza mama. W tym czasie można było potajemnie skorzystać dla siebie. Kiedy mama z racji zatrudnienia musiała przebywać w rejonie letniego wypasu, ojciec i starszy brat Hipolit pracowali w brygadzie polowej. Ja z młodszym bratem Apolinarem przebywaliśmy z mamą, pomagając przy wypasie cieląt, a brat Szczepan, zanim skończył trzynaście lat pozostawał z chorą babcią w domu. Czasami tylko kontaktował się z nami. Zdarzało się, że obaj czasami pokonywaliśmy tę drogę łączącą farmę z miejscem letniego wypasu. Podziwialiśmy uroki tego olbrzymiego wąwozu, a czasami mieliśmy nieprzyjemne przygody. W godzinach rannych żmije, węże i inne gady pełzające, mające swoje kryjówki w górach, zdążyły ku rzece, a w godzinach popołudniowych wracały do swoich legowisk w góry. Przepelzając przez drogę, czasami w kilku miejscach i po kilka osobników, napędzały nam stracha. Mając ze sobą kije lub inne narzędzia, ubijaliśmy co niektóre i przynosiliśmy do domków demonstrując naszą odwagę. Przebywając w lecie u mamy podobnie jak inne dzieci, czasami pomagałem przy pilnowaniu pasących się cieląt, ich zaganianiu na noc do zagród i liczeniu, a także w poszukiwaniu zaginionych wśród gęstych wysokich traw. Nieraz trzeba było wejść na wysoki pień, żeby wśród traw dojrzeć grzbiety cieląt.

Pamiętam, jak ogarniała mamę rozpacz, kiedy ujrziała w trawie cielę wzdęte i zdychające z powodu zjedzenia nieodpowiedniej rośliny. Nie

pomagały interwencje weterynarza. Trzeba było sporządzać protokół i porządnie się tłumaczyć z niedopilnowania zwierzęcia. Takie przypadki zdarzały się często, szczególnie na początku sezonu letniego, kiedy zgłodniałe zwierzęta zanadto objadały się soczystą zieleniną. Nam chłopcom były i przyjemne chwile. Bywało, że kilka razy w tygodniu na osiodłanych koniach do rejonu letniego wypasu przyjeżdżała dwu lub trzy osobowa władza. Oddawali nam konie żeby pojechać do wodopoju napić lub wykapać konie. Wówczas, mając już osiem czy dziewięć lat, dosiadaliśmy i urządzaliśmy popisy umiejętności jazdy konnej. Były i takie momenty, kiedy i dzieci musiały pracować. Mając osiem, dziewięć lat wraz z innymi rówieśnikami, najczęściej z Chakasami pracowałem na koniu przy zwózce siana do stogów.

Praca polegała na tym, że dosiadaliśmy konie bez siodła. Siedziało się na luźno położonym na grzbiet konia kawałku filcu. Do orczyka doczepiano rozłożystą gałąź, podjeżdżało się do kopek siana, które kobiety drewnianymi widłami nakładały na tę gałąź, zwaną wołokuszą i wiozło się do miejsca formowania stogu. Przy stogu zawracało się konia, gałąź się przewracała, siano zostawało. Jechało się po następną porcję. Osoby starsze układały stóg. Zdarzało się, że starsi, lepiej zaprawieni w jeździe konnej, szybciej pogonili swoje konie, to i mój pobiegł szybciej. Luźny filc zsunął się z konia razem ze mną, a wołokusza przeleciała przez plecy. Wtedy nie było to do śmiechu. Te i podobne prace wykonywali ludzie zatrudnieni przy obsłudze inwentarza żywego, a mający czas jak dojarki między jednym a drugim udojem i inni pracownicy. Natomiast brygada polowa wykonywała prace w innym, odległym miejscu w tej szeroko dolinnej rynnicy, usytuowanej wzdłuż rzeki między górami. Pozostawali w swoim miejscu pracy przez cały sezon bez kontaktów z domem. Tam gotowano posiłki składające się najczęściej z kasz, nie zawsze zbożowych. Często były to kasze z ziaren jakichś dziko rosnących traw. Inne „pochlopki” czy „burlagi” z buraków, kapusty i przydziały chleba według norm. Jadło się to wszystko żeby żyć, ale nie wystarczało sił, żeby podołać narzuconym normom prac. W tamtym czasie, nie mając pojęcia o ekonomice nie zastanawiałem się nad tym, dziś zadaję sobie pytanie: dlaczego stogi siana i silosy sporządzano tak daleko od bazy zimowej, gdzie zwierzęta umieszczano na zimę? Czy nie lepiej było latem dowieźć siano i trawę do farmy i w pobliżu umieścić owe stogi i silosy? Żeby zimą nakarmić inwentarz żywy rankiem wysyłano najczęściej dwóch pracowników, starszych wiekiem Chakasów na saniach zaprzężonych w byki z kilofami do odkuwania silosów lub siana ze stogów oddalonych osiem do dziesięciu kilometrów. Przyjeżdżali wieczorem, przywożąc kopkę zgniłej trawy z silosu, tzw. kiszonkę i sanie siana, co absolutnie nie wystarczało na zaspokojenie zwierzęcego głodu. Dlatego często w ciągu tygodnia wywożono padłe sztuki bydła lub koni na pożarcie wilkom jako zdechłe z powodu choroby. Sezon letnich wypasów dla wielu

tubylców, szczególnie kobiet chakaskich tak mężatek, których mężowie poszli na wojnę, jak i panien, nie mogących na miejscu znaleźć partnerów, był okresem szczególnym. Będąc na letnim wypasie, nocowały gdzie się dało. Najczęściej na strychach obór, cielętników, na sianie tam znajdującym się. Kilkanaście kilometrów dalej wzdłuż doliny znajdowały się podobne wypasy należące do innej farmy. Wieczorami na koniach przyjeżdżali młodzi Chakasi z tamtej farmy. Konie zostawiali na łące na całą noc i na tych strychach baraszkowali do rana. Rano odjeżdżali do swoich stad. Czasami po północy lub nad ranem słychać było, jak starsze Chakaski konno, nieraz po dwie na jednym koniu wracały z innej farmy lub z aułów w pobliżu mieszkających Chakasów. Jadąc podchmielone samogonem, śpiewały swoje popularne przyśpiewki, np. „aja łader pajparader aja łader ajdider”. Czasami takie związki kończyły się zakładaniem rodzin lub rozpadem. Zawieranie małżeństw polegało na tym, że para zgłaszała w kancelarii chęć pobrania się, więc wpisywano ich do rejestru i stawała się nową rodziną. I odwrotnie, nie chcąc być ze sobą bez problemu byli wykreślani jako rodzina.

Już w roku 1942 były przypadki powrotów z wojny, bądź po pobycie w szpitalu, z powodu chorób lub trwale okaleczonych. Pod koniec pierwszej połowy tego roku na przewodniczącego farmy przysłano byłego żołnierza z urwaną ręką. Poprzedniego przewodniczącego odwołano. Być może nowy przewodniczący otrzymał jeszcze inne zadanie. Fakt, że zdarzyło się w naszej rodzinie, że w dniu ósmego lipca przyjechało samochodem do farmy trzech przedstawicieli władz bezpieczeństwa. Udali się na pole, gdzie odbywały się żniwa, polecili mojemu ojcu, żeby udał się do domu i przygotował do podróży do powiatu. Oznajmili „w przypadku próby ucieczki zabierzemy żonę”. Ojciec nie wiedząc o co chodzi liczył się z tym, że po wyjaśnieniach władz powiatowych wróci do rodziny. Niestety, już nigdy nie wrócił. Pozostaliśmy bez ojca i bez jakichkolwiek wiadomości o przyczynach zatrzymania, pod opieką matki i dorastającego brata Hipolita. Do tej pory życie było ciężkie, stało się jeszcze cięższe.

Jesienią tego roku do kolchozów i sowchozów, aż do Chakasji przysyłano rodziny osób zajmujących wysokie stanowiska we władzach państwowych w Moskwie i rodziny wyższych oficerów. Do naszej farmy przysłano pięć takich rodzin. Były to kobiety z dziećmi. Jedna z rodzin miała w stanie rozłożonym rower. Do jego złożenia zabrał się mój brat Hipolit. Jakaż radość była wśród tubylców, starszych i dzieci kiedy zobaczyli, że można jeździć na dwóch kołach. Dotykali, obmacywali i prosili brata, żeby ich podwiózł, za co bardzo dziękowali. Z jedną z dziewczyn z przybyłych rodzin starszą o trzy lata zaprzyjaźniłem się. Często spędzaliśmy czas razem z innymi dziećmi. Prawdopodobnie po odstąpieniu Niemców z pod Moskwy rodziny te odjechały. Przyszła następna zima. Jak mówili starsi „chłodno, głodno i do domu daleko”. Nadszedł rok

1943. Do tej głuszy leśnej wśród gór, gdzie ani elektryczności, ani radia, ani prasy czy jakiegokolwiek wiadomości ze świata nie docierają, dotarła wreszcie wiadomość pocztą łańcuszkową. Złożyły nam wizytę dziewczęta przysłane z centrali. Tam było więcej polskich rodzin i łatwiej było o jakiegokolwiek wiadomości. Dowiedzieliśmy się, że istnieje jakiś Związek Patriotów Polskich, który stara się pomóc Polakom zesłanym w głąb Rosji i że ważną rolę odgrywa w tym związku Wanda Wasilewska.

Osoba ta była znana naszej rodzinie. Kiedy przed wojną pracując w Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie i zajmując się pisarstwem, jako starsza panna często przyjeżdżała na Pojezierze Augustowskie. Utało się powiedzenie, że odkryła augustowszczyznę dla Związku Nauczycielstwa. W tym czasie mój najstarszy brat Witold w wieku już dojrzałym był elewem w orkiestrze wojskowej w Suwałkach. Przebywając na przepustkach spędzał czas nad jeziorami, gdzie Wanda Wasilewska pływała kajakiem. Przy jakimś spotkaniu, a że był przystojnym młodzieńcem, przypadł jej do gustu. Kiedy po jego aresztowaniu w roku 1940 i wywiezieniu do obozu jak wielu innych, przyszli po resztę rodziny 20 czerwca 1941 roku, zabierając wszelkie dokumenty z kasetki, również zabrano korespondencję od Wandy Wasilewskiej do brata Witolda. Dowiedzieliśmy się, że organizuje się wojsko polskie przy boku Armii Czerwonej i że mężczyźni powyżej osiemnastego roku życia mogą wstępować do wojska.

Po krótkiej naradzie z myślą, że może tą drogą łatwiej będzie wrócić do Polski brat Hipolit pomimo swych siedemnastu lat zdecydował pójść do wojska. Wiosną 1943 roku udał się do miejsca werbunkowego, podał że ma osiemnaście lat i został przyjęty. Z pozostałą trójką synów i z chorowitą babcią pozostała nasza mama. Ciężko było ale przeżyliśmy tę zimę, a wiosną znów wędrówka na letni wypas. Znów praca i tylko praca. Kiedy ja z młodszym bratem Apolinarym byłem na wypasie przy mamie, starszy brat Szczepan pozostawał z babcią w domu. Babcia z dnia na dzień czuła się gorzej na zdrowiu. Niedożywienie, brak lekarstw i w ogóle jakiegokolwiek opieki lekarskiej spowodowało, że w sierpniu tegoż roku babcia zmarła, o czym tegoż dnia zawiadomił nas Szczepan. Przyjechaliśmy z mamą pochować babcię. Ze zdobytych kilku desek przy pomocy starszego sąsiada Rosjanina zrobiono trumnę w kształcie skrzynki. Mama przygotowała babcię do pochówku. Zdjęła z babci dotychczasową odzież i ubrała w coś lepszego, co znalazła wśród swoich nadających się rzeczy. Zdjęta bielizna z babci nie mogła być wykorzystana do niczego. Przez dwa dni po śmierci tak rozmnożyły się wszy, że mama kazała rozpalić na podwórku ognisko i wrzuciła bieliznę do ognia. Przez jakiś czas słychać było tylko trzaski zanim to wszystko się spaliło. Skrzynkę z babcią zawieźliśmy na dwukołowym wózku w towarzystwie paru osób, gdyż inni mieszkańcy znajdowali się w pracy na letnim wypasie i w brygadzie polowej, na wzgórze cmentarne, wpuściliśmy do wyko-

panego przez Szczepana dołu, postawiliśmy krzyż, zmówiliśmy modlitwę. W ten sposób ubył następny członek naszej rodziny. Pozostało nas czworo mama z trzema synami. Syberyjskie lato w tym rejonie Azji z racji bogatych dóbr przyrody, których już nauczyliśmy się wykorzystywać począwszy od korzonków, bulw wszelkich roślin po jagody, orzechy cedrowe, a także ryby, ptactwo i drobną zwierzynę i w pewnej mierze ukradkiem z gospodarki sowchozowej jak mleko można było łatwiej przeżyć. Dla siebie nic nie można było uprawić czy wyhodować, choć gleba u podnóża gór była urodzajna. Na początku, kiedy jeszcze cała rodzina była w komplecie próbowaliśmy na wskazanej nam działeczce w pobliżu farmy posadzić trochę ziemniaków czy warzyw. Okazało się, żeby otrzymać jakiegokolwiek plony, trzeba by nie pracować na państwowym tylko dzień i noc pilnować. Nawet niedojrzałe rośliny były wykradane. Właścicielowi nic nie pozostawało. Dlatego w następnych latach podobnie jak tubylcy nie próbowaliśmy żadnych upraw.

Nie lepiej przedstawiała się sprawa z uprawami państwowymi. Zdarzało się, że zasiane zboża przed żniwami wskazywały na dobre plony. Od strony głównego traktu kłosa wyglądały ładnie. Kiedy zaczęły się żniwa, a żniwiarki zajeżdżały od strony rzeki czy lasu okazywało się, że na znacznym areale nie ma kłosów. Stoi tylko słoma. Do młócki lub wialni czy innego sposobu czyszczenia i magazynowania zboża choć w niewielkiej ilości dla podstawowych potrzeb farmy, ludzie wkładali luźną odzież, opinaną paskami, sznurkami i innymi podwiązkami żeby można było jak najwięcej ukradkiem wsypać ziarna gdzie się dało. Po przyjeździe do mieszkania stawało się na koc lub prześcieradło leżące na podłodze, luzowało odzież i wysypywało ukradzione ziarno. Przechowywało się na zimową porę. Ziarno męło się prymitywnymi żarnami na kaszę, mąkę, żeby mieć coś do jedzenia późną jesienią i zimą. Te prymitywne żarna to dwa klocki z drzewa nakładane jeden na drugi przy czym ich powierzchnie styku były nabijane metalowymi kawałkami z rozbitych żeliwnych garnków lub innych metalowych elementów. W środku dolnego klocka znajdował się boleć. Górny klocek w środku posiadał otwór do wysypywania ziarna a z boku rączkę do obracania tym klockiem. Górny klocek nakładało się otworem na boleć dolnego. Taki zestaw umieszczało się na prześcieradle lub innej większej szmacie rozłożonej na podłodze, siadało się tak, żeby żarna znalazły się między nogami. Do otworów wysypywało się ziarno i obracało górnym klockiem. Roztarte ziarno wysypywało się na podłożone prześcieradło jako gotowe do spożycia w postaci kaszy, a przesiane jako takiej mąki. Prymityw w tej części Azji w każdej dziedzinie wyglądał z każdego kąta, a dawał się we znaki szczególnie zimą, kiedy ludzie zmuszeni byli szukać sposobu przeżycia każdego następnego dnia. Pomimo znacznych bogactw naturalnych z braku warsztatów rzemieślniczych oprócz kuźni, gdzie kowal stawał się największym bohaterem pracy, gdyż musiał podolać wszelkim naprawom sprzętu rolniczego,



transportowego itp. ludzie musieli sami zadbać o swój codzienny byt. Trudno Europejczycy wyobrazić żeby np. sanie nie miały ani jednej części metalowej. Wszystko było z drewna. Łączone drewnem, wiązane parzoną skręcaną wikliną. Wozy konne też drewniane, osie kół drewniane, koła drewniane tylko obręcze metalowe wykonane przez kowala. Uprząż dla koni z lin plecionych z łyka konopnego. Plantacja konopi znajdowała się w pobliżu farmy. Jarzma dla wołów też drewniane. Widły, grabie wyłącznie drewniane. W sprzęcie gospodarstwa domowego oprócz garnków – „czigunów” i noży wszystko z drewna i z kory; miski, łyżki, kubki, „dzieżyczki” i inne pojemniki. Letnie obuwie z łyka lipowego, a zimowe ze skór zwierzęcych. Najczęściej od wiosny do jesieni chodziło się boso. Przypalanie papierosa skręta odbywało się przy pomocy dwóch kawałków krzemienia i hubki, gdzie iskra padająca z krzemienia uderzającego jeden o drugi na odpowiednio spreparowaną hubkę powodowała jej tlenie się i umożliwiała wydobycie ognia.

Mieszkające starsze małżeństwo prawdopodobnie pochodzenia czerkieskiego zamieszkiwało w domu z wikliny przy czym częścią nadziemną był wiklinowy szałas i służył do zamieszkania latem, a w ziemi piwnica służyła jako mieszkanie zimą. Innym prymitywem w życiu gospodarczym było to, że powybijane szklane szyby w oknach obór zimą zastępowane były szybami z lodu. Polegało to na tym, że wyjmowano ramy okienne bez szyb, wkładano do przerębli w rzece wieczorem, rano wyjmowano, równo obcinano lód i wstawiano w okna obór. Chroniło to zwierzęta przed chłodem, śniegiem, wiatrem, dawało jako takie światło od początku do końca zimy. Można w tym względzie wyrobić sobie wyobraźnię o klimacie tego regionu. Porą zimową dzieci organizowały zabawy na powietrzu pomimo silnych mrozów. Okutani w łachmany i jako takie obuwie, najczęściej walonki, do których przymocowywali drewniane łyżwy podkute drutem, grali w hokeja na drodze lub rzece. Za kije hokejowe służyły kije wiklinowe na końcach powyginane a za krążek zmrożone końskie łajno w kształcie kulki. Narty wykonywano z drzew liściastych. Najpierw urabiano z nich deski, których końce parzyli we wrzątku i wyginali. Upodobniali do nart. Podobnie wyrabiane były sanki bez jakiegokolwiek kawałka metalu. Czasu na naukę nie musieli poświęcać, nie było żadnej nauki. Prawdopodobnie był pracownik o przygotowaniu nauczyciela, ale był zatrudniony jako księgowy. Nie było też na czym i czym pisać. Żeby napisać list, atrament robiono z sadzy kominowej dodając jakieś soki roślinne. Za papier służyły wyrywane ze starych książek kartki i pisano między wierszami.

Pomimo sąsiedztwa i styczności w życiu codziennym naszych rodzin dochodziło do tego, że polskie dzieci między sobą zaczynały rozmawiać po rosyjsku. Kończyło się to najczęściej szturchańcem od matek lub ścierką kuchenną po głowie. Rozeszła się wiadomość, że do farmy przyjedzie kino. Zapanowała wielka radość. Przyjechali „filmowcy”. Ustawili

aparaturę w świetlicy, zebrali się widzowie, rozpoczął się seans. Jakaż była radość kiedy na ścianie ujrzano ludzi z epoki kamiennej poruszających się. Nieme kino. Po kilku scenach skwitowanych wrzawą urwała się korba poruszająca napęd aparatury. Seans przełożono na następny dzień. Kowal miał dorobić korbę. Okazało się, że nie było takiego materiału i „filmowcy” odjechali. Zimową porą oprócz chłodu i głodu dawały się we znaki wszelkie gryzonie, insekty, a w rezultacie z niedożywienia i braku higieny choroby przeobrażające się w epidemię. Pamiętam takie zdarzenie kiedy jeszcze mieszkaliśmy całą czwórką w małej ciasnej izbie. Kiedy mama przed świtem poszła do pracy przy cieletach a my w trójkę zostaliśmy śpiący w domu obudził nas w izbie rumor. Kiedy przetarliśmy ze snu oczy, ujrzeliśmy biegające po izbie szczury wielkości podrastającego kocięcia. Najstarszy z nas Szczepan chwycił stojący obok postłania but i próbował je unicestwić. Drzwiczki od pieca były otwarte jeden szczur wskoczył do pieca, drugi przez murek oddzielający piec od ściany i zniknął. Widocznie tam była dziura w podłodze. Ten co skoczył do pieca prawdopodobnie uciekł kominem. Innym razem, kiedy mieszkaliśmy we dwie rodziny w jednej większej izbie razem siedem osób, część domowników spała na podłodze na rozłożonej wiązce słomy, w nocy szczury próbowały ogryźć palce u nóg. Kończyło się to przebudzeniem i przerażeniem poszkodowanych. Innym groźnym zjawiskiem było masowe występowanie pluskiew w przetykanych mchem ścianach i przechodzących nocą do pościeli. Pomimo walki z nimi za pomocą nafty, przypalania ogniem, wciąż były dokuczliwe wprost nie do wytrzymania. Podobnie dawały się we znaki karaluchy, których miejscem występowania były zakamarki pieca kuchennego.

Dla utrzymania higieny ciała i bielizny nie wystarczała gorąca woda. Brak było mydła. Pojawiła się choroba zwana świerzbem. Do walki z tą chorobą kobiety próbowały domowym sposobem wytwarzać jakieś mazidła, wykorzystując kurze łajno z dodatkiem dziegciu. Z braku witamin po okresie zimy ludzie odczuwali chorobę oczu zwaną kurzą ślepotą. Objawiała się bólem i ropieniem oczu, uniemożliwiała rozpoznawanie, brak widzenia, szczególnie w dni słoneczne. Nagminne było pojawianie się na ciele ropnych czyraków. Po jednym z takich do dnia dzisiejszego mam na lewym udzie rozległą bliznę. Jednej zimy, chyba z roku 1944/45 wystąpiła epidemia tyfusu. Choroba ta w większym lub mniejszym stopniu objęła wszystkich. Twierdzi się, że choroba ta jest przenoszona z jednej osoby chorej na inną zdrową przez wszy, toteż wszyscy, poczynając od dzieci po najstarsze osoby, mężczyźni i kobiety mieli ostrzyżone głowy. Tych, którzy mieli wysoką temperaturę ulokowano w izolatce zorganizowanej w świetlicy. Z centrali przyjeżdżała lekarka, dawała jakieś lekarstwa co do pewnego stopnia skutkowało. W tej jednej, dużej izbie znajdowali się wszyscy chorzy bez względu na wiek i płeć. Trudno mi zapomnieć siedzącej na wiadrze Chakaski, panny na wy-

daniu, trzymającej w obu rękach pajdę chleba, przyniesioną przez rodzica. Kiedy gorączka ustąpiła, poczułem się lepiej i wróciłem do domu, pamiętam jak mama miała postrzyżoną głowę i ledwo trzymała się na nogach. Nie mogła sama, jak zwykle przed świtem wyjść do pracy, a tu stukanie w okno. Brygadzystka woła: Władysława, wychodzi w robotu, cielęta karmić. Mama poszła do pracy.

Często zdarzało się, że ja przychodziłem do cielętnika, gdzie mama pracowała i pomagałem uprzętać klatki cielęce. Tym razem także poszedłem, tylko nieco później. Okazało się, że w samą porę. Tuż przed moim przyjściem mama zemdlła i upadła na podłogę klatki, w której były cielęta. Zemdloną, wyciągnąłem z klatki na korytarz w miejsce, gdzie była lepsza wentylacja i doprowadziłem do orzeźwienia. To wydarzenie mama mi przypominała przez długie lata. Zdarzały się też przypadki zachorowań na malarię, którą przeszedł również brat Szczepan. W takich warunkach życia codziennego najtrudniej było przetrwać okres zimowy, a takich zim za sobą mieliśmy kilka i ciągle myśleliśmy, że każda następna będzie ostatnia i ciągle myliliśmy się. Odzież, w której przywieziono nas z Polski została przechodzona. Pomimo łatania czym się dało rwała się. W miarę dorastania stawała się za ciasna. Na uszycie nowej nie było materiału. Pamiętam, kiedy nie miałem już w czym chodzić, mama uszyła mi krótkie spodni z worka po soli dla zwierząt. Nie mając majtek pod spodem, nie było to wygodne do noszenia, ale nie było innego wyjścia, trzeba było w nich chodzić do końca lata. Trudno przewidzieć, co by z nami było dalej, gdyby nie to, że zaczęła do nas docierać pomoc tzw. UNRA. Były to paczki z żywnością; konserwy mięsne, rybne, kondensowane mleko w puszkach, sproszkowany groch, cukier, sól, czasami tytoń, jak się później okazało bardzo ważny artykuł, choć w rodzinie nikt nie palił. Czasami były paczki z odzieżą, co podratowało nasze już prawie gołe ciała. Coś, co nie pasowało dla nas, można było przehandlować. Paczki te docierały do nas pocztą łańcuszkową. Najpierw docierały do centrali, gdzie było więcej polskich rodzin, a stamtąd do nas przynosiły odważne dziewczyny, pokonując kilkunasto lub kilkudziesięciokilometrową górską drogę. Pamiętam, jaką serdecznością były obdarowywane przez nasze mamy. Inne rodziny rosyjskie, czy chakaskie nam zazdrościły, ale czym mogliśmy, to dzieliliśmy się z nimi.

Za tytoń brat Szczepan, choć zaledwie w wieku czternastu, szesnastu lat wypożyczał od myśliwych strzelby, proch, ołów do wyrabiania śrutu i próbował coś upolować, co mu się czasem udawało. Zimą ptaszki, a latem nawet dzikie kaczki. Z frontu zaczęły docierać wiadomości, bądź to listowne, bądź z centrali poprzez łączniczki, które przynosiły paczki a zarazem wiadomości. Czasami przez wracających rannych, którzy wyszli ze szpitali i skierowani do rodzin na rekonwalescencję. Były to wiadomości pomyślne, że „germaniec” się cofa, że tu i ówdzie ponosi klęski. Otrzymywaliśmy również listy od brata Hipolita, z których cieszyliśmy

się, że jest żywy i zdrowy. Jedyne dziecko wśród ośmioosobowej rodziny Falickich, Janek w wieku osiemnastu lat, wiosną 1944 roku również poszedł do wojska. Początkowo listy przychodziły od Hipolita częściej, a w nich wiadomości, że armia radziecka i wojsko polskie zbliżają się do granic Polski. Radowaliśmy się wszyscy i żyliśmy nadzieją na lepsze zmiany. Zdarzały się duże przerwy w korespondencji i wówczas przychodziły różne niedobre myśli, czy brat żyje, czy zginął, że listu tak długo nie ma. Pewnego razu, pod koniec lata, będąc na letnim wypasie, a było to w 1944 roku, długo nie było listu. Mama siedząc przy ognisku rozmyślała nad tym faktem i zwierzyła się nam, że w nocy miała zły sen. Zaczęła płakać a z mamą i my wszyscy. Inne kobiety pytały dlaczego my płacemy, skoro ogólnie wiadomo, że „germaniec” się cofa i wojna zbliża się ku końcowi. Trudno nam było wytłumaczyć. Po pewnym czasie otrzymaliśmy list od Hipolita, że był ciężko ranny, przebywał w szpitalu, że wkrótce ze szpitala wyjdzie. Ulżyło to mamie i nam wszystkim.

Wreszcie w maju 1945 roku dotarła wiadomość, że „germaniec” pobity i że wojna skończona. Zaczęli wracać z wojny mężowie i bracia rodzin tubylców. Jedni cali i zdrowi, inni inwalidzi. Z odznaczeniami, medalami, z walizkami wypełnionymi zdobyczym towarem. Częściami odzieży, obuwiem, zegarkami itp. Opowiadali o zniszczeniach wojennych, ale i o bogactwie i życiu w krajach, które przemierzali. Zaczęły docierać do nas broszury o obozach koncentracyjnych z obrazami komór gazowych, pieców do spalania zwłok ludzkich. O masowych grobach i innych zbrodniach popełnianych przez faszystów niemieckich. Niektórzy byli tym bardzo poruszeni, inni uważali to za propagandę. Nam, Polakom, nie było końca wojny. Życie toczyło się tak, jak dotąd. Wciąż zadawaliśmy pytanie, kiedy nas zwolnią z tego syberyjskiego obozu pracy, czy w ogóle wrócimy do Polski, czy przyjdzie nam umrzeć na obcej obcej ziemi. Minęło lato i nadeszła zima z roku 1945/46. zaczęły do nas docierać nieoficjalne wiadomości o możliwości powrotu do Polski. Wreszcie, pod koniec lutego tegoż 1946 roku, otrzymaliśmy oficjalną wiadomość o powrocie. Załatwianie formalności przez mamę zajęło wiele czasu, zanim zostaliśmy ujęci na listę do powrotu do Polski tak naszej jak i pozostałych dwóch polskich rodzin.

### **Powrót do Polski**

Termin odjazdu naszych polskich rodzin wyznaczono na koniec pierwszej połowy marca. Zaczęło się oczekiwane przygotowanie. Wymieniano coś, co z paczek UNRY jeszcze zostało, na to, co może być przydatne w podróży. Przygotowywano coś do jedzenia. Z chleba robiono suchary i napełniano powłoczki z poduszek, a nawet suche prażone ziarno zbóż, nie wiedząc jak długo będzie trwała podróż po zniszczonej wojną ziemi rosyjskiej i polskiej.

W połowie marca podstawiono pod dom, w którym mieszkały wszystkie trzy rodziny troje sań o zaprzęgu konnym, wymoszczonych słomą i sianem. Zaczęliśmy się usadawiać. Ponieważ zima jeszcze mocno trzymała, każdy był opatulony w co było możliwe. Na nogach z dziurawych walonków wystawała słoma. Na pożegnanie nas wyszli wszyscy mieszkańcy sowchozu. Ze łzami w oczach, z płaczem tulili nas, mówiąc: „Wam jeszcze słońce swobody zaświeci, nam przyjdzie tu zdechnąć”. Z płaczem też żegnaliśmy tych nieszczęśników, ze wzruszenia i radości, że wreszcie wracamy i z litości nad tymi, z którymi przez prawie pięć lat dzieliliśmy nasz los. Odległość do Polski wynosiła ponad 6000 kilometrów, do stacji kolejowej w Abakanie 200 kilometrów, zatem najpierw wieziono nas w zaprzęgach konnych do miasta powiatowego Askiz, odległego nieco ponad 60 kilometrów. Mijaliśmy sowchozy, nocowaliśmy w kołchozach, które dawniej były większymi wioskami chakaskimi. Zatrzymywaliśmy się na odpoczynek dla koni i nocleg dla nas i woźniców. W spotykanych chatach bieda, jak wszędzie. Smutne, przygnębione oblicza ludzkie. Pomimo widocznych ludowych instrumentów muzycznych „czathanów”, bałajek itp. nie było słychać dźwięków muzyki, chyba że na naszą prośbę. Po trudnych, zaśnieżonych traktach, niby drogach, po dwóch czy trzech dniach dowieziono nas do Askizu, gdzie przesiedliśmy się na samochody ciężarowe, zabierając inne polskie rodziny tam oczekujące powrotu. Jechaliśmy do Abakanu. Wieziono dniem. Noclegi organizowano w mijanych miasteczkach lub większych wsiach, o czym świadczyły spotykane w rynkach budowle w kształcie cerkiewek o pozabijanych deskami oknami, widocznie przeznaczonych na magazyny zbożowe.

Po kolejnych dwóch dniach znaleźliśmy się przed składem dobrze nam znanych wagonów kolejowych, stojących wysoko na rampie. Już bez nadzoru władz bezpieczeństwa, tylko cywilnych władz porządkowych. Zajęliśmy wskazane nam wagony według listy nazwisk rodzin. Transport przygotowywano do podróży. Zanim to nastąpiło były spotkania znajomych rodzin przywiezionych do tych syberyjskich obozów pracy przed pięcioma laty. Do wagonów podjeżdżały po tej zimowej, śnieżnej, stepowej równinie, obserwowane z wysokiego nasypu psy zaprzęgi sań, na których gospodarze przywozili produkty rolne do wymiany. Były to sery z owczego lub koziego mleka, pieczona lub gotowana baranina, „lepieszki” i inne bliny. Wymieniali za ostatnie koce, prześcieradła, chustki, szale jakie jeszcze ktoś miał do zbycia. Po załadunku wciąż dowożonych rodzin, po dwóch czy trzech dniach transport ruszył. Tym razem nie czerwcowo lipcowy upał dokuczał, lecz marcowy chłód zmuszał do ścieśniania się na pryczach i utrzymywania żaru w piecyku w wagonie. Okienka już nie były kratowane, drzwi nie ryglowane. Jechaliśmy dniem i nocą w stronę Europy, do Polski. Na azjatyckiej części Rosji znowu od czasu do czasu spotykaliśmy jakieś osady, w których domostwa w połowie mieściły się w ziemi, w połowie nad ziemią. Z niektórych dym wydostawał się znad samej warstwy śniegu. Na postojach, przy

miastach przygotowywano posiłki, po które do kuchni dworcowych osoby wyznaczone chodziły z wiadrami po zupę, gotowaną wodę i chleb. Im bliżej Europy, szczególnie na stacjach miast europejskich pociąg stał dłużej z powodu konieczności przepuszczania po tymże torze pociągów jadących z zachodu Europy w głąb Rosji. Transporty te wiozły zdobyczne bogactwo z krajów, przez które przechodziła armia radziecka w pogoni za cofającymi się Niemcami. Pola w pobliżu stacji kolejowych były zalane wszelkim sprzętem nadającym się do użytku bezpośrednio i takim, który mógłby przydać się w nowobudowanych zakładach czy fabrykach. Dlatego postoje na kolejnych stacjach przedłużały się częściej. Mielśmy możliwość spotykać się z ludźmi, rozmawiać, gdyż już dobrze znaliśmy język rosyjski. Wchodzili do naszych wagonów radzieccy oficerowie, wracający z zachodu. Opowiadali o swoich przeżyciach wojennych i o tym, co zobaczymy po dotarciu do Polski.

Oprócz ogromnych zniszczeń miast i osiedli, które spotykaliśmy na trasie, na ulicach widzieliśmy dużo inwalidów o kulach, bez jednej nogi, urwanej ręki lub dwóch, również turlających się bez nóg na deskach zaopatrzonych w kółka. Stwarzało to ogromne wrażenie i strach przed tym, co nas czeka.

Zaświadczenie z Państwowego Archiwum Krasnojarskiego Kraju  
potwierdzające deportację rodziny Skirgajłów na zesłanie.

wreszcie dowieziono nas do nowej wschodniej granicy Polski, do stacji Brześć. Po przestawieniu wagonów na inne tory, po sprawdzeniu dokumentów i miejscowości dowiezienia rodzin w poszczególnych wagonach, powieziono nas przez Siedlce do Białegostoku. W Białymstoku zaopiekował się nami PUR czyli Państwowy Urząd Repatriacyjny. Znaleźliśmy się w jakichś większych salach i oczekiwaliśmy na transport do swoich miejscowości z nadzieją, że zastaniemy swoje domy, gospodarstwa, w których zamieszkamy. Na transport do Augustowa czekaliśmy trzy dni. Wreszcie tuż po południu mama otrzymała wiadomość, że do Augustowa będzie jechał samochód ciężarowy i mogą zabrać się augustowiaczy. Wraz z dwiema innymi rodzinami z dzielnicy Limanowskiego, w czasie okupacji radzieckiej Posiołka Stalina, załadowaliśmy się na samochód ciężarowy bez przykrycia, opatuleni jak na saniach w sowchozie. W chłodne, kwietniowe popołudnie wyruszyliśmy do rodzinnego Augustowa odległego około 100 kilometrów.

Informacja o śmierci Klemensa Skirgajło, syna Aleksandra  
wystawiona przez Państwowe Archiwum Krasnojarskiego Kraju.

DO TYNIKU W AUGUSTOWIE DOJECHANISMY JUŻ O ZIMIECZHU. SAMOCHODU zatrzymał się, kierowca wyszedł zapytać, gdzie ma dowieść poszczególne rodziny. Wtem na platformę samochodu wskoczył żołnierz w polskim mundurze z kilkoma rzędami medali, nad którymi widniały cztery małe

gwiazdeczki, świadczące o czterokrotnym odniesieniu ran. Chwycił mamę w ramiona, siarczyście ucałował i uściskał, rozglądając się po kątach platformy, szukając reszty rodziny do przywitania. Był to nasz brat Hipolit. Pełniąc obowiązki w Komendzie miasta w dolnośląskim miasteczku Chocianów, wiedząc że wracają rodziny z Syberii, wziął przepustkę i przyjechał do Augustowa sprawdzić, czy dom stoi i czy przypadkiem nie wróciła rodzina. Akurat tego dnia spotkaliśmy się z bratem. Radość była wielka. Po przywitaniu wszedł do kabiny kierowcy i kazał wieźć pod dom. Dom był zamknięty na kłódkę, a klucz miał nieopodal mieszkający sąsiad, mój chrzestny. Po wejściu do mieszkania nie zastaliśmy ani jednego mebla. Ulokowaliśmy się na gołej podłodze, a sąsiad przyniósł wiązkę słomy i to było nasze posłanie na nocleg we własnym domu. Przed ułożeniem się do spania, sąsiedzi przynosili nam coś ciepłego do jedzenia, a sąsiad z kilku desek zrobił stół na krzyżowych nogach. Następnego dnia mama z Hipolitem dokonali naszego meldunku w urzędzie miasta z datą 11 kwietnia 1946 roku. Przy pomocy darowizn UNRY znajdujących się w zasobach urzędu miasta, pomocy sąsiadów, rozpoczęło się nasze życie w domu, w Polsce na ziemi augustowskiej. Hipolit musiał wrócić do miejsca służby, obiecując, że być może załatwi coś na ziemiach odzyskanych.

Dochodziła druga połowa maja. Rozpoczęliśmy prace ogrodnicze przy domu. W niedzielę mama z najmłodszym synem Apolinarym, tuż przed południem wracała z kościoła, za którym tęskniła przez lata usłyszała za plecami rytmiczne męskie kroki coraz zbliżające się. Obejrzała do tyłu i zamarła na chwilę ujrzawszy obu synów. Wojskowego Hipolita i cywila, najstarszego syna Witolda, o którym od czerwca 1940 roku nie mieliśmy żadnej wiadomości. Znów przywitanie na ulicy, płacz z radości. W domu to samo przy spotkaniu wszystkich braci. Z ośmioosobowej rodziny zabrakło babci, którą pochowaliśmy na Syberii i ojca, o którym po aresztowaniu nie mieliśmy żadnej wiadomości, aż do rozpadu Związku Radzieckiego, kiedy po roku 1991 z Archiwum Krasnojarskiego Kraju otrzymałem pełną odpowiedź, że po pół roku od aresztowania w lipcu 1942, w styczniu 1943 był skazany przed sąd ze słynnego artykułu 58 na dziesięć lat obozu poprawczego, a w lipcu tegoż roku zmarł w więzieniu nr 3 w mieście Minusińsk. Spotkanie braci Hipolita z Witoldem miało następujący przebieg: Hipolit pełniąc służbę w komendzie miasta Chocianów miał wgląd do list osób wracających z Syberii i ziem pozostałych za nową granicą wschodnią Polski na osiedlenie na ziemiach odzyskanych. Przypadkowo natrafił na nasze nazwisko i imię Witolda. Udał się do miejsca zamieszkania i tu nastąpiło spotkanie. Witold wrócił z Syberii, gdzie po amnestii 1941 roku znalazł się w Omsku. Spotkał się z kobietą, polką i pozostał do maja 1946 roku, a w maju wraz z innymi polskimi rodzinami znalazł się na ziemiach odzyskanych. Zajął w Chocianowie poniemieckie mieszkanie, gdzie oboje zamieszkali. Szykował się do poszukiwania rodziny, w czym pomógł mu młodszy brat Hipolit, żołnierz



czterokrotnie ranny, siedemnastokrotnie odznaczony medalami wojennymi, w tym i Krzyżem *Virtuti Militari*.

W czasie kiedy kończę swoje wspomnienia z całej mojej rodziny przy życiu zostałem sam. Tak w krótkim opisie wyglądają przeżycia moje i moich bliskich na zesłańczej Syberii. W natłoku wspomnień wiem, że pominąłem wiele szczegółów. Choćby to, jak ważną rolę odgrywała wśród dorosłych mężczyzn jedyna brzytwa, przywieziona przez sąsiada Falickiego, czy maszynka do mięsa, która wywierała podziw u tubylców, podczas mielenia zmarzniętych przegotowanych ziemniaków. Także to, jak górską rzeczka w lecie stanowiła miejsce do przechowywania uwiązane na drucie mięsa z opatroszonego psa. Odcinane kawałki mięsa przeznaczone były na posiłek i lekarstwo do walki z gruźlicą. Można by jeszcze wiele faktów przytaczać z tego, jak to nazwałem sybirskiego obozu pracy na ziemi chakaskiej wielkiego Kraju Rad. Ja postanowiłem na tym zakończyć opis moich syberyjskich zielonych lat.<sup>1</sup>

\*\*\*

### Posłowie

Współcześnie Chakasja już nie jest „oblastją”, czyli województwem. Od roku 1991 jest Republiką ze stolicą miastem Abakan w składzie Federacji Rosyjskiej. Ludność Chakacji liczy 581,2 tys. osób ze 108 narodowości. W tej liczbie Rosjanie stanowią 79,5%, Chakasi 11,1%, Ukraińcy 2,3%, Niemcy 2%. Resztę pozostałe narodowości, wśród nich wielu Polaków z zesłań lat czterdziestych ubiegłego wieku, którym nie dane było wrócić do Polski, oraz pochodzenia polskiego z okresu Rosji carskiej.

Samych Chakasów w granicach Republiki jest 57 tys., a poza granicami doliczono się 12 tys. W miastach żyje 413,2 tys., we wsiach 168 tys. O dawnej świetności państwa chakaskiego świadczą wykopaliska archeologiczne z kurhanów, które występują w różnych miejscowościach, a najwięcej w tzw. „Dolinie Cesarzy”.

Polacy i ludność pochodzenia polskiego podobnie jak w wielu innych rejonach Rosji, tak i w Chakacji zorganizowali się i założyli w 1993 r. organizację

<sup>1</sup> Autor tych wspomnień urodził się 7 kwietnia 1935 r. w Augustowie. Jako 6-latek w czerwcu 1941 r. z całą rodziną deportowany został na Syberię – do Krasnojarskiego Kraju Chakaskiej Obłasti Askizkiego Rejonu. Całą rodzinę osiedlono w kołchozie, następnie w sowchozie. W lipcu 1942 r. ojciec autora został aresztowany a o jego losach dowiedział się on dopiero w latach 90. XX wieku. Z dokumentu wystawionego przez Archiwum Krasnojarskiego Kraju wynika, że Klemens Skirgajło, ojciec autora został skazany z art. 58 na 10 lat obozu poprawczego. W lipcu 1943 r. zmarł w więzieniu nr 3 w Minusinsku. Po zakończeniu wojny autor wrócił do kraju w kwietniu 1946 r. ukończył szkołę podstawową a następnie średnią techniczną. Przez 30 lat pełnił służbę w Wojsku Polskim, m.in. jako wykładowca Wyższej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. W roku 1989 jako oficer bezpartyjny nie mogący pozostawać na zajmowanym stanowisku został przedterminowo zwolniony do rezerwy. Ukończył zaoczne studia na Wydziale Geografii UMCS (Lublin). Od roku 1991 członek Związku Sybiraków, a od roku 2006 prezes Oddziału w Puławach.

„Polonia”. Organizacja ta prowadzi szeroką działalność kulturalną i oświatową wśród społeczności polskiej. Wydaje pismo kwartalnik „Rodacy” i utrzymuje ścisły kontakt z Macierzą.



---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatęchł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Tadeusz Habczyński – *Od deportacji do repatriacji***

#### **• Preludium na straconej ziemi (1939 - 1945)**

Początek maja zapowiadał się pięknie. Nasze narodowe i kościelne razem święto Trzeciego Maja przeminęło jak zwykle w nastroju podniosłym, uroczystym i w pełnej gali. W defiladzie, poprzedzonej mszą w parku pod pomnikiem uświęcającym rok 1410 brałem również udział w szeregach hufca Przysposobienia Wojskowego, maszerując przy dźwiękach „Warszawianki” przed generałem Łukoskim, który był wtedy dowódcą 11 Karpackiej Dywizji Piechoty. Nasz dom przy ul. Legionów udekorowany był biało-czerwoną flagą, która powiewała pod okrągłym okienkiem, ponad attyką elewacji frontowej środkowego ryzalitu.

Piątego maja wysłuchaliśmy w skupieniu przemówienie ministra Becka, w którym formalnie odrzucał roszczenia Hitlera wobec naszego kraju. Przemiął maj i ja już miałem wakacje. Wnet wyjechałem do Lubiążni. Te dwa miesiące spędziłem w górach, zdobyłem Howerlę, odkryłem przepiękne jezioro „Niesamowite”. Lato było piękne, moje wakacje też się kończyły i wszystko co

piękne przemija szybko, pozostają tylko miłe wspomnienia. Nie myślałem, że to bezpowrotnie na zawsze skończone.

Miałem złe przeczucia; wyczuwało się napiętą atmosferę, podniecenie. Czarne chmury i złowieszczy powiew „Mane tekel fares”; zaczajone, groźne macki snuły się, wchodząc w zakamarki naszych domostw, naszego bytu. Wróciłem do domu z moich letnich wakacji (niestety ostatnich) w pierwszych dniach sierpnia. Mobilizację ogłoszono 24 sierpnia. Wskoczyłem w swój drelich P.W. i pogałem do koszar Szkoły Podchorążych. A tam jak w ulu wrzało. Pełno junaków, każdy aż rwie się do jakiejś służby. „Pierwszego września o świcie wojska niemieckie zaatakowały obszar państwa polskiego” – głosi komunikat radiowy. A więc stało się to, czego nie uniknęliśmy. Wojna! Trwała sześć lat, ale dla mnie trwała o wiele dłużej. Wypadki potoczyły się błyskawicznie! 18 września do Stanisławowa wkroczyły wojska sowieckie. No, to już koniec pieśni pobożnej, pełne zaskoczenie. Przed swastyką wybawia nas wspaniałomyślnie sierp z młotem! Tylko się radować, – i pisk zachwytu ogarnął motłoch ludzki. Ostatni w historii numer polskiego dziennika „Wiek Nowy” ukazał się z datą 21 września 1939 r., a w nim na całą szerokość szpalty: „Walka aż do uwolnienia Polski od najazdu”.

Mego ojca aresztowało NKWD 4 listopada 1939 r. W kwietniu następnego roku tuż przed Wielkanocą, wyrzucono nas z naszego domu, w którym założono „*Dietskij sadok*”. My z *czomodanem* w rękę uszliśmy na wieś do znajomego gazdy. Żyliśmy stale w trwodze i w napięciu oczekiwaliśmy najgorszego. 22 czerwca 1941 roku, niedziela. Piękny, słoneczny poranek zapowiadał upalny dzień. W głębokim parowie szumiał niewoczyński potok, obrosły gęstwiną łożyny. Zostałem nagle poruszony ogromnym drganiem powietrza. Na czystym bezchmurnym niebie zobaczyłem klucze samolotów. Były dość wysoko. Odgłosy detonacji i wybuchów dochodziły od strony północnej, a więc od Stanisławowa.

A więc wojna! Niemcy napadli na Sowieców! Armia Czerwona pośpiesznie zaczęła się cofać, w panice uciekały rodziny sowieckich dygnitarzy, pozostawiając urzędy, posterunki, mieszkania i zrabowany uprzednio dobytek. Do Stanisławowa wkroczyli Honwedzi. Kiedy utknęła na wschodzie ofensywa niemiecka, a inicjatywę przejęli Sowieci, front przesuwał się powoli ku nam. Zaczęły się nasilać naloty sowieckich Ilów. Pociski latały nam nad głowami. Pierwszy atak sowieckich czołgów, które dotarły do centrum miasta, został odparty. Następny przyszedł kilka tygodni później. Sowieci wkroczyli do miasta na dobre. Zaczęły się nowe porządki, nowe aresztowania, zgasły nagle nasze pełne optymizmu nadzieje. Pracowałem w *swiazi*. Mój nowy naczelnik, tow. Nieziajew, *wybroniował* mnie przed wcieleniem do wojska. Czy na szczęście, czy na nieszczęście – trudno to nawet dziś ocenić.

Konsekwencje układu jałtańskiego stanowiły jasno i niedwuznacznie o bankructwie hasel głoszonych przez naszych aliantów, a przede wszystkim przez Anglię i USA, co to były przecież zapisane w karcie atlantyckiej. Przed nami zrodził się poważny niepokój co do przyszłości naszej i naszych ojczystych stron, naszych Kresów. To wszystko śmierdziało nam okropną zdradą zobowiązań ze strony sojusznika, w którego tak wierzyliśmy od samego początku.

Pozostał nam dylemat: pozostać tu, na ziemi naszych ojców, czy poddać się t. zw. „repatriacji”. O tym musieliśmy sami zdecydować. Trudno, los nie szczędził nam haniebnych decyzji ponad naszymi głowami. Marcowa sobota

nie wróżyła pogodnego dnia. W mroczny poranek dziesiątego marca 1945 roku wyszedłem jak zwykle do pracy, z domu przy ulicy Legionów. I tak jakoś, jakby tknięty złym przeczuciem, na chwilę przystanąłem na rogu ulicy, obróciłem się i spojrzałem z oddali na białą elewację naszego domu. Nie mogłem przewidzieć, że to będzie moje ostatnie spojrzenie na mój rodzinny dom. A jednak nigdy więcej go nie zobaczyłem. Nigdy!

Około godziny dziesiątej zostałem wezwany do naczelnika Nieziajewa. W jego gabinecie stał jakiś wysoki major. Poszedłem z majorem Sałatą (był Polakiem) do budynku NKWD, z którego po dwóch tygodniach wyprowadzili mnie do *stolypinki*, którą pojechałem aż do Komi ASSR. Moje Kresy opuściłem na zawsze!

#### • W mrokach Komi (1945-1946)

Przestałem liczyć dni i noce, bo w swym przemijaniu stały się jednym ciągiem nieuchwytnego czasu, niewymierną, koszumną szarością. Stukot kół, monotony i męczący, wdzierał się w skronie razem z bólem w stawach i kręgosłupie w niewygodnej pozycji na drewnianej półce pod sufitem, dwa centymetry nad obolałą głową. Słony i suchy śledź, płaski i twardy jak sklejka, palił spragnione podniebienie. Wyszadzono nas na jakiejś stacji w różowo-popielatym blasku zapadającego słońca. Przenikliwy chłód wdzierał się w zakamarki przepoconej odzieży, porażał rozpaloną głowę, paraliżował stawy. Kolana mi się ugiwały, stapałem jak pijany po progach torowiska, poganiany psami w zgiełku ujadania i nawoływania: „*szag w pieriod, szag nazad, kanwoj prinimajet uruziem*”.

To było więzienie w Iźmie. Iźma – to miejscowość nad rzeką Iżmą, niedaleko Uchty w Komi ASSR. Na betonowej posadzce leżeliśmy pokotem, jeden obok drugiego, a było nas czterdziestu. W oparach smrodu i wilgoci przemijał leniwie liczony czas. Na suficie dyndała ohydnie oblepiona brudem żarówka, dając nędzny blask na szare, pokryte pleśnią ściany. Karmiono nas tylko lurą z brukwi i do tego 200 gramów chleba z zakalcem na dwa palce.

Łoskot zamka, drzwi otwiera strażnik i woła od progu:

– „*Na bukwo, takoj a to takoj, otczestwo, tak dawaj vychadi.*”

Znalazłem się w słabo oświetlonej komnacie, przesiąkniętej stęchlizną, zmieszaną z papierosowym dymem machorki. Za dużym stołem, zarzuconym segregatorami i papierami, siedział pod talerzem wiszącej lampy starszy mężczyzna, nieco łysawy, w drucianych okularach. Kiedy wszedłem, spojrzał na mnie niedbale z nad okularów, które opadały mu stale na nos.

– „*Nu, ty że obwiniony po stati 54, prawilno? Czy wiesz ty za co?*” – zapytał wertując w pliku papierów.

Po kilku dniach znalazłem się w obozie: *Kirpicznyj zawod – Uchta*. Była to duża cegielnia na terenie zamkniętym, z kilkoma barakami dla *zakliuczonych*. To co mi się tam wydarzyło było nieprawdopodobne, nieprzewidywalne nawet w najskrytszych myślach. Wśród stojących po zupę rozpoznałem mego ojca. Stał przygarbiony z blaszanką w rękę, nie świadom, że go obserwuję z oddali. Tak bardzo bałem się jego nagłej reakcji. Miał wtedy pięćdziesiąt lat, siedział dłużej i nie wiedział zapewne, że ja też zostałem aresztowany. Jeśli mnie tu nagle zobaczy, może się całkowicie załamać.

Jak się okazało, *Kirpicznyj zawod* był dla mnie tylko takim *pieriesylnym* punktem, bo za kilka dni zostałem wytransportowany na moje docelowe miejsce przeznaczenia, czyli do: *Nieftieszachty nomer adin*. Zrozpaczony ojciec żegnał mnie z obolałym wyrazem oczu bez łez. Czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy na tym świecie? Zaczął się dla mnie szereg znojących dni. Pracowałem w kopalni. Tylko zorza polarna zawieszona jak jaka draperia na północnym nieboskłonie, swym niesamowitym, drgającym blaskiem – przeważnie zielonkawym, czasami żółtym i różowym – rozjaśniała otulony płaszczem śniegu zimny teren kombinatu wydobywczego.

Jak długo to potrwa? Czy i kiedy - wołałem przytłumionym głosem w głuchą przestrzeń, otoczoną dokoła kirem, strojnym jak na ironię w przepiękne szatki boskiej natury. Tak więc trzeba tylko czekać i wierzyć i chociaż miałoby się nigdy nie doczekać tego, w co się wierzy. Przemijały króciutkie dni i te potwornie długie noce. Śmiesznie wygląda cherlawy człowiek z opuchniętymi kolanami i kostkami, z opuchniętą twarzą i odmrożonym nosem, bo śmieszna jest ludzka nicość. I chyba Opatrzność czuwała nade mną, skoro pojawiło się jakieś wybawienie.

Pewnego dnia spotkałem młodego człowieka, muzykanta z orkiestry kopalnianej. W toku rozmowy zapytał mnie nagle, czy potrafię grać na jakimś instrumencie. On sam gra na tenorowym „sakshornie”, ale poszukiwany jest *barabańszczyk*. Zaraz potem zostałem przedstawiony szefowi od „kultury”, którym był niejaki tow. Szwernik, łotewski Żyd, nawiasem mówiąc – bardzo kulturalny, porządny facet. Oczywiście zrobił mi egzamin z moich umiejętności wybijania na małym *barabanie* taktu jakiegoś fokstrota i o mało mu oczy nie wylażyły z orbit, gdy mu zasunąłem synkopowany pasaż: „*Wot maładiec, u tiebia zotyje ruki, job two!*” I tak zostałem członkiem zespołu trębaczy.

Wśród plejady ludzi zajmujących się „kulturą” poznałem wiele ciekawych typów, wywodzących się z różnych środowisk, różnych narodowości, o różnych charakterach, temperamentach i mentalności. Wysoką oceną cieszyli się przede wszystkim Koreańczycy, jako zdyscyplinowani, sumienni, pracowici i kulturalni, zawsze wysuwani na odpowiedzialne stanowiska w różnych specjalnościach. Następnie Gruzini, którzy wyróżniali się wrodzoną kulturą i błyskotliwością, a przy tym posiadali jakieś maniery elegancji na co dzień. Lubilem z nimi poważnie porozmawiać, w przeciwieństwie do rodowitych Rusków, którzy przeważnie grzeszyli chamstwem, ordynarnym słownictwem i w ogóle brakiem jakiegokolwiek wychowania i kultury osobistej. Oczywiście byli też między nimi ludzie wykształceni i z jakąś nabytą cechą umiejętności zachowania się w pewnych sytuacjach, ale na ogół większość – to prymitywne naśladownictwo sowieckiego *gie-rojstwa* i pospolitego grubiaństwa, okraszonego zdumiewającą naiwnością. Przestępcy kryminalni pomieszani z więźniami politycznymi, zawodowi „żulicy” z chuliganami, bandyci, utracjusze, aferzyści i donosiciele, szpicle i tajniacy, politycy i urzędnicy aparatu partyjnego, wszyscy na kupie bez segregacji, a między nimi zawodowi artyści i działacze kultury. Oto barwna mozaika obozowej społeczności w krainie, „*gdzie tak wolno dyszet czołowiek*”.

Kończyła się potwornie długa i przykra pora zimowa, pora szarych nocy i króciutkich błysków słońca nad horyzontem i mimo iż zbliżał się radosny dzień Pierwszego maja, śniegu było jeszcze wszędzie pełno. Tak pełno, że idąc z orkiestrą w pochodzie, brnęliśmy prawie po pas w zaspach i muldach. Drewniana architektura uchińskiego *posiołka*, upstrzona czerwienią i portretami wodzów

narodów, żałośnie dominowała nad kołyszającym się, zmarzniętym tłukiem kadrowej arystokracji tego naiwnego, ogłupionego propagandą bolszewicką społeczeństwa wszelakich narodów.

Graliśmy „Marsza słowiańskiego”, tego jedyne marsza, który był mi znany jeszcze z okresu mego dzieciństwa, albowiem grali go często moi Ułani Szóstego Pułku w Stanisławowie. Wieczorem miałem występ w orkiestrze tanecznej w Domu Kultury w Uchcie, na akademii „ku czci”, a potem, oczywiście – potańcówka dla tamtejszego *naczelstwa*. Następnego dnia miałem zwolnienie w cechu, ponieważ po południu miałem grać na mityngu górniczym z okazji wykonania planu wydobywania. „*Dadim naszej stronie bolsze ńiefti*” – to hasło na wielkim transparentie wywieszono przy gromkim aplauzie zniewolonych *szachtiorów*.

Dużym naszym utrapieniem w barakach były pluskwy. Te najdrobniejsze, jak główki od szpilek, blado-żółte, łąziły wszędzie po ścianach, po podłogach, po całym cieple, gnieździły się w zakamarkach prycz, w butach, w czapkach i gryzły niemiłosiernie. Nie było na nie rady. Miało się wrażenie, że cały ten wielki Związek Radziecki jest niesamowicie zapluskwiony, że jest ojczyzną tego paskudztwa. Nagle przyszło lato. Tak jakoś nagle, bez wiosennego przebudzenia przyrody, jak to bywało u nas, bo i słońce poczęło obiegać widnokrąg dookoła, skrywając na pół godziny swoją czerwieniejącą tarczę jakby wstydliwie, na żarty, przed naszymi oczami. Zgasła gdzieś gwiazda północy, która tkwiła dotąd prawie w zenicie, a te migotliwe zorze utraciły swą wyrazistość barw. Jeśli noce były upiornie długie i nieludzko mroźne, tak dni polarnego lata stały się męczące dla oczu, które łzawiły od stale trwającego blasku.

Spotkałem Wiktora, który wracał po nocnej szychcie, cały oblepiony brunatną mazią błota zmieszanego z ropą. Pracował wtedy jeszcze na dole przy ropodajnych *skwarzenach*. Wiktor Hałat, nasz sąsiad ze Stanisławowa, był właścicielem zakładu masarskiego, dostał *srok* pięć lat łagru. Za co? Nie był przecież ani członkiem organizacji politycznej, ani działaczem społecznym, ani funkcjonariuszem państwowym. Był tylko rzemieślnikiem, robił dobre wędliny. Był rubaszny, wesoły, a kiedy sobie podpił, śpiewał ulubioną piosenkę: „Zwycięży Orzeł Biały, zwycięży Piastów ród...”, i chyba za to dostał wyrok.

Kończy się zbyt krótka pora letnia. Żłocisto-rudy koloryt karłowatej brzozy wśród rudziejących traw, a w tle ciemna, prawie czarna masa borealnej tajgi wśród licznych, płaskich skupisk torfowiskowej roślinności, ciągnie się na szerokich przestrzeniach bez końca. Nie wyobrażam sobie, by można było stąd uciec. Jaki ten świat wielki i dziwny, jaki surowy i piękny jednocześnie. Ale to piękno optycznie odbierane, raniło moją duszę, nękało moją wrażliwość, tak uczuloną na bezmiar zjawisk natury w tej surowej krainie. O Boże – pomyślałem sobie – gdybym był teraz wolnym człowiekiem, chwyciłbym plecak jak za dawnych lat i poszedłbym sobie tam, prosto przez te torfowiska brunatne, przez tę rudą darń, hen, daleko, aż do tych ciemnych borów, nawąchać się *chwoi* i zachłysnąć urokiem tajgi. Ale co może zrobić człowiek na ograniczonej, ciasnej zonie, za podwójną siatką kolczastych drutów. Nic, tylko pomarzyć i zapłakać. Zbliża się znowu zima, wnet grudzień, potem Święta, które przyjdzie mi chyba znowu przetrwać z dala od bliskich i w osamotnieniu, tylko z własnymi myślami.

Tymczasem na zajęciach muzycznych tłukliśmy pamięciowe opanowanie *starinnych russkich* walców, do których należały między innymi „Walc oficerski”



oraz „Na sopkach Mandżurii”, który stał się naszym żelaznym numerem repertuaru. W przerwach brano mnie na spytki i często musiałem opowiadać o życiu i obyczajach przed wojną, w kraju za „kordonem”. Z niedowierzaniem przyjmowali do wiadomości pewne moje oczywiste stwierdzenia o swobodnym, nieskrępowanym życiu ludzi różnych stanów, różnych wierzeń, różnych narodowości.

Ich niedowiarstwo było nacechowane naiwnością i kompletnym brakiem jakiegokolwiek wiedzy o życiu społeczeństw na świecie. To, co im wpajano o nas, było tak niedorzeczne i tak przekłamane, że z wielką przyjemnością wyprawdzałem ich z tego stanu chorobliwej głupoty i zaślepienia w ciasnocie ograniczonego terenu z nakazu władz. Mówiłem im tak: „Patrzcie na mnie, ja mam dopiero dwadzieścia trzy lata, ale byłem już wszędzie tam, gdzie zachciało mi się być, bez żadnej *putiowki*”, bez żadnego skierowania, bez zezwolenia władzy. Tylko z biletem kolejowym mogłem objechać całą Europę, a czy kto z was mógł tu, w tym waszym wolnym kraju dokonać tego? „*Eto brechnia, eto zwuczyt nie uwierienno!*” Ale w końcu, choć nieśmiało, dawali się przekonać, kiedy im oświadczyłem, że przecież ja nie jestem żadnym agitatorom, tylko odpowiadam na zadawane pytania, a oni mogą ale nie muszą w to wierzyć. To nie mój interes.

To było dokładnie czwartego grudnia. Leżałem na swojej koi, kiedy zjawił się posłaniec z *prykazem*, że mam się zgłosić do biura *nariadczyków*. Z bijącym sercem pobiegłem do mego opiekuna *nariadczyka*, podałem swoje dane osobowe i miejsce mego aresztowania. Oświadczone mi, że moja sprawa została umorzona i mogę wracać do Stanisławowa. W ciągu dwóch tygodni muszę załatwić wszystkie formalności z kartą obiegową, odprawą rewizyjną, biletem kolejowym i prowiantem na drogę. Dziesięć śledzi i siedem kilo chleba na drogę do Stanisławowa przez Moskwę, to chyba zbyt mało, jak na taką drogę, gdy się jedzie z przesiadkami i do tego w zimie.

Podróż była uciążliwa, bo pociągi kursowały do Moskwy co drugi dzień, a ja czekałem na moją kolej cztery dni. Do tej Moskwy jakoś się dotelepałem na głodno, ponieważ cały prowiant zjadłem jeszcze przed Kotłasem. W Gorkach zlitował się nade mną jakiś starszy mężczyzna o kuli.

„– *Ty od kuda*” – zagadnął.

„– Z Uchty, zwolniony – powiadam. Głodny jestem, od kilku dni nic nie jadłem”

„Właśnie widzę, bo nie wyglądasz na sytego. Masz, dam ci resztę mego chleba. Bierz, bo ja zaraz wysiadam. Widzisz, ja straciłem nogę już w pierwszych dniach wojny ojczyźnianej za »*rodinu*«, za Stalina i tyle mam uznania. »*Ot, takaja żyźń nasza, sobacza*«.

- **Niby do Ojczyzny (1947)**

Rankiem 18 grudnia 1946 roku dojechałem do Moskwy. Pociąg wtoczył się leniwie na peron Kurskiego Dworca. Mglisto i ponuro, pełno topniejącego śniegu z błotem i bajorkami, po których brodzi tłumek odziany nędznie w łachmaniarskie uniformy różnej maści i przedziwnych fasonów. Szeroka *płoszczad* przed dworcem zrobiła na mnie niezbyt miłe wrażenie. To tak wygląda stolica tego Imperium Sowieckiego? Daleko na krańcach placu kilka typowych kiosków, wokół których kręcą się jakieś podejrzane typy.

„– *Sachar, sachar, nu komu, odin rub, komu ?*” Kostka cukru, to znaczy za rubla, nieźle, jak na taki czas! W jednym kiosku z informacją dostałem adres do Ambasady Polskiej. Okazały budynek przy ul. Aleksieja Tołstoja trochę mnie onieśmielił i trochę wzruszył. Przy narożniku stał mundurowy policjant, chyba oficer, bo z pagonami i zapytany, wskazał mi uprzejmym gestem wejście do szerokiej bramy wjazdowej na dziedziniec kwadratowego kształtu. Stało tam kilka łazików terenowych, limuzyna granatowa, furgonetka załadowana cytrusami, no i pełno uwijających się ludzi w mundurach i w cywilu. Gwar i nawoływania; wszędzie słyszę polską, dźwięczną mowę, polskie napisy, a tam, nad jednym wejściem duży napis „Wejście dla stron”. To chyba dla mnie – pomyślałem – i wszedłem jak do Polski. Jakiś porucznik o szelmowskim wyglądem, podobny do samego księcia Pepi, z takim czarnym wąsikiem, w oficerkach, z dyndającą na rapciach szabelką ze srebrnym temblakiem, wskazał mi drogę do urzędującego Pełnomocnika ds. Repatriacji. Bezceremonialnie otworzył drzwi i wepchnął mnie do dużego pomieszczenia.

– Panno Basiu, przyprowadziłem pani gościa z Komi!

Za biurkiem siedziała w białym sweterku szczupła szatynka, sekretarka szefa Polskiej Misji Repatriacyjnej. Podałem jej mój dokument z Uchty. Spojrzała na mnie z zaciekawieniem w oczach. Rzuciła kilka rutynowych pytań, uważnie czytając ruski tekst mego dokumentu. Przez uchylone drzwi jakaś dziewczyna krzyknęła:

– Panno Basiu, proszę przyjść; na dole rozdzielają pomarańcze!

– Tak, tak, już lecę, tylko załatwię tego młodego człowieka.

To mówiąc, chwyciła dokument i na chwilę znikła za drzwiami gabinetu majora Dzierżgowskiego. Major zrobił na mnie bardzo dodatnie wrażenie, z ojcowską troską w głosie wypytywał o wszystko, o rodzinę, o zdrowie.

– A niech mi pan powie – zwrócił się do mnie per „pan” – czy dużo tam jeszcze naszych ludzi?

Po kilku dniach wyjechałem z Dworca Białoruskiego, który był również moją noclegownią w drodze do Baranowicz. Tam miałem się zgłosić z pismem od mego majora do pani Wróblewskiej w placówce PUR-u. Kiedy dotarłem do Baranowicz, okazało się, że ta placówka jest zamknięta na cztery spusty. Wszyscy wyjechali na Święta do Polski. Zostałem sam bez dachu nad głową, w obcej mi, zapadłej, małej mieścinie. Zrezygnowany, postanowiłem udać się do Grodna. Tam, w RAJKOM-ie poradzili mi najlepiej: Obóz 312 we wsi Kielbasino dla ruskich repatriantów! Kielbasino leży w odległości kilku kilometrów od Grodna w stronę granicy polskiej. Tam też się natychmiast udałem. Naczelnik obozu, płk. Wasiew odebrał mi mój jedyny dokument z Uchty i nakazał cierpliwie czekać na zbiorowy przerzut na polską stronę. Czekałem do siódmego stycznia. Ale zanim jeszcze dotarłem do tego obozu, musiałem przebyć kwarantannę świąteczną w Grodnie, gdzie dojechałem późnym wieczorem 24 grudnia.

Dworzec kolejowy o prowincjonalnym wyglądzie, ciemny, brudny, jak na jakim odludziu, zięjący wyziewami z latryn, z domieszką podłej tabaki i gnijącej kapusty. Wszystko to razem nie niosło w sobie nic z nastroju, jaki człowiek powinien odczuwać w ten wigilijny wieczór. Szedłem skulony z zimna ku miastu, przez wąskie, ciemne uliczki, zaglądając po drodze w okna domów, w których migotały – jakby wstydliwie – wątle światelka. Pewnie tam siedzą przy skromnej wieczerzy nieliczne już rodziny polskie. Wszędzie czuć było wielką

biedę. Grodno – nie duże, ale historycznie polskie miasteczko, pełne zabytkowych budowli, zamków, kościołów, klasztorów, z najpiękniejszą z polskich kresowych rzek, Niemnem, wydawało mi się tak smutne, zniszczone, zatracone. To kiedyś królewskie miasto, gdzie ono się podziało? Wróciłem czym prędzej na dworzec, usiadłem w kącie na niskim gzymsie, zwinąłem się jak pies i usnąłem. Obudził mnie tumult dochodzący od westybulu. Było zupełnie jasno. Przetarłem oczy i szybko skierowałem kroki w stronę centrum miasta. Wiał mroźny podmuch orzeźwiającego powietrza. Nie potrafię powiedzieć, jaki to był kościół. Pod portalem wejściowym stało kilka starych kobiet. Stałem między nimi i zagadnąłem. Jedna z nich pociągnęła mnie za ramię ku kruchcie.

– Niech pan tu poczeka, ja zaraz coś wymyślę i wrócę – powiedziała i znikła w bocznej nawie.

Tymczasem rozmawiałem półgłosem z kobietami, które obiecały mi załatwić jakieś noclegi u znajomego gospodarza, Polaka. Msza kończyła się, kiedy powróciła moja nieznajoma protektorka i kazała mi udać się z nią do pobliskiego klasztoru. Dreptała ta kobiecina pochyłona i jakby z konspiracyjnym doświadczeniem coraz to przystawała i obracała się sprawdzając, czy idę za nią w odpowiednio przyzwoitej odległości, a ja szedłem pokornie za jej śladem. Tak dotarliśmy do wysokiego muru, który otaczał kamienny dziedziniec. W drewnianej, wysokiej furcie wystawał z otworu gruby sznur, zakończony tulejką. Pociągnęła trzy razy tulejką, bo to był pewno jakiś umówiony sygnał i po chwili otworzyła nam furtkę zakonnica.

– Niech będzie pochwalony...

Wpuściła mnie do małej salki, w której stał tylko duży, dębowy stół i dwie długie ławki i nic więcej. Coś tam obie długo szeptały, po czym ta zakonnica kazała mi poczekać. Czekałem dość długo. To była dla mnie świąteczna uczta! Taca, a na niej półmisek z wianuszkami swojskiej kielbasy, plastry salcesonu, pasztetówka, sterta chleba i kubeczek gorącej herbaty. Zmiotłem to wszystko błyskawicznie, bo przecież od kilku dni prawie nic nie jadłem. Tak mi przeleciał pierwszy dzień Świąt. Potem jakaś inna kobieta przysłała po mnie i zaprowadziła do wiejskiej chaty, która miała być moją kwaterą na okres Świąt. Wąsaty, starszy gospodarz, otwarty i dobroduszny człowiek, Polak, powitał mnie gościnnie, poczęstował talerzem zupy i nakazał młodej dziewczynie – chyba to była jego córka – by przyniosła słomę na legowisko. Jego kobiety były zapewne Rusinkami prawosławnymi, bo mówiły tylko ni to po rosyjsku, ni to po białorusku. Żona gospodarza, trochę nadąsana coś tam marudziła, ale stary od razu osztorcował ją z uśmiechem na ustach. Cały snop słomy przytargała młoda, krzepka dziewczyna. W jednej, pustej izbie, zrobiła mi posłanie, nakrywając rozłożoną słomę kilkoma weretami.

„– *O, tutka wam bude choroszo, pane*” – zapewniała, wypinając przesadnie swój zad w moją stronę.

Była bardzo mnie ciekawa. Swoją chłopską inteligencją wyczuwała niewątpliwie we mnie jakąś, być może personę niezwykłą, bo też musiałem wyglądać dość osobliwie w tym angielskim mundurze lotnictwa. Do tego mówiłem nie tylko czystą, „pańską” polszczyznę, ale i dość biegle po rusku. To jej imponowało, przyglądała mi się z nabożeństwem i z chęcią, gotowa do usług. Oczywiście nie w głowie mi były zaloty tej chłopki, która cały czas mi nadskakiwała, potrząsając okazjonalnie swym obfitym przodkiem. Przenocowałem tam trzykrotnie. Ostatniego dnia naradzaliśmy się wszyscy, co zrobić. Wreszcie ustalo-

no, że najlepiej będzie, jeśli się udam do RAJKOM-u. Tam na pewno dostanę skierowanie na *peresylny punkt*.

Sobota, 28 grudnia rano. Po śniadaniu, moja nadzwyczajna i usłużna opiekunka, z własnej i nie przymuszonej woli zaofiarowała mi swoją pomoc i żebym nie pobleździł, postanowiła poprowadzić mnie do budynku RAJKOM-u. To wprost nieprawdopodobne, jak ta hoża dziwa zabiegała o moje względy, jak nieśmiało nakłaniała do pozostania u nich, a w ogóle, co też sobie wyobrażała, że jestem jakimś wyśnionym dla niej księciem z bajki, czy co? A tak z ręką na sercu przyznam bezwstydnie, targało mną poczucie pewnej bezsilności sumienia, że za to całe serdeczne przyjęcie mnie, obcego przecież, bezdomnego chłopca z powierzchnością urodzonego paniczka, nie mam czym się zrewanżować. Było mi trochę nieprzyzwoicie głupio tak bezceremonialnie opuszczać ten przyjazny dom, tego szczerzego polskiego chłopca, dobrodusznego i pogodnego, no i tę jego córkę, niebezpiecznie, pożądliwie zaślepioną. To moje miękkie z przyrodzenia serce przeszkadzało mi niejednokrotnie zebrać się do kupy, by trzeźwo, bez zbędnych zmagañ z sumieniem, realistycznie oceniać sytuację.

Przytulna ziemianka, do której wchodziło się drabinką przez kwadratowy otwór była tak ciemna, że dopiero po pewnej chwili dostrzegłem palącą się świeczkę i leżącego na pryczy młodego człowieka w wojskowym, ruskim mundurze z medalami na kolorowych baretkach. Ponieważ był pierwszym na tej kwaterze kandydatem do przerzutu, automatycznie pełnił obowiązki szefa i gospodarza zgrupowania. Ja byłem drugi, następni doszlusowali po kilku dniach. Wreszcie komplet składający się z dziesięciu Polaków gotów był do rychłego przerzutu na polską stronę. Stołowaliśmy się w stołówce dla ruskich oficerów, obsługiwały nas jakieś ruskie dziewczyny, *oficjantki*, jak je nazywano. Były dla nas bardzo grzeczne i uprzejme, uśmiechały się zalotnie, kręcąc biodrami dla pogłębienia efektu kultury usług. Niektórzy byli nawet skłonni do ewentualnego skorzystania z tych „kulturalnych” usług; innym wystarczały wrażenia wizualne. Mnie również.

Jedynym moim wiarygodnym dokumentem była tzw. „sprawka”, w której podane były moje dane osobowe i adnotacja, by polskie organa administracji umożliwiły mi osiągnięcie docelowego miasta, podanego na tym dokumencie. Pieczętka i podpis: Płk Wasiew, Łagier 312. Żadnej wzmianki o tym, że byłem „zekiem” w Uchcie. Dokument był wypisany na maszynie, na małym skrawku brunatnego papieru, jakby wydartego z worka cementowego, z pieczętką okrągłą w kolorze fioletowym. Przez granicę przerzucono nas dosłownie jak przemytników, bez żadnej ewidencji i kontroli ze strony polskiej. Z Sokółki do Białegostoku jakimś lokalnym pociągami, potem późnym wieczorem wyjechaliśmy wszyscy, oczywiście na gapę, do Warszawy.

Warszawa, 10 stycznia 1947 roku, Dworzec Wileński. Jestem podniecony, bo to jest właśnie Polska, tak proszę wszystkich – Polska, chociaż nie wiem jeszcze jaka Ona, ale Polska! Pada gęsty, mokry śnieg, ulica Targowa jakby zgotowana, cała w ruchu i zgiełku. Wszyscy w biegu, aktywność ogromna, wielkie tempo, pośpiech. Stoją budy, ryczą motory.

„3 x TAK” – co to znaczy ten napis na murach – jeden drugi, trzeci? Nie wiem, nie rozumiem, nie pojmuję. Jakies szczeniaki uganiają ulicami z plikiem kartek z numerkami, jeden wsunął mi taką karteczkę z dużą czwórką. Co to znaczy, też nie wiem. Wisła szeroka jak dawniej, tylko ten horyzont taki rozmaza-

ny, daleki. Znam przecież Warszawę od dawna, przejdę pieszo przez ponton. Most zburzony, a po tej stronie domy stoją, jak stały, no to co!

Idę, idę, wiatr w oczy wieje, mokry śnieg oblepia mi rzęsy, nic prawie nie widzę, gdzie to ja jestem, do cholery? Tu powinien być Zamek, no, chyba coś mi się pomyliło. Idę dalej. Dokąd? – myślę rozpaczliwie. Chyba do nikąd, nic nie rozpoznaję. Obumarłe kikuty drzew, sterczące szkielety wypalonych ścian, rumowiska jak górskie łańcuchy po obu stronach niby ulic, których nie poznaję. Przystanąłem na środku ruchliwej w zgiełku pustyni, rozglądam się uważnie, bo tam, po prawej pochylona bryła jak monolit po trzęsieniu – ostał się wrak Dworca Głównego, a na przeciw poznaję cały, nie naruszony hotel „Polonia”. O Boże, czy to jest ta Warszawa, w takiej totalnej ruinie? A więc jestem na skrzyżowaniu ul. Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Po wieżach zegarowych ani śladu, a tu był kiedyś „Hotel Wiedeński”, tam kino „Stylowy”, a teraz sarta gruzu. Dalej słynna ul. Chmielna, i jak dawniej, corso prostytutek. Liczę ulice – tu Złota, dalej ul. Sienkiewicza. I tak dotarłem do ul. Świętokrzyskiej i Ogrodu Saskiego. Coś skręciło mi się w kiszki, rozglądam się, gdzie by tu wdepnąć, no chyba tam, za wysoką hałdą gruzu. Czuję się lepiej, tak mi ulżyło – i dopiero teraz zorientowałem się, że moją pierwszą wizytę złożyłem w ruinach pałacu Kronenberga. Dziś na tym miejscu stoi ekskluzywny „Hotel Victoria”. Idąc dalej ul. Królewską, w ocalałym budynku „bez kantów”, mieściło się Towarzystwo Przyjaciół Żołnierza. Pełen determinacji wstąpiłem do lokalu TPŻ. W pokoju, przy biurkach, siedziały dwie wyondulowane, pulchne matrony.

– Słucham, w jakiej sprawie – zapytała pucolowata blondynka.

Podąłem jej moją „sprawkę” i powiedziałem, że jestem zdemobilizowanym żołnierzem z armii ruskiej z Dalekiego Wschodu, wróciłem do Kraju, bo jestem Polakiem, pochodzę z Kresów i byłem ostatnie lata obywatelem ZSRR.

– Czy macie jakiś dokument wojskowy, jakąś książeczkę lub zaświadczenie o zdemobilizowaniu?

– Nie, nic więcej. Wszystkie papiery, jakie miałem przy sobie, odebrano mi w tym obozie 312. Gdy się upomniałem, powiedziano mi, że tam w Polsce nie będzie to mi potrzebne – powiedziałem z przekonywującym tonem rozgoryczenia.

– No, co też oni wyprawiają, jak tak można – rzekła blondyna, po czym wstała i wyszła z moją „sprawką” do sąsiedniego pokoju.

Po kilku minutach wróciła z jakimś starszym panem w cywilu, który rozpoczął indagację, jakby to było przesłuchanie, a ja kłamałem pewnie i bezczelnie i – jak się okazało – skutecznie. Wyszedłem stamtąd z otrzymanym skierowaniem na ul. Koszykową, do Dyrekcji Polskiego Radia, z prośbą o zatrudnienie.

Popędziłem pełen wiary i nadziei w stronę Krakowskiego Przedmieścia, bo chciałem koniecznie zobaczyć, jak też wygląda Zamek. I co zobaczyłem? Kawałek ocalałego narożnika od południowej strony, fragment elewacji od strony Wisły i tylko ruiny. Wracając do Dziekanki, zobaczyłem napis „CARITAS”. Tu zostałem tymczasowo zameldowany, tu otrzymałem schronienie. Rano po budka, przychodzi siostra w habicie, klaszcze w dłonie i woła:

– Chłopcy, modlitwa!

Potem jeszcze musieliśmy śpiewać kolędy, a potem dopiero dwie młode dziewczyny w białych fartuszkach i czepkach roznosiły między stoły w emaliowanych miskach gorącą, mleczną zupę i kromki chleba. Kiedy siostra wyszła, a wszyscy już opróżnili swoje miski, podchodziłem do młodej dziewczyny, która zbierała naczynia i trzymając mocno w dłoni swoją miskę, zapytałem nieśmiało:

– Proszę pani, czy zostało coś jeszcze?

– Czy pan jeszcze chciałby repetę? Skinąłem głową, a ona ogładnęła się za siebie i nalała mi dwie chochle. – Ma pan jeszcze trochę chleba, ale tak, żeby przełożona..., no wie pan, niech pan to schowa.

Podziękowałem i posłałem jej „buziaka”, a ona się słodko uśmiechnęła i trochę zmieszana znikła w korytarzu. Milutka ta dziewczyna tak pozostała moją opiekunką przez okres mego pobytu.

Polecono mi udać się do Czerwonego Krzyża na ul. Piusa, w sprawie poszukiwania rodziny. Ta dzielnica, od Starego Miasta przez Krakowskie Przedmieście do Nowego Światu była cicha, wyludniona, tylko ruiny i klepsydry na okopconych murach. Dopiero od skrzyżowania z Alejami zaczynał się istny moloch nie ustającego ryku i falującej ciszy. Jak ludzie żyją w tych ruinach! W „PUR-ze” wystawiono mi wreszcie polski dokument, który odtąd był moim jedynym dowodem tożsamości, z datą 15 stycznia 1947 roku.

Błądziłem po zrujnowanej Warszawie i szukałem tych miejsc, w których odnalazłbym ślady przeszłości, chociażby symboliczny własny odcisk mej stopy na startych trotuarach, po których przed laty stąpałem. Warszawa, jaką znałem, nie była miastem pięknym, ale jako stolica miała w sobie coś, co dla mnie – młodego chłopca z dalekich Kresów – posiadało znaczenie symbolu trwałości i nie przemijającego dziedzictwa Polskiego Narodu, umęczonego tragizmem dziejów. Błądziłem zagubiony w pustyni rumowisk i nie mogłem otrząsnąć się z przykrego wrażenia, spoglądając ze środka Pl. Napoleona na wypalony szkielet „Prudentialu”, na rozsypany gmach Poczty Głównej. Podążając dalej ulicą Sienkiewicza, mijam z oddali, jakby cudem ocalały dom „Pod Orłami” przy ul. Jasnej. Gdzie „Filharmonia”, gdzie „Morskie Oko”, gdzie ten charakterystyczny budynek z księgarnią Gebethnera i Wolffa, któżby to pominął? Idę dalej, z ulicy Zielnej wyrasta osmolona bryła „Pasty” czyli „Cedergren”, a na horyzoncie już nic, tylko kikuty czarnych murów o pustych oczodołach, to makabryczna panorama Polskiego Babilonu.

Ulica Stalowa, niedaleko Dworca Wileńskiego przypomniała mi się tak nagle, że postanowiłem natychmiast udać się na Pragę. Ciekawy byłem, czy mieszkali tam jeszcze państwo Męcińscy. Przecież ze Zdlichem utrzymywałem przez wiele lat koleżeński kontakt, chodziliśmy razem do jednej klasy jeszcze w Stanisławowie, zanim jego rodzice przenieśli się do Warszawy. Wędrowałem od kamienicy do kamienicy, szukając na spisach mieszkańców znajomego nazwiska, aż wreszcie znalazłem. Zdlich poznał mnie od razu, wszak nie tak dawno jeszcze, bo latem w trzydziestym dziewiątym spotkaliśmy się nad Prutem. Zasypano mnie gradem pytań. Opowiadałem im o swoich przeżyciach, gdy wtem pani Męcińska podaje mi jakiś list pisany odręcznie, na którym rozpoznałem pismo mojej matki.

– O Boże, skąd to pani ma? – zapytałem zdumiony.

– Jak to, z Zabrza, od twojej mamy, bo ona tam teraz mieszka!

– A gdzie to jest, to Zabrze, nie słyszałem o takim mieście.

– Nie słyszałeś, to pewne, bo to dawniejszy Hindenburg, tuż za dawną granicą. – Tłumaczyła pani Męcińska. – Byłam tam jesienią i spotkałam twoją mamę przypadkowo na ulicy. Masz tu adres: ulica Wolności 149.

W czwartek, 23 stycznia wyjechałem z dworca przy ul. Towarowej do Katowic. Następnego dnia, późnym popołudniem zapukałem do drzwi mieszkania, które potem przez wiele lat było moim nowym domem. To był niesamowity wieczór. Drzwi otworzyła starsza siostra mojej mamy. W ciemnym korytarzu nie poznała mnie, tym bardziej, że miałem mocno nasuniętą czapę na czoło. Powiedziałem, że mam list z Rosji.

– O proszę, proszę, niech pan wejdzie. Marylka, Marylka, tu jakiś pan ma list z Rosji. O Boże, zaraz... Proszę do środka, bo tu tak ciemno. Moja mama zerwała się z krzesła, gdy wszedłem do kuchni. Stałem na środku izby i zdjąłem baranią czapę.

– Witajcie, niech będzie pochwalony...

Teraz dopiero obie mnie poznały. Nieprawdopodobna ekstaza, krzyk radości i łzy. Nie mogłem się uwolnić od uścisków, obracały mną na wsze strony. To istny cud! Opowiadaniom nie było końca. Minęło kilka miesięcy, kiedy pewnego dnia otrzymujemy list ze Stanisławowa od mojej bardzo dawnej, starej niani, Teodozji, którą pamiętam jako Donię. Mieszka teraz w naszym dawnym domu przy ul. Legionów. Otóż donosiła nam, że zaopiekowała się moim ojcem, który został zwolniony z łagru i więzienia i obecnie przebywa u niej. Wykorzystując moje doświadczenie z pobytu w Ambasadzie Polskiej w Moskwie, napisałem o wszystkim do majora Dzierżgowskiego z prośbą o umożliwienie „repatriacji” mojemu ojcu. Z końcem września ojciec już był z nami. Zaczęło się nowe życie rodzinne, jakby od początku.

Dużo pracowałem nad sobą, uzupełniałem braki w swoim wykształceniu. Uczyłem się metodą samouctwa, pogłębiałem wiedzę zawodową, a jednocześnie poszukiwałem partnerki do życia, bo czas uciekał, a z nim życie. Początek lat pięćdziesiątych, to początek ugruntowania demokracji socjalistycznej, która miała być formą tzw. dyktatury proletariatu, ale stała się natychmiast dyktaturą w pełnym znaczeniu tego słowa, lecz bez proletariatu. Proletariat był tylko zasłonką pozorowanej demokracji, w rzeczywistości był oryginalną formą dyktatury twardej, nie przebiegającej w środkach stosowania represji. Był to okres tzw. radosnej twórczości i szczyt uszlachetnionego socrealizmu.

Jednocześnie szalał bierutowski terror. Jadem gadzinówki, którą była „Fala 49” zatruwano drętwiące jądro tożsamości narodu polskiego. Stefan Martyka i Wanda Odolska – owi bohaterowie szczytnej nagonki – „godnie” zapisali się w historii „intelektualnych” zmagani z „desantem zachodnich, politycznych bankrutów”. Oślawiona stonka, zrzucona z amerykańskich balonów na polskie „pegeery” i „kołchozy” spowodowała niebywałą mobilizację w szeregach „młodzieży socjalistycznej”, która oddawała swe serca i młodość socjalistycznej ojczyźnie! „No to razem, młodzi przyjaciele, opaszmy ziemskie kółko, nie dajmy się imperialistycznym zapędom, niech żyje socjalizm” – nawoływano wszędzie, na ulicach, w zakładach na masówkach, w radiu i gazetach, do obłędu, do znużenia. Do jakiego to ja kraju przyjechałem w styczniu 1947 roku, w którym od kilku już lat - jak zauważyłem - unosi się w powietrzu zaczajony absurd polskiego komunizmu, w którym dyktatura zaplątała się w taki znajomy nam, familiarny bałagan? Czy to jest ta moja autentyczna Ojczyzna, czy jakiś „ersatz” niby Ojczyzny! Czy ja powróciłem do Polski, której chciałem, czy do Polski, która mnie nie bardzo chciała? To pytanie zadaję sobie dziś po tylu latach!

---

\*